

**BOHDAN PETECKI**

# **Operacja Wieczność**

Putt uśmiechnął się.

- Co chcesz - powiedział niedbałym tonem, przeciągając samogłoski - jak tylko człowiek pomyślał o przemijaniu, zapragnął trwania...

Wzruszyłem ramionami.

- Już to gdzieś słyszałem - burknąłem. - Wyprostowałem się i podszedłem do pulpitu. Nie patrząc namacałem klawisz projektora i rzuciłem na ekran schemat stacji.

- Usłyszysz jeszcze nieraz - w jego głosie zabrzmiała kpina. - To teraz hasło dnia - ciągnął. - Mówią, że niesie więcej informacji niż wszystkie inne modne slogany. A tę buchalterię - dodał, wskazując ekran z ostro zarysowaną siatką wiązań energetycznych - możesz sobie darować. Pięć lat tkwiłem w takim samym kokonie, na Phobosie.

Położył oparcie i wyciągnął nogi na całą ich długość, uderzając w podłogę podeszwami butów.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli o niego chodzi, mogą sobie darować niejedno. Nie tylko drobiazgowo przekazywanie aparatury i danych, dotyczących stacji. Czegóż nie było w tym: "pięć lat"! Wie, bo z tym przyleciał, że spada mi z nieba jak główna wygrana, ba, gotów jest nawet okazać pobłażanie dla odrobiny tej niewinnej próżności, która każe mi się maskować. Pięć lat, proszę. A ja nie czekałem nawet trzech, by przekazać mu bazę. Szczęściarz!

Trzepnąłem otwartą dłońią w klawisze. Ekran zgasł jak zlany wodą. Niemal równocześnie spod podłogi dobiegł stłumiony chrobot przekaźników. Na głównym ekranie łączności podskoczyły płonące kometki. Nie musiałem patrzeć na zegar. Piąta. Jak co dzień o tej porze Ziemia penetruje zespoły pamięciowe stacji, wyłuskując nagromadzone w ciągu doby informacje.

Bez słowa przeszedłem przez kabinę, kierując się ku gruszkowatej niszy naprzeciw wjazdu. Wyjąłem płaski pojemnik i przewróciłem go na leżankę. Kilka książek wielkości kostek do gry, trzy holografie, szczoteczka, dwa małe kamienie, obydwie z Ziemi. Oto, co czyniło domem ten betomitowy żołądź, utkwiony w skorupie globu, dla którego Słońce było gwiazdą, jedną z wielu, nawet jeśli najjaśniejszą.

Pakowanie zajęło mi nie więcej niż trzydzieści sekund. Przerzuciłem plecak przez lewe ramię i zawróciłem w stronę służby. W połowie kabiny dobiegł mnie głos Putta:

- Lecisz?

Nie zatrzymałem się. Usłyszałem charakterystyczny syk zwolnionego oparcia i kroki. Zaświtało mu, że coś jest nie tak, jak powinno.

- Nie martw się - mruknąłem. - Wrócę.

Dotarłem do drzwi i uruchomiłem automat klapy. Nie zdejmując dłoni z uchwytu, odwróciłem się. Stał pośrodku kabiny z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder.

Przyjrzałem mu się. Może odrobinę dłużej, niż było trzeba.

- Lecisz - powtórzył.

- Do widzenia - rzuciłem. - Powiedziałem, że wrócę. Ale to nieważne, co? Tak czy owak musimy się spotkać. Rachunek prawdopodobieństwa. "Ciała, krążące przez całą wieczność w ograniczonej przestrzeni..."

- O co chodzi, Dan? - przerwał. - Coś nie w porządku? Chciałeś zostać? Jeśli tak, sam im to powiesz. Mnie nikt nie pytał o zdanie...

Nie był ze mnie zadowolony. Trudno się dziwić. Sprawilem mu zawód.

- W porządku, Putt - powiedziałem. - "Przygotuj się na niespodziankę" - zacytowałem. - Od tego zacząłeś, jak tylko wylazłeś z rakiety. Godzinę... nie, już przeszło półtorej temu. Dość, jak na to, co mieliśmy sobie do powiedzenia. Pierwsze polemiki ukazały się, o ile pamiętam, dwadzieścia pięć lat temu. Kiedy odlatywałem, kłócili się na całego. To nic, że jedyne rozsądne głosy pochodziły od przeciwników. Tym bardziej można było się spodziewać, że projekt przejdzie. I gdzież tu niespodzianka?

- Nie chcesz nieśmiertelności - rzucił - czy po prostu się droczysz?

Jego głos podskoczył o pół tonu. Nie powiem, żeby mój dobry humor stał się przez to lepszy.

- Bądź spokojny - warknąłem. - Nie zrobię nic, żeby przerwać twoją wędrówkę przez wieczność. Nie wędrówkę. Trwanie. Jeśli nie rozumiesz różnicy, ja nie będę ci odbierał złudzeń...

- Dobrze - wpadł mi w słowa. - Więc jak długo masz zamiar żyć?

Teraz mnie dostał. Musiałem się uśmiechnąć.

- Nie wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Długo.

Sprawdziłem orbitę i utkwilem wzrok w ekranach. Ostatnia runda.

To był mój ład. Trzy lata czy pięć, co za różnica. Zdobyłem prawo tak o nim myśleć. Bez względu na to, co powie taki Putt, ślęczący teraz przy ekranie

przekazującym sygnały namiarowe mojego statku. On także zyska to prawo. Ale musi poczekać.

Wyostrzyłem obraz. Przed moimi oczami przesuwają się zrudziałe w pasmach podczerwieni gładziny skały macierzystej, znaczone płytkimi studniami w miejscach trafień meteorytów i poszarpanymi krawędziami tektonicznych pęknięć. Z bezkresnej płaszczyzny, pokrytej jakby ubitym pyłem, nagle strzelały zębate skalne wieże i piramidy zastygłe w krystalicznych wypiętrzeniach. Ich obecność stanowiła za każdym razem zaskoczenie, przypominały fragmenty gotyckich katedr, rozrzucone na płycie lotniska. Linia horyzontu była niewidoczna, granice globu wytyczał pierścień utkwionych w głębokiej czerni gwiazd.

Ściany rakiety odezwały się wysokim, stłumionym echem. Z dołu, jakby spoza nich, dobiegł narastający świergot. Pulpit pod ekranem zamrugał światłami. Poczułem ciężar dłoni spoczywających na poręczach. Statek schodził z orbity. Pożegnalną rundę miałem za sobą.

Kilkanaście minut później, już poza płaszczyzną ekliptyki, sięgnąłem po paczkę koncentratów. Rozpiąłem pasy, rozsiadłem się wygodniej i podniosłem do ust pachnącą grzybami, twardo sprasowaną kostkę. Przełknąłem pierwszy kęs i nagle uderzyła mnie myśl, jak bardzo zwyczajny jest obraz wszystkich tych lodowych globów, kraterów opromienionych igłami rozprysków, bazaltowych katedr, przepaści o krawędziach ostrych jak wyszczerbiona stal. Najgłębsza czern i ostateczna jasność jądrowych eksplozji. Taki jest nieśmiertelny świat. Prawdziwy. Wszystko inne to kaprys, efemeryda. Ziemia z jej ciepłem, atmosferą, zielenią, wodą i mieszkańcami. Z jej miękkością i usłużnością procesów przystosowawczych.

Czy to, co człowiek zamierzył, można nazwać ekstrapolacją? Czy odnalazłoby się to na przedłużeniu przebytej przez niego drogi i znaczących ją zmian?

Na Ziemi, przed startem, nie tałem, co o tym sędzę. Pomimo że rzecz dotyczyła w najlepszym razie następnego pokolenia. Przez myśl mi nie przeszło, że w ciągu pięciu lat mojej nieobecności zdążą sprowadzić dyskusję do wspólnego mianownika.

Tymczasem dość było nie pięciu, tylko trzech lat, bym leciał z powrotem, poddać się zabiegowi, który miał mnie uczynić nieśmiertelnym. Może nie w pełni mnie, ale w końcu poza świadomością nie ma w nas nic, bez czego nie można się obyć. Nawet, jeśli ktoś bardzo chce wierzyć, że jest inaczej.

Uporałem się z koncentratem i przebiegłem wzrokiem ekrany. W porządku.

Oczywiście, że w porządku. Jak zawsze. Dotknąłem kieszeni na piersi. Skafander napęczniał, rozrósł się, jego zewnętrzne warstwy przybrały kształt centralnej części kabiny. Zrosłem się ze statkiem, stałem się jego składnikiem. Odetchnąłem głęboko i zamknąłem oczy.

Poczułem kołysanie. Spadam. Jeśli tak, biorę udział w zawodach starych maszyn powietrznych i mam awarię. Powinienem skakać. Powstrzymało mnie uderzenie. To przecież sen. We śnie człowiek spada, ale jego ciało nigdy nie osiąga miejsca, w którym miało się roztrzaskać. Znowu kołysanie.

Oprzytomniałem. Błyskawicznie zlustrowałem ekrany. Nic. Siadu czerwieni. Jednak mój skafander wrócił do rozmiarów roboczych.

Na tablicy błysnęło żółte światelko. Jeszcze raz. I jeszcze.

Już wiem. Sięgnąłem do pulpitu i przesunąłem tłumik fonii. Cisza.

Ktokolwiek mówił, uznał, że zrobił swoje.

Nie spiesząc się, sięgnąłem do zapisu. Brzęknął krótki, urwany sygnał, po czym w kabine zabrzmiał głos mężczyzny. Nie wiem, czemu od pierwszej chwili pomyślałem, że mówi człowiek.

- Uważaj, Danbor - popłynęło z głośnika - przejmuję statek. Idziesz bezpośrednim na Bruno. Zostań na fonii.

To było wszystko. Odczekałem kilka sekund, po czym powiedziałem:

- Halo, Bruno! Czyj to pomysł? Stęskniliście się?

Jakiś czas panowała cisza. Wreszcie dał się słyszeć charakterystyczny stuk, towarzyszący przejściu na łączność, jak mówią piloci, "żywą".

- Halo, Dan. Jest tutaj Cullen. Czeka na ciebie. Ma ci coś do powiedzenia.

Oczywiście, że człowiek. Dziwne. Łączność ze statkami naprowadzonymi z bazy powierza się zwykle automatom. Jeszcze dziwniejsze, że od razu go nie poznałem. Mitti, najmłodszy pilot w Zespole. Jeśli sam usiadł przy pulpicie, musi chodzić o coś więcej niż o koleżeńskie plotki. A w pierwszej chwili nie poznałem go dlatego, że jego głos brzmiał dzisiaj poważnie. Niemal ponuro.

- Dobra - rzuciłem. - Podać orbitę?

- Nie. Schodzisz głównym korytarzem - powtórzył.

Łączność czasowa to dobra rzecz. Można sobie pogadać. Nie jak pierwsi piloci, rzucający w przestrzeń skrótowe hasła kodu i tylko w określonych, z dokładnością do sekundy, porach doby. Komu przyszłoby dziś na myśl wymieniać nazwy statków, numery, symbole wywoławcze. Człowiek przedstawia się, zaczynając

mówić. A przecież komputery, rozdzielające łączność na podstawie selekcji głosów, wprowadzono do Zespołu zaledwie trzydzieści lat temu.

Szedłem przez obszar asteroidów. Czułem wokół siebie obecność tysięcy tych okruchów skalnych, bryłek pyłu, miniaturowych globów. Mógłbym powiedzieć, że je widziałem. Jakbym w bezkresnej pustyni odnalazł nagle ruchliwe miasto. Byłem bezpieczny. Teraz już tak. No cóż, samodzielnych lotów miałem za sobą stosunkowo niewiele. Do Zespołu Stacji Granicznych Drugiego Pasa Planetarnego dostałem się właściwie przypadkiem, po stażu, który odbyłem nie gdzie indziej, jak właśnie na Bruno. Myśl o przystąpieniu do Zespołu podsunął mi pewien znany bionik, u którego zdawałem jeden z dwóch końcowych egzaminów. Ale nie bez wpływu pozostały także wyniki testów po kursie pilotażu. No i lekarze.

Odechciało mi się spać. Splotłem dłonie na karku i starałem się nie myśleć. Gra pastelowych światełek i przekładanka linii na ekranach przestały mnie interesować.

- Mam złą wiadomość, Dan - powiedział Cullen, zanim zdążyłem zamknąć za sobą drzwi służby. Nie podszedł, żeby się przywitać. Stał w przejściu do dyspozytorni i patrzył mi prosto w oczy.

- Coś w Zespole? - spytałem.

- Fina... - zniżył głos.

Poczułem chłód.

- Fina miała wypadek - padło. Mówił teraz szybko, wybijając słowa, jakby odmierzał tempo marszu. - Trudno uwierzyć, że to się mogło zdarzyć... Nie zauważyła, że komputer sygnalizuje awarię automatycznego dozownika deuteru. Robili, co w ludzkiej mocy, ale sam rozumiesz, że... - zawiesił głos.

Moja głowa i kark stanowiły już litą bryłę lodu. Bezwiednie sięgnąłem ręką do szyi i odchrząknąłem.

Postąpił krok w moją stronę. Przez twarz przebiegł mu grymas. Nagle, bez żadnej myśli, wezbrała we mnie złość. Stoi i niecierpliwi się. Przygląda mi się jak choremu psu. Nie ma Finy...

Odczułem ciężar własnego ciała. Rozejrzałem się i ruszyłem w stronę fotela, ustawionego w rogu hollu, pod iluminatorem. Usiadłem.

Twarcą Cullena przybrała wyraz zaciekawienia. Zrobił gest, jakby chciał podejść i poklepać mnie po ramieniu. Kiedy w końcu przemówił, jego głos brzmiał

odrobinę mniej twardo.

- To teraz nie ma większego znaczenia - podkreślił słowo "teraz". - Ale nie chciałem, żebyś dowiedział się tam, w przestrzeni. Pomyślałem, że powiem ci od razu...

Urwał. Widać dotarło do niego, że nie słucham. Mruknął coś, co miało wyrażać dezaprobatę. Przystało mnie to nagle obchodzić. Chciałem zostać sam.

Wstałem i skierowałem się w stronę korytarza. Mijając jajowate przejście usłyszałem, że idzie za mną.

W nawigatorni był Mitti i nie znany mi pilot w roboczym kombinezonie. Bez słowa zawróciłem do hollu.

Nie ma Finy. Twarz jak u dziewczynki z kolorowej okładki tomu bajek. Szeroko rozstawione piwne oczy, które w słońcu robiły się złote. Pełne policzki zbiegające ku wąskiej, brodzie. Górna warga kapkę za głęboko wycięta, uśmiech dziecka słuchającego muzyki. "Dobrze, że nie będzie cię te pięć lat" powiedziała, kiedy odlatywałem na Europę. "Przekonamy się, jak jest z nami naprawdę..."

Nie mogła mnie oszukać. Byliśmy razem od czterech lat. Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek zostanę bez niej. Widziałem, że jest jej ciężko.

Minęło nie pięć, tylko trzy lata i jestem z powrotem. Niekoniecznie trzeba sobie coś wyobrażać, żeby to potem przeżyć.

Usłyszałem szmer. Odwróciłem się. Dość szybko, żeby pochwycić spojrzenie, jakie wymienili Cullen i Mitti.

Program wizyty został wyczerpany. Powinienem to zrozumieć. Każdy ma swoje sprawy. Ich - to sieć stacji badawczych, programy eksploracyjne i kłopoty z takimi jak ja. Moje - to teraz Ziemia. Wizyta w gabinecie specjalistycznym, rodzina, dom.

Poczułem nowy atak chłodu.

- Wracam do służby - rzuciłem, prostując się odruchowo. - Nie wiem dokładnie, po co mnie ściągacie, ale możecie to zrobić tutaj.

Dobiegający z nawigatorni przerywany akord sygnałów nagle ustał. Z każdą sekundą cisza stawała się bardziej obecna. Światła przygasły. Tutejszy dzień dobiegł końca.

Wreszcie Cullen westchnął. Powoli uniósł głowę i powiódł dłonią po włosach. Jego wzrok spotkał się z moim.

Przyleciał specjalnie, żeby mi powiedzieć. Ładnie. Zbyt ładnie, jak na to, w

czym pracujemy. Od kilku lat siedzi na Ziemi, w sztabie Zespołu. Ale był szefem stacji, kiedy odbywałem tu staż. Znał mnie trochę. Powinien zrozumieć.

- No?! - burknąłem.

Cullen drgnął.

- Nie - rzucił.

Czekałem.

- Nie - powtórzył. - Ściągamy wszystkich. Ale nawet gdyby to było możliwe, nie pozwoliłbym...

- Nie polecę na Ziemię - przerwałem.

- Polecisz - powiedział spokojnie.

Oczywiście, że polecę. Co mogłem zrobić.

W przejściu stanął Mitti.

- Poczekaj, Dan - przemówił tonem, jak by nagle zabolął go ząb. - Cullen, powiedz mu...

Mój były szef wzruszył ramionami.

- Chciałem - wycedził. - Zresztą... - spojrzał na mnie jakby w przypiływie zainteresowania - mogę...

Wzdrygnąłem się.

- Nie - syknąłem. - Powiedzmy, że muszę wracać. Zgoda. Ale przynajmniej nie mówcie. Tyle możecie dla mnie zrobić...

Stuk zamykanej klapy wjazdu przyniósł mi ulgę. Chętnie wypchnąłem ten ciężki płat stali i zatrzasnął raz jeszcze. Położyłem się w fotelu i przymknąłem oczy. Kiedy wreszcie spojrzałem na ekrany, od stacji dzieliło mnie sześć tysięcy kilometrów. Cullen wystartował trzy minuty przede mną. Pod ekranem łączności co kilka sekund błyskało żółte światło wezwania. Do samej orbitalnej, która przejęła mój statek, nie spojrzałem na przełącznik fonii.

Stacja pękała w szwach. Jak pszczoły matkę obsiadły ją setki większych i małych rakiet. W każdej z nich tkwili ludzie pościągani z całego układu, aby uczestniczyć w ostatnim akcie "operacji wieczność".

"Człowiek przekracza barierę czasu" głosiły nagłówki, kiedy odlatywałem. Nie miałem powodów, by w to wątpić. Co innego, czy zdoła stamtąd wrócić.

Czekałem dobre dwadzieścia minut, zanim mnie wywołano. Znalazłem się we



wnętrzu jednej z komór ładunkowych, przystosowanych naprędce do przyjmowania ludzi. Stąd, nieczynnym eskalatorem, mogłem przejść bezpośrednio do promu. W połowie korytarza otoczyli mnie ludzie. Po kilku dalszych krokach ich obecność zmieniła się w ścisk.

Prom spadł na jedno z małych, pływających lotnisk w rejonie Azorów. Morze zasnuła świetlista mgła. Słońce załamywało się w rozbryzgach miliardowego wybuchu pęcherzyków powietrza, uciekającego z podwodnej sieci pneumatycznych falochronów. Upał. Lekki wiatr zaciął chwilami rosą jak w pobliżu fontanny. Żółtoszare chmury, rozwleczone po całym niebie, sprawiały wrażenie wyprasowanych. Z pierwszego spotkanego stoiska wziąłem garść wielkich, prawie czarnych czereśni i nie opuszczając płyty lotniska poszedłem nad samą wodę. Strzelałem w nią pestkami i patrzyłem, jak giną w ruchliwej mgiełce. Stałem tak aż do chwili, kiedy zapowiedziano start mojego statku.

Pół godziny później wchodziłem do znanej mi od dzieciństwa hali uznamskiego dworca lotniczego. Tu dzień dopiero się zaczął. Niebo szarzało. Chmury wisiały nisko i miasto lśniło od wody. Moje miasto. Bardziej moje niż ląd, który opuściłem. Ale dziś czułem się tu nie mniej obco niż tam, pierwszej godziny po lądowaniu.

W macie czekały na mnie dwie informacje. Ojciec prosił, żebym skontaktował się z nim natychmiast po powrocie, a dyżurny Zespołu wzywał mnie do Instytutu Zdrowia przy Centrali na dziewiątą piętnaście.

Nie mogłem myśleć o domu. Nie teraz. Przebrałem się i wyszedłem na ulicę. Nie miałem żadnego planu. Nie myślałem, co zrobię z tymi trzema godzinami, jakie dzieliły mnie od wizyty w Instytucie. Szedłem przed siebie, omijając główne chodniki i estakady, piąłem się zaułkami wciętymi w zielone zbocza, schodziłem po kamiennych płytach, jakimi wyłożono kręte przejścia pomiędzy dachami. Do momentu, kiedy wokół mnie otworzyła się szeroka, pusta przestrzeń z majaczącymi w perspektywie budowlami portu, nie zdawałem sobie sprawy, że idę naszą zwykłą trasą, kiedy któreś z nas uznało, że są sprawy do obgadania.

Usłyszałem szum morza. Plaża. Jedyne miejsce, do którego docierają pulsujące jak przed wiekami fale. Na wprost wąska z tej odległości linia wysokiej skarpy. Tam chodziliśmy rzadko. O każdej porze dnia i nocy pełno tam było ludzi.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i nie patrząc za siebie, zacząłem iść w stronę brzegu. Kilka minut później dotarłem do wysokiego ogrodzenia, za którym widniała szeroka, płytka rynna. Morze było bardzo blisko. Skręciłem i szedłem chwilę wzdłuż ochronnej siatki, nad którą w szybkim rytmie migały ostrzegawcze lampki. Tam, dalej, świeciło słońce. Kilka, może kilkanaście kilometrów od brzegu chmury rozstępowały się, zapalały żółtym światłem i wsiąkały w błękit. Tylko nad lądem było szaro.

Stanąłem tak, że czubki moich butów znalazły się w wodzie. Morze przede mną zaszumiło nagle, jego powierzchnia zakipiała. Dał się słyszeć narastający, niski grzmot, przechodzący w matowy świst. W wylocie tuneli, mniej więcej dwieście metrów od brzegu, coś błysnęło. Strzelił podłużny, przypłaszczony kształt, przeleciał koło mnie, zanim zdążyłem odwrócić głowę, i runął na wodę, pozostawiając zjadliwe wrzenie fal, tłumionych natychmiast przez pracujące z maksymalną mocą falochrony. W ostatniej chwili za szklanymi ścianami rurowej konstrukcji mignął mi rząd kolorowych fiatów. Nie musiałem patrzeć na zegarek. Praga - Reykjavik, przez Kopenhagę i Oslo. Jeden z tych moriaków, którymi jeździ się chętnie nawet bez konkretnej potrzeby, które woli się od rakiet i wszelkich możliwych pojazdów powietrznych. Pomyślałem przez moment o łąkach w rezerwach Islandii. Byliśmy tam...

Utkwiłem wzrok w linii horyzontu. Po moriaku nie pozostało śladu. Powierzchnia wody drżała, miniaturowe eksplozje pęcherzyków powietrza wyrównały szeregi biegnące od brzegu równymi, zbiegającymi się w dali liniami. Lubilem ten widok. To znaczy lubiliśmy...

Cofnąłem się gwałtownie. Zawróciłem i sztywno wyprostowany ruszyłem w stronę miasta. Zaboląła mnie twarz. Sięgnąłem do niej palcami i zdałem sobie sprawę, że z całej siły zaciskam szczęki.

- Rodzice żyją?

W gabinecie panował mrok. Głos technika, zadającego pytania, grzązał w płątaniu przewodów; kabli, torów świetlnych łączących niezliczone przystawki aparatury informatycznej. Leżałem na wysokiej, twardej ławie, z głową tkwiącą w ażurowej półkuli otoczonej jakby kłębem metalicznej waty. Każde moje słowo było skrupulatnie rejestrowane. W pewnym momencie wyobraziłem sobie, jak jedno po drugim wpada do bębna przystawki zapisującej. Zaczynałem mieć dość.

- Żyją - mruknąłem. - Od urodzenia.

- Rodzeństwo?

Ten mógł o sobie powiedzieć, że trudno go zbyć byle czym. Minęło półtorej godziny, od kiedy załatwił stereotyp. Układ krążenia, nerwy, reakcje. Nie miałem się czego wstydzić. Wyniki odbiegały nieznacznie od schematu, który powstał w wyniku badania ludzi przebywających poza Ziemią pełne pięć lat, okres przyjęty we wszystkich służbach, ale odchylenia mieściły się w granicach normy. Potem przeszedłem do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie pobrano mi krew i gdzie przesiedziałem dziesięć minut w ekranizowanym pudle wielkości pralki, którego ściany połyskiwały nieprzyjemnym światłem, a chwilami stawały się niemal przezroczyste. To było coś nowego. Ale na dobre zabawa zaczęła się dopiero tutaj, kiedy ulokował mnie na twardej leżance, nałożył na głowę coś, co widziałem pierwszy raz w życiu, i przystąpił do pogawędki z wszystkimi atrybutami filmowego śledztwa. Po rodzinie, przebytych chorobach, ludziach, z którymi przestawałem, przyszła kolej na ideologię. Pytał, co sądzę o tym i owym okresie w dziejach Ziemi, tradycjach, wychowaniu, o stymulacji psychicznej i setkach takich rzeczy, których znaczenie odkrywa się zazwyczaj poniewczasie. Sprawdził od niechcienia moją pamięć, zonglując faktami historycznymi, a także wiedzę o kształtowaniu się prognoz naukowych w przeszłości i współcześnie. Przed kolejnym pytaniem uderzał w klawisz przystawki zapisującej, a po mojej odpowiedzi wyćwiczonym, bezwiednym ruchem kasował zapis, przekazując jego treść zespołom sumatora. Każde słowo czytał z leżącego przed nim pliku folii. Inaczej dawno posłałbym go do diabła razem z jego Krzywą Eiredowna, korekturą systemów samoregulujących się i Hiroszimą. Tak jak się sprawy miały, nie mogłem nawet mruknąć. Było aż nadto widoczne, że robi tylko swoje. Pomyślałem, ilu takich jak ja przeszło przez ten gabinet w ostatnich tygodniach czy miesiącach... Kiedy właściwie zaczęli? Mniejsza z tym, Nie moje zmartwienie.

W pewnym momencie ucichł i uniósł głowę. Usłyszałem szmer otwieranych drzwi.

- Kończycie? - zabrzmiał za mną męski głos, który wydał mi się znajomy.

- Na mnie nie liczcie - powiedziałem. - Od lat z nikim tak mi się dobrze nie gawędziło...

Usłyszałem przyciszony śmiech. Poznałbym, go na słońcach Centaura. Szef grupy ekspertów przy Zespole, Norin. Człowiek, który wszystko potrafi zrozumieć i wszystko wykpić.

- Wpadnij do mnie, jak skończycie - powiedział.

Mruknałem coś, co mogło wyrażać zgodę.

- Albo nie - przypomniał sobie. - Mam jeszcze coś do załatwienia. Najlepiej przyjdź po południu. O piątej?

- Dobrze.

- Czekam. Mam coś dla ciebie.

To ostatnie brzmiało poważnie. Zbyt poważnie, bym mógł odpowiedzieć.

Stuk zamykanych drzwi zagłuszyło trzaskanie aparatury. Technik utkwiał wzrok w folii. Z jego niemal nieruchomych warg wypłynęło kolejne zdanie. Jeszcze tydzień - przebiegło mi przez myśl - a nauczy się tego na pamięć.

Minęła dwunasta. Leżanka pode mną nasiąkała potem. Krótkie chwile milczenia wypełniał mi szum krwi w skroniach.

Głos ucichł nagle. Sekundę, może dwie nie działo się nic.

- Opowiedz o swojej dziewczynie...

Zerwałem się. Uderzyłem czołem w obrzeże wiążącej mi czaszkę aparatury i upadłem na wznak. Zamknąłem oczy.

- Na dziś dosyć - powiedziałem spokojnie. - Jeśli mi nie zdejmiesz tego kaptura, pójdę spać. Możesz tu zostać albo wyjść, to nie ma dla mnie znaczenia. Tak czy inaczej nie usłyszysz ode mnie słowa...

Dom był cichy jak wnętrze grotu. Wszedłem przez zawsze otwarty taras i zatrzymałem się pośrodku hollu. Powiodłem wzrokiem po fotelach, kwiatkach, rozrzuconych skrawkach folii. Nic się nie zmieniło, Ściany pokrywała ta sama ozdobna aparatura, którą bawiłem się jako pięcioletnie dziecko. W pewnej chwili mój wzrok spoczął na ulubionym fotelu ojca, stojącym bokiem do kominka. Stwierdziłem, że jego poduszka jest lekko wgnieciona, jakby ktoś siedział tam jeszcze kilka sekund temu i nagle uprzytomniłem sobie, że wróciłem do domu. Ale nie było to uczucie z tych, które przynoszą spokój.

Wszedłem po krętych schodkach, prowadzących do antresoli. Poprzedzał ją niewielki przedsionek z rozsuwanymi szklanymi ścianami, za którymi widniała żółtoszara o tej porze roku trawa. Zbocze spadało ostro w dół, przechodząc w porośniętą krzewami kotlinkę, opływającą parter.

Lubiłem tu przychodzić. Pozostali domownicy czynili to rzadko. Matka nigdy. Ojciec był konstruktorem światłowodów, nikt nie mógł przewidzieć, co i jakim głosem odezwie się raptem w jego pokoju.

Poczułem się zmęczony. Przywarłem plecami do framugi i przymknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, przede mną stał ojciec. Nie słyszałem jego kroków, odgłosu otwieranych drzwi, najmniejszego szmeru.

- Cześć, tato - powiedziałem, nie ruszając się z miejsca.

Uśmiechnął się. Westchnął, przetaił palcami skronie, po czym szybko, jakby coś sobie przypomniał, podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach. Uściskaliśmy się.

- Jesteś zmęczony - mruknął po chwili.

Przyjrzałem mu się. Miał ściągniętą twarz z szerokim cieniem pod oczyma. Znowu prześlęczał noc przy swoich datorach. Bo poza tym trzymał się dobrze. Wyglądał bodaj młodziej niż w dniu, kiedy żegnał mnie na lotnisku.

- Jest coś nowego? - spytałem, wskazując otwarte drzwi do pracowni.

Machnął ręką i uśmiechnął się. Nie potrzebowałem więcej. Niedawno zdobył nagrodę Rady Naukowej Rządu. I wszystko wskazywało, że na tym nie poprzestanie. Także teraz jego uśmiech był dostatecznie wymowny.

- Przyczynki... - mruknął lekceważąco.

Wrócił do drzwi, zamknął je starannie, po czym utkwiał dłonie w kieszeniach

fartucha i nie patrząc pod nogi zbiegł po schodach do hollu. Poszedłem za nim.

Usiadłem w fotelu i położyłem głowę na oparciu. Poczułem, że kleją mi się oczy.

- Powiedz coś - poprosiłem. - Inaczej zasnę.

Pominał to milczeniem. Chwilę stał przede mną, przyglądając mi się, następnie mruknął coś niezrozumiale i założywszy ręce na plecy, zaczął chodzić po pokoju.

- Ściągnęli cię - spytał wreszcie - w związku z Fina?

Nie poruszyłem się. Nie zrobiłem nic.

- Wróciłeś na stałe? Czy...

- Nie - uciąłem. - Nie w związku z Fina.

Zapanowała cisza. Po dobrej chwili usłyszałem westchnienie. Z głębi domu dobiegł jakiś ruch. Ojciec poruszył się niecierpliwie.

- Dan - zaczął z naciskiem - musisz zrozumieć, że...

Nie rozumiałbym. Nie teraz. Ta próba została mi jednak oszczędzona.

Pchnięte gwałtownie drzwi otworzyły się z łoskotem i do hollu wpadła pokrzykując piskliwym głosikiem Sosna, moja najmłodsza siostra. Za nią ukazała się uśmiechnięta twarz matki.

- Mogli to zrobić na Bruno - powtórzyłem z uporem.

Norin zachnął się. Przemierzył dwukrotnie gabinet od okna do lejkowatej niszy z pulpitem rozdzielczym, po czym zatrzymał się na wprost mnie. Zacerpnął powietrza, jakby sięgając do najgłębszych pokładów cierpliwości.

- Nie mogli - wycedził. - To zresztą bez znaczenia, mogli czy nie. I czy zechcesz w to uwierzyć. Sprowadzamy załogi z obiektów pozaziemskich, bo musimy. Nie sądzisz chyba, że kogoś z nas to bawi. I na tym można by poprzestać, gdybyś zajmował się, powiedzmy, hodowlą drobiu. W naszej służbie albo idziesz w czołowej grupie, ale razem z ludźmi, albo...

- Nie jesteś nam potrzebny - podrzuciłem.

- To właśnie chciałem powiedzieć - zakończył niezmiennym tonem bez chwili namysłu.

Wstałem. Okrążyłem fotel i przejechałem palcami po jego oparciu. Było przeźroczyste, szorstkie i elastyczne zarazem, Nie znosiłem takich mebli. W dzieciństwie dostawałem od nich wysypki.

- Rozumiem teraz - mruknąłem - dlaczego kazał mi pan przyjść po obiedzie.

Kazanie na pusty żołądek mogło mi zaszkodzić - mimo woli podniosłem głos. To przynajmniej stało się dla mnie jasne. Oczywiście, Cullen. Poskarżył się. Przyjechał z tym prosto z lotniska. Inaczej Norin nie zdążyłby "przypadkiem" trafić do gabinetu informatycznego, gdzie zabawiałem rozmową nieszczęsnego technika.

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Oderwałem się od fotela i podszedłem do okna. Pracownie grupy ekspertów zajmowały najwyższe piętro głównego pawilonu. Szefowi grupy, Norinowi, przypadł narożny gabinet, jedyny pokój zasługujący na tę nazwę w długim ciągu laboratoriów, uzbrojonych w aparaturę sprzężoną z węzłami światowej sieci informacyjnej. Ogołoczone z liści drzewa nie przesłaniały widoku dziesiątków płaskich budowli, wzniesionych na planie figur geometrycznych. Cały ogromny teren Centrali wyglądał jak wymarły. Tak było zawsze. Z szesnastu tysięcy ludzi zaledwie czterdziestu stale pełniło służbę tutaj, na miejscu. Pozostali, podobnie jak załogi fabryk, przetwórci, urzędów, szkół i zakładów naukowych pracowali u siebie w domu, w podróży, na wyspach czy w górach, gdzie komu było wygodniej i gdzie ze względu na specyfikę własnego organizmu człowiek mógł uaktywnić maksimum możliwości twórczych. Nie darmo ubiegły wiek zyskał w historii miano epoki łączności czasowej.

Od morza nadciągała pogoda. Szczyt pawilonu dotykał jeszcze chmur, ale wąski jak nóż skrawek plaży złocił się w słońcu, jakby ład obramowany był świeżo wypolerowaną miedzianą listwą. Pomyślałem o wolińskim parku z jego zarośniętymi ścieżkami, jeziorami, o namiocie w wysokiej, suchej trawie na długim cyplu, przypominającym rzuconą na wodę gałąź... Były i inne miejsca...

- Posłuchaj, Danbor...

Drgnąłem. Tylko Norin używał w rozmowie mojego pełnego imienia, którego nie cierpiałem. I ten ton, obcy jego głosowi, ton, jakby odsłaniał pomnik i wypowiadał właśnie zwyczajową formułkę.

- Chciałem - podjął po chwili - powiedzieć coś o tobie i o Finie. Inaczej mówiąc o...

- Czy naprawdę - przerwałem, nie odwracając się - nie mógłbym teraz wyjść?

Odetchnął głęboko i wyprostował się.

- Uważasz, że nie ma o czym mówić? - spytał spokojnie.

Opanowałem się. W ten sposób nie osiągnę niczego. Najwyżej przedłużę tę scenę jak z kiepskiego melodramatu.

- Dobrze - powiedziałem. - Ale umówimy się co do jednego. Jeśli

rzeczywiście jest coś do załatwienia, pozostaniemy wśród żywych.

- Nic innego nie robię - odparł szybko. - Wypadek Finy... - urwał. Zapanowała cisza.

Wypadek. Jak to zabrzmiało! Awaria automatycznego dozownika deuteru. Awaria... Fina pracowała w Ośrodku Mocy Progowych Bałtyckiego Rejonu Energetycznego. Kto tam nie był, temu nic nie powie słowo "awaria"...

- Masz rację - podjął wreszcie Norin stłumionym głosem, jakby pokonując wewnętrzny opór - nie chodzi o Finę. Wspomniałem o niej, bo sądzę, że to przez nią odrzucasz szansę spełnienia odwiecznych marzeń ludzkości...

- ... o trwaniu - dopowiedziałem. Urwał, zaskoczony. Chwilę patrzył mi badawczo w oczy.

- No, powiedzmy... - mruknął wreszcie bez przekonania.

- Niczego nie odrzucam - zacząłem już innym tonem. - Po prostu nie o wszystkim mam ochotę mówić i jeżeli pan tego nie rozumie...

- Nie bądź dzieckiem, Danbor - przerwał gwałtownie. - Nie chodzi o przyjemności. Moje ani twoje. Co to znaczy, że niczego nie odrzucasz? - dodał szybko. - Przecież przed chwilą...

- Przed chwilą - podchwyciłem - mówił pan nie o mnie, tylko o Finie. A teraz okazuje się, że chodzi jeszcze o coś innego. Ni mniej, ni więcej, tylko o ludzkość. Proszę bardzo, mówmy o ludzkości. Powiedziałem, że niczego nie odrzucam i podtrzymuję to. Dostosuję się, jeśli będzie trzeba. Jak pan zauważył, nie jestem dzieckiem. Co nie znaczy, że musi mi się podobać wszystko to, co panu. Czy nawet przytłaczającej większości, jeśli to prawda. Każdemu jest przyjemnie pomyśleć, że nigdy nie umrze, że będzie mógł wracać w nieskończoność, a w każdym razie jak długo zechce, do wszystkich najpiękniejszych przeżyć, uczuć, najmiłszych mu ludzi. Że jego planów życiowych, zamierzonych prac i tak dalej nie ogranicza czas. Nie jestem wyjątkiem. Ale jeśli się coś robi z myślą o wszystkich, o ludzkości, skoro już padło tutaj to słowo, trzeba umieć patrzeć dalej własnego nosa. Nie odrzucam nieśmiertelności. Uważam, że nie dorośliśmy do niej. Że czas za mocno tkwi jeszcze we wszystkim, co podejmujemy, myślimy i czujemy. Że jest nadal głównym lepiszczem stosunków społecznych z ich etyką, moralnością, prawem, a nawet organizacją. Że nie rzucamy się w perspektywę, jaką otworzyła nowoczesna biologia wszyscy razem, tylko każdy z osobna. Trzy lata temu, kiedy odlatywałem na Europę, nikt jeszcze nie wiedział, jak się do tego zabrać. A przecież techniczne czy



technologiczne możliwości istniały już wtedy. Mówiono, że w konsekwencji czeka nas przeobrazenie w jakościowo inną rasę i że nie ma takiego, kto potrafiłby przewidzieć, co z tego wyniknie. Argumenty przeciwników brzmiały rozsądnie i przekonująco. Nikt się nawet nie zająknął, że rzecz może dotyczyć naszego pokolenia. A tymczasem minęły trzy lata i proszę - szast-prast - wszystko załatwione...

- Kiedyś - przerwał - musiały przyjść takie właśnie trzy lata. Mogło być mniej...

- Ale nie teraz - odparłem. - Przynajmniej jeśli chodzi o to, co ja o tym myślę. Nie wiem dokładnie, co zrobiono przez te lata, ale cokolwiek to było, za wcześniej mówić o sukcesie. Tego jestem pewny.

Chwilę się zastanawiał, mierząc mnie wzrokiem. Wreszcie mruknął coś i zaczął chodzić po pokoju. W jakimś momencie charakterystycznym dla niego ruchem przygładził włosy.

- Jeśli wspomniałem o Finie - powiedział z namysłem - to dlatego, że chciałem oszczędzić ci... - zawahał się - niespodzianki. Ale jeśli tak stawiasz sprawę - wycofał się szybko - zgoda. Przyjmuję. Mniejsza, czy byłeś szczery. Raczej nie. Ale może to nie twoja wina. Pogadam z Cullenem... - mruknął.

A więc jednak.

- Masz rację w jednym - ciągnął Norin. - Nasza rozmowa jest przedwczesna. Sam mówisz, że nie wiesz, co tu zrobiono przez te lata, kiedy cię nie było. Dowiedz się. Przejrzyj materiały, publikacje, protokoły dyskusji... Są także popularne wydawnictwa, filmy, programy... zresztą natkniesz się na nie, choćbyś nie chciał. Nie było w historii akcji oświatowej o takim rozmachu. Potem zadecydujesz. A przynajmniej będziemy mogli rozmawiać na innej płaszczyźnie. Sądzę - uśmiechnął się szeroko - że nie pozbawisz mnie tej satysfakcji... czy w każdym razie - poprawił się - przyjemności.

- Nie pozbawię - burknąłem.

Zachichotał. Ten jego śmiech... Znowu był sobą.

- Musisz mieć na to czas - podjął po chwili, poważniejąc. - I spokój. Mam coś dla ciebie. Złożyłeś meldunek... - urwał i utkwiał we mnie pytający wzrok.

- Tak - potwierdziłem. - Ktoś powinien o tym pomyśleć. Im wcześniej, tym lepiej!

- Właśnie - ucieszył się.

Wzruszyłem ramionami. Raport sporządziłem jakieś trzy tygodnie temu. Jeśli

dotychczas nic nie zrobili, to znaczy, że ich zdaniem nie było powodu do pośpiechu. Czyli, że Norin chciał mnie tylko czymś zająć. Czymkolwiek. Mogłem się oburzyć. Ale sprawa, którą poruszyłem w meldunku, wymagała wyjaśnienia niezależnie od tego, co oni myśleli.

Prowadziłem kontrolne pomiary pantomatów, rozrzuconych poza strefą mojej stacji na obrzeżu układu, a nawet poza apheliami komet. Dzięki względnej bliskości źródła emisji udało mi się wychwycić coś, co zmuszało do zastanowienia. Mniej więcej miesiąc temu centralny pantomat nagle, bez żadnego widocznego powodu wstrzymał ruch wirowy wokół własnej osi. Jakby zasnął. Ale ten sen był pozorny. Bo pracował jak dawniej. Tyle że symbole liczbowe, którymi porozumiewał się z sąsiednimi mózgami, różniły się od tych, jakich używał w kontaktach z Ziemią. Zmiany występowały z reguły na dziewiątym miejscu po przecinku, ale nie chodziło przecież o wielkości przekłamań.

Pantomaty są zespołami komputerów scalających wiedzę i nie bez powodu ulokowano je w bezpiecznej, jak się zdawało, odległości od Ziemi. Aby mogły rozwiązać każdy zadany problem, z uwzględnieniem wszystkich możliwych analogii, uwarunkowań czasowych i prognoz, ich zasobniki pamięciowe należało wyposażać w pełną informację o ludzkiej cywilizacji. Dysponowały bezprzykładną wiedzą. Jako względnie odosobnione systemy samoorganizujące się pantomaty posiadały ponadto określoną swobodę manewru, która z konieczności dopuszczała pewien stopień nie kontrolowanej ewolucji. Co nie znaczy, że liczone się z niespodziankami. Stwierdzono tylko ich teoretyczną możliwość. W rzeczywistości każde naprawdę skuteczne zabezpieczenie musiało sprowadzić spekulatywne funkcje komputerów scalających do zakresu mózgów pomocniczych. A tych dosyć było na Ziemi. Tym bardziej fakt, że jeden z największych pantomatów przekroczył próg samodzielności, zasługiwał na najwyższą uwagę.

- Trzeba to sprawdzić - powiedział Norin. - Możesz dysponować aparaturą Korpusu i wszystkim, co uznasz za niezbędne. Poza, oczywiście, zespołami utrzymującymi łączność z Drugą Strefą. Sam rozumiesz...

Rozumiałem. Rozumiałem także, co to oznacza. Wyłączenie tysięcy sekcji, przeprogramowanie węzłów informatycznych, lekko licząc miesiąc. Wszystko, żeby pobawić się z pantomatem w ciuciubabkę. I wygrać.

- Zgoda - mruknąłem.

- Dobierz sobie ludzi - oświadczył łaskawie. - Nie możesz pracować bez

przerwy. Zwariowałbyś do reszty - zaśmiał się. - Poza tym - dodał - zyskasz na czasie. Zdążysz zapoznać się z przesłankami, jakie uwzględniono przystępując do "operacji wieczność"...

Ton jego głosu stał się kpiący. Kamień spadł mi z serca. To był znowu Norin ze wszystkim, co się za tym kryło. Utkwiłem wzrok w emblemacie na jego ramieniu i nagle spłynęło na mnie olśnienie.

- To mi odpowiada - powiedziałem niedbałym tonem. - A potem złożę wniosek o przeniesienie. Do Trzeciego.

Znieruchomiał. Twarz mu stężała. Przyglądał mi się chwilę, po czym zagryzł wargi i odwrócił się. Przeszedł pod okno, wrócił, ponownie zmierzył mnie wzrokiem, jakby dopiero teraz moja obecność wpadła mu w oko, wreszcie założył ręce na plecy, wyprostował się i powiedział:

- Nie można z tobą rozmawiać. W każdym razie nie dzisiaj. Idź już.

Uśmiechnąłem się.

- Pójdę - przystałem. - Ale to niczego nie zmieni.

Korpus tak zwanego Trzeciego Pasa nie miał stałej załogi. Kierowano do niego ochotników, wybranych z funkcjonariuszy dwóch pierwszych. Był to pas pozaukładowy. Od dawna mówiono o wyprawach, powstała nawet teoria "planet zastępczych", ale chociaż dla wszystkich było jasne, że człowiek prędzej czy później sięgnie i do gwiazd, nikomu się nie śpieszyło. W kontakt z inną cywilizacją galaktyczną, ów "Kontakt", który stał się religią ubiegłych stuleci, nie bawiły się już nawet dzieci. Wysyłano patrole, sprawdzano kombinacje napędu, badano wpływ szybkości nadświatłowej na organizmy, wszystko statecznie, po cichu, jakby bez przekonania. Ludzie prowadzący te badania w nielicznych bazach Trzeciego Pasa, cieszyli się opinią współczesnej legii straceńców. W sam raz. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem.

- Wracając do Finy - powiedział nieoczekiwanie Norin, kiedy stałem już w otwartych drzwiach - zajrzyj do mnie, jak tylko skończysz tam, na Pacyfiku. Mimo wszystko chciałbym...

- Do widzenia - syknąłem. - Jeśli koniecznie musimy do czegoś wracać, wolałbym średniowiecze. Niektóre rzeczy załatwiało się wtedy prościej.

Zamknąłem drzwi. Idąc korytarzem pomyślałem, że tak naprawdę Norin chciał powiedzieć coś całkiem innego. Tym bardziej należało zakończyć rozmowę, zanim będzie za późno. Wiedziałem jedno. Dużo wody upłynie, zanim ujrzą mnie tu znowu.

"Wstąp do mnie..." Dobrze sobie.

Pracowałem okrągłe pięć tygodni. Cały ten czas nie wyściubiłem nosa z wnętrza białej kopuły, wyrastającej na Pacyfiku w pobliżu archipelagu Gilberta jak gigantyczna góra lodowa. Główny Ośrodek Dyspozycyjny Światowej Sieci Łączności - tak to się nazywało. Nie wiedziałem, czy morze jest spokojne i kiedy leje deszcz. Zapuściłem brodę. Z nieszczęśnikami, na których padł mój wybór, zamieniłem może dziesięć zdań.

Dokładnie trzydziestego szóstego dnia pracy, o trzeciej czasie miejscowego, hala opustoszała. Stanęły bębny podające taśmę. Umilkły przekaźniki. Zostałem sam.

Po raz pierwszy usłyszałem dobiegający z zewnątrz szum wiatru. Odchyliłem oparcie fotela niemal poziomo i zamknąłem oczy. Na kilka sekund. Po chwili raz jeszcze spojrzałem na szklaną płytę najbliższego pulpitu. Widniał na niej wąski, urwany skrawek folii. Był tam naprawdę. A więc koniec.

Jeden, jedyny wzór. To, co na dobrą sprawę było wiadome od początku. Zniekształcenia powstają na pomocniczych wyjściach centralnego pantomatu. Ani ziemskie, ani orbitalne węzły łączności, stacje przetwarzania, zespoły zbiorcze - nie miały z tą sprawą nic wspólnego.

Sporządziłem krótki komentarz i zapisałem meldunek. Tak. To naprawdę koniec.

Wstałem i nie śpiesząc się, w zwolnionym rytmie uderzałem w klawisze, aż ściemniały wszystkie ekrany i pogasły światła w pulpitach. Następnie odwróciłem się i ruszyłem w kierunku sączącej nikle, złotozielone światło ściany. Tam, za niską podkrową korytarza mieściła się część mieszkalna ośrodka. Nie spojrzałem nawet w stronę drzwi wiodących do mikroskopijnej kabiny, gdzie był mój plecak i gdzie w ciągu tych pięciu tygodni czasem nawet spałem. Przeszedłem korytarzem do końca, odryglowałem klapę i znalazłem się w morzu. Świeciło słońce. Daleko nad horyzontem stała ściana spłowiałych chmur. Wiatr ucichł, od wody biło ciepło, powietrze było parne jak w cieplarni.

Wspiąłem się stalową galeryjką mniej więcej do połowy wysokości kopuły. Zachciało mi się spać. Usiadłem, zwieszając nogi przez przęsła balustrady, oparłem się łokciami na poręczy i zapatrzyłem się w horyzont.

Nie zmarnowałem tych pięciu tygodni. Nie, żebym wertując materiały trafił na coś, co potwierdzało moje wątpliwości dotyczące "operacji wieczność". Po prostu nie

znalazłem na nie odpowiedzi.

Zwyciężyła koncepcja genoforów. W wyniku nowego procesu technologicznego udało się je zminiaturyzować w stopniu niespotykanym dotąd w skali produkcyjnej. Robiono je w kształcie ściętych płasko walców, nie przekraczających wielkością szklanki. Były i tak - jak pisano - nieproporcjonalnie wielkie, zważywszy, że jedna komórka ludzkiego organizmu mieści około miliona genów, składających się z trzech miliardów zasad nukleinowych. Przypominano, że ich sekwencja dopiero decyduje o właściwościach organizmu i że na tej to przestrzeni zakodowana jest wiadomość o syntezie białek, które katalizują tysiące najrozmaitszych, równocześnie przebiegających, reakcji. Zresztą wielkość aparatury nie miała praktycznego znaczenia, odkąd odstąpiono od koncepcji rejonowych stacji genoforowych na rzecz osobistych, domowych. Założenia samej operacji nie odbiegały od tego, co było wiadomo wiele lat wcześniej, nim skierowano mnie na Europę. Każdy żyjący człowiek miał otrzymać swoją dokładną kopię w stadium embrionalnym. Z pełnym zapisem osobowości, a więc nie tylko kodu genetycznego, ale i cech nabytych, z kompletną specyfiką rozwiniętego organizmu. Kiedy pierwowzorowi tak spreparowanego, zamkniętego w genoforze płodu przytrafi się coś niemiłego, na przykład upadek z czterdziestego piętra, eksplozja statku na wysokości Jowisza czy wreszcie śmierć ze starości, w domu delikwenta pojawia się ekipa techniczna, jak dawniej pogotowie, zabiera genofor i umieszcza go w specjalnym inkubatorze. Tam następuje nałożenie na matrycę genetyczną aktualnego zapisu osobowości, po czym wszystko to wjeżdża do swoistej pieczarkarni, z której miesiąc później wyłazi gotowy człowiek, kubek w kubek podobny do siebie samego sprzed wypadku. Ten przyśpieszony proces rozwoju osobniczego przebiega, rzecz jasna, pod stałym nadzorem baterii stymulatorów, czuwających, aby wszystko odbyło się tak, jak zapisano w górze. W czternastu ściśle zaprogramowanych etapach „kopia” otrzymuje pełną świadomość, wszystko, co daje człowiekowi poczucie ciągłości działania w czasie.

Tu nasuwała się pierwsza wątpliwość. Odczyty osobowości trzeba, rzecz jasna, systematycznie aktualizować, jeśli człowiek nie chce po wypadku wyleźć z pudła w stadium rozwoju, w jakim znajdował się na przykład w wieku jedenastu lat i wpaść prosto w objęcia nauczycielki matematyki.

Otóż ta właśnie sprawa wywołała, jak wynikało z protokołów dyskusji, niemało kontrowersji. Nikt tego wprost nie powiedział, ale z wielu napomknięć i

niejasnych przejawów zakłopotania przebijała obawa, że ten i ów zechce pominąć kolejne terminy aktualizacji zapisu osobowości, aby gdy przyjdzie śmierć, powrócić do życia odmłodzonym o kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. A przecież człowiek odtworzony w drodze przyspieszonego rozwoju nie pamiętał, bo nie mógł, niczego, co dotyczyło okresu, jaki upłynął między ostatnim zdjętym odczytem jego doświadczeń życiowych z zawartą w nich mądrością, wiedzą i uczuciami - a śmiercią. W razie rozpowszechnienia się sposobu "odmładzania" poprzez unikanie aktualizacji odczytu, społeczna strata, na którą złożyłaby się suma tych "zgubionych" doświadczeń, mądrości i uczuć poszczególnych ludzi, musiała osiągnąć rozmiary niepokojące. Z punktu widzenia interesu ludzkości cała zabawa mogła stać się wówczas nieopłacalna.

Nie natknąłem się w raportach i publikacjach na żadną rozsądną propozycję zapobieżenia złu, przyjęto za pewnik, że sprawa znajdzie pełny wyraz w opracowywanym kodeksie, którego paragrafom natychmiast wszyscy się podporządkują. Wówczas jednak powstawała inna kwestia, równie, jeśli nie bardziej, niepokojąca. Przy założeniu, że wszyscy, jak Ziemia długa i szeroka, skrupulatnie będą się poddawać odczytom uzupełniającym w przewidzianych terminach, stawało się oczywiste, że za kilkaset lat planeta będzie zaludniona wyłącznie przez dwustuletnich starców. Jeśli ktoś umrze, jego kopia odrodzi się młodsza zaledwie o kilka czy kilkanaście miesięcy. Życie natomiast będzie dłużej od pierwowzoru, co wynika chociażby z rachunku prawdopodobieństwa. Kiedy i ona umrze, jej następczyni wejdzie w życie już w podeszłym wieku i tak dalej, i dalej. A przecież umysł ludzki, zachowując pełną sprawność przez okres, jaki nie mógł się nawet przyśnić starożytnym, przecież podlega procesom polegającym, nazywając rzecz po imieniu, na pierniczeniu. Społeczeństwo sędziwych starców?

Z tym na odmianę poradzono sobie w miarę sensownie. W każdym razie postanowiono coś konkretnego. Ustalono po prostu górną granicę wieku, powyżej której nie wolno dokonywać aktualizacji zapisu świadomości. Jeżeli ktoś na przykład dożył dwustu trzydziestu lat, mógł się odrodzić jako mężczyzna najwyżej stu pięćdziesięcioletni. Wszystko, co przeżył potem, musiał spisać na straty. Nie sądzę, by ktoś tego szczerze żałował.

Całkowicie niejasna, jak zresztą przypuszczałem, pozostała kwestia wprowadzania do ziemskiej społeczności świeżej krwi w postaci nowych pokoleń. W każdym tekście, każdym sprawozdaniu, ba, w każdym najdrobniejszym przyczynkarskim referacie czy przemówieniu podkreślano, że sprawa rodzenia i

wychowania dzieci ma decydujące znaczenie dla przyszłości świata. Że gdyby w wyniku "operacji wieczność" miały nastąpić zakłócenia w dopływie nowych generacji, stanowiłoby to aż nadto wystarczający powód zaniechania całego zamierzenia. Postępowanie takie przypominało taktykę średniowiecznych agitatorów, polegającą na przedstawianiu rzeczy niezrozumiałych dla nich samych, jakby były zrozumiałe same przez się. Ku czemu bowiem miał zmierzać ten dopływ świeżej krwi wobec zaniku rotacji pokoleń? Ktoś obliczył, że w obecnym stadium organizacji życia społecznego, Ziemia może bezkarnie wchłaniać nowe generacje, nie rezygnując z żyjących, przez trzysta pięćdziesiąt lat. A co potem? Współcześni jakby zapomnieli, że od odpowiedzi na to pytanie zależeć będzie nie los ich praprawnuków, ale ich samych. Owszem, między wierszami dało się wyczytać sugestie, że planowanie rodziny powinno ulec pewnym modyfikacjom, że nadszedł czas naprawdę rozsądnego, przemyślanego gospodarowania siłami rozrodczymi ludzkości, że osiągnęliśmy pułap, na jakim instynkty jednostek straciły naturalne uzasadnienie i nie mogą już stanowić nakazu. Sugestie te były jednak tak nieśmiałe i zawołowane, że należało je traktować raczej jako przejaw zakłopotania niż jako przemyślaną koncepcję. Do czego zresztą miałyby się sprowadzać to "rozsądne gospodarowanie"? Kto i kiedy zyskiwał prawo płodzenia dzieci? Kto przyznawałby takie prawo? Jakie kryteria mogły wchodzić w grę?

Najsilniej utkwiała mi w pamięci treść pewnego propagandowego, czy instruktażowego zgoła, holowizyjnego programu, który powtarzano codziennie dwa razy, po południu i na dobranoc.

W rogu pokoju pojawiał się uśmiechnięty młody człowiek o miękkich rysach i po nieznośnych ceremoniałach powitalnych zapowiadał, że opowie o sobie. Mówił, że do niedawna wiedział o biologii tyle, co każdy laik. Jak to po chemicznej syntezie kwasów nukleinowych i pierwszych przeprowadzonych w nich zmianach, człowiek nauczył się ingerować w układy genetyczne. Umożliwiło to odmienianie procesów dziedziczności, eliminowanie chorób i zniekształceń metabolicznych, a także blokowanie syntezy tych białek, których obecność z jakichś powodów okazała się niewskazana. Równocześnie ogromny postęp osiągnęły badania nad samymi genami, tymi odcinkami - tu pięknieś bezczelnie sięgał po leżący przed nim podręcznik - kwasu dezoksyrybonukleinowego, zawierającymi komplet informacji niezbędnych dla przekazania potomkom zarówno specyfiki gatunku, jak i cech indywidualnych. Możliwe stało się wymazywanie matryc genetycznych, przekształcanie, uzupełnianie

kodów. Wreszcie prowadzone od dziesięcioleci doświadczenia nad przyspieszaniem procesów rozwojowych przez oddziaływanie na białka zakończyły się sukcesem. Wtedy dwóch młodych bioników z Instytutu Psychologii w Mostarze opublikowało memoriał zaczynający się od słów...

Piękniś poważniał, puszył się i recytował:

"Od kiedy pierwszy raz człowiek pomyślał o przemijaniu, zapragnął trwania. Pragnienie to dziś może się stać rzeczywistością..."

Pamiętałem ten memoriał. Miałem wówczas czternaście lat. Lim, mój brat, wrócił do domu z podbitym okiem wyjaśniając, że chciał sprawdzić, czy jego kolega ze studiów, celer z biologii, naprawdę jest nieśmiertelny. Ojciec powiedział wtedy, żeby sobie nie dowcipkował, bo to poważna sprawa. Ale w gruncie rzeczy nikt nie brał jej serio.

Narrator, już znowu pławiąc się w uśmiechu, wyznawał, że przyszedł na świat dokładnie w dniu ogłoszenia memoriału. Jego życie biegło normalnym trybem. Miał najmilszych pod słońcem rodziców, skończył szkołę, studiował, staż odbył w Centralnym Zarządzie Upraw na Saharze. Ożenił się z dziewczyną, której rodzice mieszkali w Rydze. Wspólnie pracowali, dwa lata po ślubie urodził im się syn.

W tym momencie piękniś malał, a przed oczami widza wyrastał obraz tarasowate zbudowanej willi, otoczonej piniami. W głębi widniały góry, z lewej teren ginął pod powierzchnią jeziora. Na przystani kołysała się żaglówka. Przed domem, w cieniu, pomiędzy kolorowymi fotelikami baraszkowała szczęśliwa rodzina. Wyglądało, że całe życie nie robili nic innego. Jednakże w pewnej chwili pan domu wstał, wyprostował się i demonstracyjnie spojrzął na stylizowany zegar zdobiący frontową ścianę willi. Dziewczyna podniosła się również. Dziecko posmutniało. Głosem zapowiadającym klęskę narrator wyjaśnił, że musi udać się na okresową inspekcję doświadczalnych upraw hydroponicznych czy czegoś w tym rodzaju. Żona też za chwilę zamknie się w domowej pracowni.

Rzeczywiście. Zaledwie mąż opuścił pole widzenia, chłopczyk został odprowadzony do willi, a dziewczyna zniknęła we wnętrzu niewielkiej przybudówki. Budowla ta przypominała płasko ścięty wierzchołek kuli, jakby mieli w niej podręczne planetarium. Cokolwiek tam jednak było, nie cieszyli się tym długo. Minęło kilkanaście sekund, potrzebnych kompozytorowi podkładu muzycznego dla spotęgowania nastroju grozy, i z przybudówki trysnął słup ognia.

Narrator pojawił się znowu. Był poważny. I tylko poważny. Jego żona



pomieszała odczynniki, przez co nie zdołała zapanować nad wyzwoloną w czasie eksperymentu reakcją. Jej ciała daremnie byłoby szukać w niewielkiej kupie gruzu, wszystkim, co pozostało z półkolistej pracowni. Tragedia.

Tragedia? Skądże znowu. Kiedyś, w zamierzonych czasach zapewne tak właśnie by to nazwano. Ale teraz? Owszem, odrobina współczucia, żalu, że kochana istota cierpiała przez ułamek sekundy. Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie odda się z tego powodu rozpaczy. Bo przecież...

Obraz przeniknął nagle do wnętrza domu. Ukazała się komórka czy inne pomieszczenie, przypominające schowek w staroświeckim zamku. Pancerne drzwi były uchylone. W głębi widniały trzy niewielkie walcowate przedmioty i tyleż nieco większych skrzynek, opatrzonych perforowanymi etykietami.

"Genofory!" - wykrzyknął tryumfalnie piękniś. Oto, co podporządkowało człowiekowi czas i wieczność wszechświata. Co przepędziło z życia widmo śmierci. Tragedia przemieniła się w drobną przykrość dzięki temu, że rodzice żony, która pomieszała odczynniki, skorzystali z dobrodziejstwa epoki i zawczasu sporządzili drugi egzemplarz córki.

Była to oczywista nieprawda, ponieważ genofory doczekały się rozpowszechnienia w ostatnich miesiącach i piękniś żadną miarą, nie mógł cieszyć się ich posiadaniem w czasach, kiedy rozgrywała się akcja filmu. Ale mniejsza z tym.

Następował bogato ilustrowany wywód, upstrzony uczonymi terminami. Biała płachta, za którą poruszają się cienie ludzkich sylwetek. Stacja rehabilitacyjna. We wnętrzu specjalnej aparatury pobrane od matki jajo łączy się z nasieniem ojca. Akt pierwszy spełniony. Przed moim odlotem rozpisywano się o syntetycznych matrycach genetycznych sporządzonych na podstawie, jak wówczas mówiono, modeli pośrednich. Widać coś się zmieniło. Przynajmniej tyle. Teraz preparowany po raz drugi człowiek otrzymywał bodaj coś bezpośrednio od swoich prawdziwych rodziców.

Akt drugi "operacji wieczność" w wydaniu uśmiechniętego narratora rozegrał się bezpośrednio po pierwszym. Przed upływem trzydziestu ośmiu godzin, czyli przed pierwszym podziałem komórek to coś, co od biedy można nazwać płodem, zostało umieszczone w genoforze. Na połączone przekazy matki i ojca "nałożono" trzeci, stanowiący swego rodzaju zadanie dla tamtych, model dojrzałego człowieka, jaki ma powstać w wyniku rozwoju osobniczego. Ten wzór pochodził oczywiście od córki, kiedy była już żoną pięknisia, skrupulatnie przestrzegającą kolejnych terminów

aktualizacji zapisu osobowości.

Sam zapis, dokonany za pomocą specjalnej aparatury informatycznej, przechowywano w owych towarzyszących genoforom "skrzyneczkach". Zdejmowanie świadomości odbywało się w dwóch etapach. Pierwszy polegał na uzupełnieniu czynników subiektywnych czy lepiej emocjonalnych, czemu służył między innymi system uniwersalnych testów.

Opracowano go w formie ankiety i dopiero, kiedy pierwszy raz obejrzałem tę reklamówkę, dotarło do mnie, jaki sens miała moja "pogawędka" z technikiem, w czasie której tkwiłem głową w pajęczynie przewodów odpowiadających torom informacyjnym mózgu.

Po upływie kilku tygodni człowiek zgłaszał się ponownie do specjalistycznej pracowni, gdzie dokonywano drugiego odczytu. Zestaw testów nie różnił się zasadniczo od poprzedniego, ważniejszy był sam fakt przesunięcia w czasie, dzięki czemu zapis otrzymywał jak gdyby perspektywę. Utrwalona świadomość teraz dopiero zyskiwała cechy procesu, jakim jest w istocie i w tej postaci uzupełniała model "zadany" spreparowanej przedtem informacji genetycznej.

Posiadając taki właśnie załączek drugiej żony, a raczej duplikatu tej samej, uśmiechnięty bohater filmu patrzył w przyszłość z ufnością. Katastrofę przyjął jako niemiłą, bo mącący spokój sielankowego zacisza epizod. Natychmiast sięgnął do domowego skarbcza genoforów. Ściśle mówiąc nie on sam, tylko ekipa biotechników z pogotowia. Zarówno szklankowaty walec, jak i skrzyneczka zawierająca plazmę z odcisniętym zapisem świadomości roztargnionej małżonki powędrowały do najbliższego ośrodka rehabilitacyjnego. Tam, jak wyjaśniał piękniś, dopełnił się przyspieszony drogą oddziaływania na zawarte w komórkach białka, proces rozwoju osobniczego. Przyspieszony, co nie znaczy błyskawiczny. Gotowa żona wychodziła z pomalowanej na wesołe kolory aparatury po mniej więcej trzech tygodniach.

Narrator promieniał. Oświadczył, że to ostatnie stadium "operacji wieczność" musiałoby pozostać w sferze teorii, gdyby programowaniem aparatury stymulującej zajmowali się ludzie. Ale robiły to potężne zespoły komputerów, wykonując biliony wielopiętrowych spekulacji, aby wymusić na aparatach działanie w stu procentach zgodne z intencją mocodawców. To znaczy takie sterowanie procesem rozwoju osobniczego, aby jego przebieg od informacji genetycznej, poprzez syntezę świadomości, do wyjścia gotowego produktu na światło dzienne, był idealnie wierną kopią drogi życiowej, jaką pierwowzór odtwarzanego człowieka odbył naprawdę.

Trzy tygodnie oczekiwania zdawały się nie nazbyt dłużyć piękniowi. Po staremu barszkwował z synkiem, wyjeżdżał na swoje inspekcje, wyremontował nawet przybudówkę, aby jego żona nadal miała gdzie mylić odczynniki. W pewnym momencie zauważyłem tylko, że zegar upiększający frontową ścianę willi pokazuje wciąż tę samą godzinę. Pewnie stanął w momencie katastrofy.

Film kończył się, jak było do przewidzenia, łzawą sceną powitania zrekonstruowanej pani domu. Oficjalnie mówiono "rehabilitowanej". Świeciło słońce, na tarasach wokół willi kwitły róże. Nad jeziorem sunęły baniaste chmury. Chłopczyk powiedział: "Mamo, jak jeszcze raz wyjedziesz, to zabierz mnie ze sobą" - co najszczęśliwszy z mężów i ojców ozdobił lśnieniem wzorowo umytych zębów.

Zbudził mnie chłód. Chłód to mało powiedziane. Szyja mi zdrętwiała, trwało dobrą chwilę, zanim zdołałem oderwać się od poręczy i wyprostować plecy.

Zatarły się granice między oceanem a niebem, opadającym ciemnosiną chmurą. Mrok był niemal zupełny. Tylko w dole, na falach - zapalały się i gasły nagle refleksy lamp, świecących pod galerijką. Ale na wschodzie, za chmurami i mgłą, stało już słońce. Niebo zmieniało tam barwę, szarość nabierała rumieńców. Przespałem, wpleciony w balustradę galerijki, całą noc.

Zadygotałem. Bardzo powoli, jakbym unosił naczynie zbudowane z najcieńszego szkła, wstałem i czepiając się poręczy ruszyłem do wejścia. Jest kilka minut po czwartej. Za dwie godziny przylecą po mnie. Tu nie miałem już czego szukać.

Czeka mnie jeszcze jeden seans w Zespole. Jeśli wierzyć publikacjom, nastąpi on wkrótce. Miesiąc minął już dawno.

Nie mogłem o tym myśleć. Z trudem otworzyłem drzwi i już w korytarzu odwróciłem się, by spojrzeć na morze. W tym momencie na wschodzie coś zaczęło się dziać. Wąski pas mgły wyodrębnił się i sunął w moją stronę, jakby popychany przez smugę światła. Po kilku sekundach szarość rozmyła się i nagle skrawek kopuły z galerijką i miejscem, gdzie stałem, zapłonął soczystą czerwienią. Było w tym coś ponurego, jak w kiepskim, makabrycznym dowcipie.

Przebiegł mnie dreszcz. Szybko zamknąłem drzwi i poszedłem do mojej kabiny, przygotować się do odjazdu.

Aparat zaświergotał. Machinalnie sięgnąłem do wyłącznika i ujrzałem przed sobą twarz ojca.

- Dowiedziałem się, że wróciłeś. Czemu nie przyszedłeś?

Milczałem. Co miałem powiedzieć. Zresztą nie czekał na odpowiedź.

- Słyszałem, że za ciasno ci już w układzie słonecznym. To prawda?

Głos ojca brzmiał głucho. Uśmiechał się, ale w jego wzroku przebijało tłumione napięcie.

- Coś w tym rodzaju - mruknąłem. - Jeszcze nic pewnego - dodałem. - Mama wie?

Przyglądał mi się chwilę, po czym pokręcił głową.

- Ja z nią nie rozmawiałem - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz...

Wzruszyłem ramionami.

- Każdy coś robi - burknąłem. - Zresztą nie warto o tym mówić. Teraz, kiedy mamy przed sobą wieczność? I rodzony syn kiedyś wam się znudzi. Najkrótsza rozłąka będzie na wagę złota...

Przyjął to bez uśmiechu.

- Wspomniał mi Norin... - zawiesił głos i zaciął wargi. Jego spojrzenie powędrowało poza ekran. No tak. Im w każdym razie jeszcze się nie znudziłem.

- Przyjdę wieczorem - obiecałem po chwili. Odetchnął, odczekał kilka sekund, po czym skinął głową.

- Wpadnij przedtem do rodziców Finy. Prosili, żeby ci powiedzieć...

- Dobrze - głos uwiązał mi w krtani. Zakrztusiłem się i chwilę kaszlałem.

Kaszlałem dłużej, niż było trzeba, aż ojciec uśmiechnął się przeproszająco, a następnie ponownie zagryzł wargi i przerwał połączenie.

Miałem czas. Dużo czasu. Kluczyłem dawno nie oglądanymi zielonymi zaułkami, wspinałem się na estakady, którymi nikt nigdy nie chodził, mijałem pawilony parkowe, ale miasto dla mnie nie istniało. Nie potrafiłbym wymienić jednego domu, przejścia czy stoiska, które wyglądało inaczej niż trzy lata temu, kiedy stąd wyjeżdżałem. Postąłem dłuższą chwilę nad zejściem do przystani, gdzie znałem każdą deskę i każdy centymetr kwadratowy dna. Jakaś załoga wychodziła w morze.

Nie widziałem ich twarzy, ktoś machał do mnie z pokładu, nie zwróciłem na to uwagi

Wschodnia dzielnica. Trudno zgadnąć, czemu właściwie zawdzięcza swoją opinię wizytówki miasta. Była taka jak wszystkie, co najwyżej odrobinę bardziej zielona dzięki temu, że człowieka rzeźbiącego współczesne, nie znoszące płaszczyzn osiedla, tu uprzedziła natura. Dachy tkwiły barwnymi pomostami w stromych zboczach, domy piętrzyły się jeden nad drugim, białe lub pastelowe, zwieńczone fantazyjnymi bryłami anten i niewidoczne dla siebie, jakby każdy stał pośrodku parku. Pachniały pąki. Wśród wspinających się między dachami uliczek, ocienionych oleandrami i powojem, nie brakło niedostępnych nawet dla porterów.

Dom Finy leżał wysoko. Nie pamiętałem, że aż tak wysoko. Pieszko byłem tu jeden jedyny raz, wiele lat temu. Kiedy? Przystanąłem i pomyślałem chwilę.

Nie, nie ma tamtych lat. Ta uliczka, śnieżnobiała ściana w perspektywie zielonego szpaleru, kaktusy nad basenem, wszystko to straciło dla mnie egzotykę i wdzięk uroczyska. Teraz dom jest martwy, roztaczający się z niego widok mrozi pustką.

Na środkowym tarasie przesunęła się barwna plama. Ktoś, kto stał oparty o balustradę, zniknął we wnętrzu domu. Usłyszałem głosy.

Zamarłem. Przeraziłem się, że wszystko, co mnie otacza, jest złudzeniem. Że pozbawiony statku, skafandra, najbliższego punktu oparcia, zawisłem w próżni. Że w mijającym właśnie ułamku sekundy ucieka ostatnia szansa pochwycenia śladu, który mógł wskazać mi drogę do swoich.

Kolana ugięły się pode mną. Wargi miałem suche i pokryte jakby warstwą soli. Zapięły boleśnie, kiedy dotknąłem ich językiem. Cichy śmiech, jaki dobiegł od domu, zagłuszył tętent w skroniach. Nie wiedziałem jeszcze nic. Nic nie rozumiałem. Od czubka głowy moje ciało ścinało się w lód.

Zaszeleściły gałęzie. Tym razem plama była szara. Tak powinno być. Sena, matka Finy, zawsze nosiła szare sukienki. Miała figurę dwudziestoletniej dziewczyny. Jej mąż powtarzał przy każdej okazji, że ma dwie córki. Teraz stał obok jednej z nich i milczał. Wargi Seny poruszyły się. Uśmiechnęli się oboje. Wiedziałem, że dzieje się coś, co wymaga ode mnie skupienia. Czego się spodziewają?

Śmiech zabrzmiał znowu. Bliżej. Bardzo blisko. Wyraz ich twarzy uległ przeobrażeniu. Teraz była w nich tylko ciekawość. Radosna, pogodna i niecierpliwa zarazem.

Poczułem ciepło. Stała tuż przede mną i końcami palców dotykała mojej

piersi. Jej oddech parzył mi wargi. Przestałem oddychać i nagle żołądek podjechał mi do gardła. Brzydziłem się tej cieplej dłoni, myśl, że muszę jej dotknąć, odepchnąć, była nie do zniesienia. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, wydałem jakiś dziwny, nieludzki skrzek i w tym samym ułamku sekundy oprzytomniałem. Twarze przede mną, szpaler, dom, płyty chodnika, gałązki krzewów, wszystko to zyskało naraz nienaturalnie ostre kontury. Zrozumiałem. Wiedziałem także, że tego, na co teraz patrzę, z barwami i rysunkiem cieni, z najmniejszym kamykiem na ścieżce, nie zapomnę do końca życia.

Szarpnąłem się do tyłu. Odzyskałem władzę w nogach. Jej ręka, powiększona do groteskowych rozmiarów, zawisała przede mną w powietrzu.

- Nie pocałujesz mnie?

Jej głos. Zawsze cichy, z metalicznym pobrzękiem instrumentu z obłuzowaną struną. Lubiłem ten głos. Lubię go nadal. Ale tylko u niej. U tamtej.

- Poczekam - powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie. Nie pomyślałem tego. Powiedziałem. Mój głos zabrzmiał mocno i czysto, jak cudzy.

- Poczekasz?...

W jej tonie pozostał jeszcze odcień przekory, jakby to, co na nią spadło, wymagało więcej czasu. Ale już rozumiała. Jej oczy zgasły, uciekły w dół, przemknęło mi przez myśl, że to przynajmniej mam już za sobą.

- Aż dorośniesz! - wysyczałem.

Odwróciłem się gwałtownie i wybiegłem za bramę. Potknąłem się, poleciałem kilkanaście metrów do przodu, padając na kolana. Zerwałem się i popędziłem przed siebie. Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się z powrotem na przystani. Upadłem na jasne, jakby świeżo wyszorowane deski i znieruchomiałem.

Leżałem długo. W pewnej chwili przypomniałem sobie uśmiechniętego pięknisia z holowizyjnego filmu. Zaśmiałem się. Wydałem dźwięk, jakby ktoś z kupy żelastwa wyciągał blachę tkwiącą na samym spodzie. Umilkłem. W czym byłem lepszy od tamtego? Odegrałem scenę jakby wyjętą z barwnej reklamówki, tyle że nakręconej na zlecenie konkurencji. Chociaż nie. Istniała różnica. Może drobna, ale przywiązywałem do niej pewne znaczenie. Piękniś był fikcją, opowieścią. Ja nie. Tamten grał swoją rolę, jak najlepiej umiał, ja niczego nie grałem, chociaż może powinienem. W przeciwieństwie do tamtego robiłem tylko to, co musiałem.

Pomyślałem o Finie. Nie było jej. Scena sprzed kilku minut zagłuszyła nawet wspomnienie. Nie czułem nic. Zabrali mi nawet to. Me tylko mnie. Jej także. Nawet

Finę.

Podniosłem się i zacząłem iść. Stężała we mnie wściekłość zimna jak beton. Zaciskałem pięści i przyśpieszałem. Biegłem już niemal, kiedy wyrosły przede mną mury głównego pawilonu Centrali.

- Przecież nie byłeś odcięty od świata! - głos Norina stał się niemal piskliwy. Uniósł ramiona i został tak, jak posąg starożytnego mówcy. - Człowieku - zawołał - wiedziałeś wszystko albo prawie wszystko, zanim tam poleciałeś! Zapowiedzieliśmy Putta, o czym mówiliście, u licha, kiedy cię zmieniał dwa lata wcześniej?! A Cullen? To ja się myliłem, nie on. Chociaż on także nic nie rozumiał. A może nie chciał zrozumieć? Trudno mu się dziwić. A tu? Tu, w tym budynku? Nic ci to nie powiedziało? Także nic?! Ojciec? Ludzie, z którymi półtora miesiąca przesiedziałeś na Pacyfiku?

- Nie rozmawiałem - burknąłem. - Pracowałem.

Z pasją umieścił dłonie w kieszeniach fartucha i pochylił się w moją stronę.

- A ja myślałem - parsknął - że łowiłeś rybki! Pracował, proszę. Nie miał czasu powiedzieć "Dzień dobry". Nie przeczytał. jednej strony. Nie obejrzał żadnego programu. Wraca i odchodzi od zmysłów, kiedy okazuje się, że to, co ludzie robią od kilku lat, dotyczy także jego!

- Skończył pan? - spytałem cicho.

Spojrzał na mnie ostro, poruszył wargami, ale nic już nie powiedział.

- Nie tak dawno - wykrztusiłem, z trudem wyłuskując słowa - któryś z was chciał mi oszczędzić niespodzianki. Nie zapomniałem. Nie udało się. Nie ma w tym pańskiej winy. Powinienem podziękować... za dobre chęci...

Na twarz wystąpiły mi kropelki potu. Chciałem się ich pozbyć, ale nie mogłem ruszyć ręką. Było mi już wszystko jedno. Norin? No cóż, robił, co mógł. A co mógł w tej sytuacji?... Co mogłem ja sam?

Kiedy się zastanowić, musiałem wiedzieć, po co tam idę. I wiedziałem, wiedziałem cały czas, udawałem tylko, że sprawa z Fina jest i pozostanie we mnie i nikogo nie powinno obchodzić, co z nią zrobię. Miałem mu teraz tłumaczyć, że odkąd Cullen powiedział mi o wypadku nigdy, przez ułamek sekundy, nie dopuściłem do siebie myśli, że to nie koniec? A przecież tak właśnie było. Nawet ta koszmarna reklamówka, jakby nakręcona specjalnie dla mnie, nic mi nie powiedziała.

- Nie mówiąc o tym - odezwał się nagle Norin, jakby sobie przypomniał coś,

co go zabolalo - ze zachowales sie jak... - urwal. Chwile szukal slow, mierzac mnie wzrokiem. - Pomyslales o jej rodzicach?! - wykrzyczal wreszcie.

Drgnalem. Czy pomyslalem! Jezeli w ogole o czyms myslalem. Przynajmniej, jak dlugo nie poczułem jej palców na piersi.

- Powiedzmy - wykrztusiłem - że pomyślałem. I tylko o nich. Nic ich nie obchodziło. Poza jej radością, że żyje i za moment przywita się...

Głos odmówił mi posłuszeństwa. Czułem się upokorzony tym, że mówię. Ale nie mogłem się powstrzymać. Te twarze, w których była radość, że wróciłem, że ona zdążyła... A ponad wszystko ciekawość. Ciekawość, jak dziecko zareaguje na przyniesioną mu zabawkę. Kto miał być tą zabawką? Ja? Nie. O to chodzi, że nie. Więc które z nas?

Rodzice. Oczywiście, im było wszystko jedno. Podpisałiby pakt z diabłem, gdyby pozwolił im raz jeszcze ujrzeć córkę, po awarii dozownika deuteru. Co dopiero...

Szybkim krokiem podszedłem do ściany i przywarłem do niej, uderzając czołem w zimny plastik. Dłonie zacisnęły mi się w pięści. Dawałem przedstawienie, ale nie pomyślałem o tym. Miałem dość. Nie można mieć bardziej dość niż ja w tej chwili. Powiem mu jeszcze, z czym przyszedłem i zostawię go z jego zaskoczeniem prawdziwym czy udanym, pewnością siebie i współczuciem dla rodziców Finy. Dokąd pójdę? Nieważne. Teraz to naprawdę nieważne.

Oderwałem się od ściany i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Stał bez ruchu, jak chwilę temu, i patrzył na mnie. Mogłem mu współczuć. Ale to jego sprawa. Nie prosiłem, żeby mnie niańczył.

- Skończmy z tym - powiedziałem. Mój głos brzmiał obco. Słowa padały, jakby je ktoś ze mnie wyrzucał, wybierając te, które leżały najgłębiej. - Pewnie powinienem pana przeprosić - zrobiłem dwa kroki w jego stronę - ale poczekam z tym trochę. Krótko mówiąc każdego, kto do mnie przyjdzie i bąknie coś na temat trwania, wyrzucę przez okno. Mogę żyć bez Centrali, latania i tych waszych klatek na wszystkich możliwych orbitach. Ale nie będę robił z siebie drzewa. Uważam, że cała ta heca z wiecznością zmierza prościutko do przekształcenia ludzi w systemy bezwzględnie odosobnione. Słyszał pan o nich? To takie, które nie mogą przyjmować informacji z zewnątrz. Albo nie chcą. Dziękuję. Niech sobie trwają ci, którym to sprawia przyjemność. Beze mnie.

- Znam się trochę na systemach - powiedział spokojnie - nie tylko



bezwzględnie odosobnionych. Nie zgrywaj się.

- Wszystko jedno - burknąłem. - Tym gorzej. Trwanie! Jak długo ma pan zamiar wytrzymać? Tysiąc lat? Bilion? I kto właściwie? Albo pozbedziemy się wszystkiego, co naszemu życiu nadało jakiś tam sens i to nie raz ani sto, ale nieskończoną ilość razy, albo będziemy musieli budować każdy dla siebie zasobniki pamięciowe tysiąc razy większe od wszystkich pantomatów razem wziętych. Po co? Zastanowił pan się przez chwilę? Po co?

Uśmiechnął się. Widać uznał, że najgorsze minęło. Co więcej, miał rację. Ale to była jego racja. I tylko jego.

- Z ciekawości - rzekł krótko. - To mało?

- Jak dla kogo - odparłem. - Ja już nie jestem ciekawy. Zresztą nie ma o czym mówić. Nie będę drugi raz rozmawiał z technikiem ani pchał głowy w aparaturę. Może pan z tym zrobić, co pan chce. Tej jednej skrzyneczki zabraknie w moim domu. To wszystko.

Nie przestał się uśmiechać. I nie musiał głowić się nad odpowiedzią.

- Komu chcesz wmówić - powiedział - że chodzi ci o coś więcej niż własną ambicję? Powinieneś urodzić się tysiąc lat temu i zostać poetą. Albo filozofem. Nie możesz darować ludziom, że przy okazji zajęli się także twoją miłością. Proszę! Jaki nieprzystosowany! Ale oszczędź sobie i mnie argumentów. Nikogo nie przekonasz. Co najwyżej dostaniesz chryпки. Tylko, zanim to zrobisz, załatwisz sprawę tutaj. Należysz do Zespołu i masz pracę, którą dotąd wykonywałeś dobrze. Czas pokazać, że stać cię na coś więcej niż przyciskanie klawiszy i pilotowanie rakiety.

- Nie - warknąłem.

Spowaźniał. Spojrzał na mnie, ściągając brwi.

- To twoje ostatnie słowo? - spytał głucho.

Skinąłem głową.

Topniejący z odległością, wydłużony stożek tachostrady ucinała jak nożem linia horyzontu. Mierzyłem w ten punkt i tylko tam, jakby w pogoni za fotonową wiązką własnych reflektorów. Ale nie goniłem niczego i nikogo. Porter kołysał ciężko, drgania pracującego pełną mocą silnika przenosiły się na nadwozie, wpadałem w łuki z szybkością, od której wgniatało mnie w boczne ściany. Szyby miałem spuszczone, pędziłem w wysokim, wibrującym grzmocie powietrza ogłuszony, bity wiatrem i pełen ciszy. Strzałka szybkościomierza stała bez drgnienia w ostatnim

punkcie czerwonej skali, na tablicy zapalały się i gasły jakieś światełka, informując o sprawach, które nie mogły mieć dla mnie znaczenia. Przelatywałem wiadukty nad fiordami, wpadałem w noc, kiedy nad tunelami wyrastały brunatne, granitowe szczyty z białymi żlebami, po czym znowu gnałem otwartą przestrzenią, jasną od słońca. Osiedla pozostawały z dala od drogi, przecinałem jedynie łączące je wielopasmowe szlaki, którymi sunęły duże, ciężkie pojazdy i barwne tasiemki eskalatorów.

Znaki zapowiedziały zjazd do znanej miejscowości górskiej. Bez zastanowienia ściągnąłem kierownicę i nie zmniejszając szybkości, wpadłem w zacieśniającą się ślimacznicę. Porter zadygotał, przez chwilę zdawało się, że wbrew wszystkim zabezpieczeniom wyleci z drogi. Ale, oczywiście, nic takiego się nie stało. Wypadłem ponownie na prostą, droga przede mną rosła w górę, ujrzałem skrzyżowanie i zwolniłem. Minutę później sunąłem boczną ścieżką, kończącą się w odległości półtora kilometra skalną platformką, obwiedzioną balustradą. Dalej mogłem już tylko lecieć.

W rogu platformy, wciśnięty między omszałe głązy stał różowy pawilonik, zamknięty teraz na cztery spusty. Nigdzie żywego ducha. Wyłączyłem silnik, po czym porzucając porter na środku drogi, podszedłem do urwiska. Przekroczyłem balustradę i bez zastanowienia zląłem na wąską półkę, zawieszoną nad przepaścią. Nade mną pozostały dwa metry skalnego muru. Tysiąc metrów niżej czernił się fiord. Z prawej maleńka makieta portu i morze, jak z okładki dziecięcego albumu. Wokół zastygłe w pochodzie, pomieszane szeregi gór.

Odetchnąłem. Tu, w tej okolicy, jako dwunastoletni chłopiec zawarłem znajomość ze skałą. Potem przyjeżdżałem często. Do momentu, kiedy przyszła kolej na dalsze podróże.

Przyjeżdżałem także z Fina. Zawsze ona mówiła, dokąd pójdziemy. Stawała, marszczyła czoło, po czym długo wpatrywała się w jakiś szczyt czy przełęcz. W końcu bez słowa ruszała, kierując się prosto w wybrany punkt. Prowadzenie obejmowałem dopiero w ścianie. Mawiała wtedy: "No, najważniejsze za nami. Reszta należy do ciebie"...

W uszach zadźwięczał mi jej głos, jakby siedziała obok. Uśmiechnąłem się. Z uczuć, jakim nie potrafiłem się przeciwstawić jeszcze dziś rano, nie pozostało śladu. Zamarłem w bezruchu. Czekałem, kiedy puszczona w ruch myśl zacznie działać. Kiedy poczuję ją w gardle i żołądku. Mijały sekundy. Z sekund robiły się minuty. Wstrzymałem oddech nie śmiejąc się ruszyć, w obawie, że wszystko, co zrobię,

zniszczy tę delikatną błonkę, jaką zarosły wrażenia sprzed kilku godzin. A pamiętałem je dobrze. Pamiętałem zimno, bezsilną wściekłość i wstręt. Niczego nie próbowałem przed sobą ukrywać.

Nie stało się nic. Przesiedziałem jeszcze pięć, może dziesięć minut, po czym podniosłem się z trudem i oparłem plecami o skałę. Z góry dobiegł szelest. Skrzywiłem się na myśl, że nie jestem już sam i niechętnie uniosłem głowę. Dokładnie nad sobą ujrzałem twarz starszego mężczyzny. Okalała ją ciemna broda, miejscami tylko posiwiiała. Spod dziwacznej, okrągłej czapki wyłaziły długie włosy. Patrzyliśmy na siebie, on prosto w dół, ja pionowo w górę, jakby rzecz była najnaturalniejsza pod słońcem. Zabolał mnie kark, czaszkę świdrował skalny występ, do którego przylgnąłem głową, ale nie byłem w stanie oderwać wzroku od tej twarzy, która ukazała się na tle nieba jak zatrzymana w locie piłka.

- Będziesz spadał? - przemówił wreszcie stary.

To nie był żart. Ani przestroga. Takim głosem można mówić do samego siebie, kiedy w promieniu kilometrów nie ma żywego ducha.

- Jeszcze nie wiem - oświadczyłem. - Chciałby pan popatrzeć?

- Można by... - zamruczał. Zabawnie wyglądał obserwowany z dołu ruch brody. Jakby czyścił nią sobie bluzę na piersi.

Odwróciłem się i czepiając śliskich, wygładzonych uchwyty, wylazłem na górę. Człowiek z brodą odsunął się robiąc mi miejsce, ale w dalszym ciągu patrzył w dół, jakby jeszcze liczył, że ujrzy mnie tam lecącego z wyciągniętymi ramionami. Stałem obok niego i przybrałem pozycję wyczekującą. Był sam. Nie wyglądał na turystę. Raczej na aktora grającego w filmie o życiu starożytnych pasterzy.

- Nic straconego - powiedziałem wreszcie. - Może ktoś jeszcze przyjdzie...

Trwało chwilę, zanim odpowiedział:

- Nie...

To było wszystko. Postać jeszcze jakiś czas, po czym nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, wyprostował się z trudem. Wprawnym ruchem poprawił stary, luźny plecak i ruszył w stronę różowego pawilonu. Nagle stanął, jakby przyszło mu na myśl, że o czymś zapomniał. Obrócił się do mnie profilem i spytał:

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie wiem - odpowiedziałem bez namysłu. Skinął głową, jakby tego właśnie oczekiwał.

- To nie u mnie - mruknął. - W takim razie nie będę otwierał...

Był pogodzony z myślą, że ludzie niczego od niego nie chcą. Lub że nie wiedzą, czego chcą. Przeszedł obok portera i zniknął we wnętrzu budynku pod skałą. Małe, ledwie widoczne drzwi zatrzasnęły się za nim.

Utkwiłem w nich wzrok. Ze środka dobiegł jeden stłumiony stuk, jakby ktoś rzucił buty na drewnianą podłogę, i zapanowała cisza. Oczekałem jeszcze kilka minut, po czym odepchnąłem się od bariery i nie zdając sobie sprawy, po co to robię, poszedłem w stronę pawilonu. Idąc przyglądałem się jego ścianom, jakbym wiedział, że kryje się w nich coś niezwykłego i usiłował dociec, dlaczego dotychczas uszło to mojej uwagi. Nic z tego. Było to jedno z typowych górskich stoisk, gdzie zawsze można się napić mleka, dostać plaster na odciski i połączyć, dajmy na to, z bazą na Ganimedzie.

- No? - usłyszałem, kiedy tylko uchyliłem drzwi. - Wiesz już?...

Wewnątrz było ciemno. Nad szklanym dachem piętrzyła się przewieszona skalna płyta. Okna wychodziły na północ. Prócz niewielkiego kontuaru i zasobników żywnościowych udało mi się wypatrzeć jeden, jedyny fotel.

- Napiłbym się wody - powiedziałem.

W mroku coś się poruszyło. Usłyszałem cichy pomruk. Mogło to być westchnienie. Zaraz potem nad kontuarem zapłonęło żółte światło. Człowiek z brodą podniósł się. Chwilę grzebał w naczyniach, po czym podał mi duży, szklany kubek. Zmroził mi palce, na jego ściankach skropliła się para. Woda pachniała deszczem parującym na rozgrzanej skale. Była cierpka i czysta jak światło.

Dopiłem, odetchnąłem głęboko i na oślep wyciągnąłem przed siebie rękę z pustym naczyniem. Stary zamruczał znowu, rzucił kubek w kąt i wrócił na fotel.

- Bał się pan, że spadnę? - zagadnąłem, żeby coś powiedzieć.

Cisza. Powinienem pójść. Zostawić go w spokoju. Ale sam pytał, czy czegoś nie potrzebuję. Mogłem odpowiedzieć, że właśnie jego.

- Skąd pan pochodzi? - spytałem. Z gór? Stąd?

Długo się namyślał, zanim odpowiedział:

- Stąd i nie stąd. Z gór.

- Prowadził pan wycieczki?

- Prowadziłem. Zna mnie pan?

- Chodziłem sam - wyjaśniłem. - To znaczy z dziewczyną. Dawno temu.

- Dawno - zgodził się niespodziewanie. - Teraz nikt nie chodzi. Tacy tam, popatrzeć na widok. Ale nie chodzą... - powtórzył. W jego głosie nie było żalu.

Stwierdzał po prostu fakt.

- Jak to nie chodzą? - zdziwiłem się. - Dlaczego? To najlepsze góry, jakie znam...

Poruszył się. Westchnął ciężko, spuścił nogi i usiadł.

- Bo nie można spać - mruknął.

To wyjaśniało wszystko. Nie można spać...

I nagle doznałem olśnienia. Góry to próba. Jedna z tych, które mają sens tylko wtedy, kiedy ich ostateczny wynik jest wątpliwy. Próba, którą można powtarzać w nieskończoność, prowadzi donikąd. Nawet nie to, że nie można się zabić. Chodzi o czas. Przestał istnieć warunek czasu. Nikt nie idzie w góry, co najwyżej przyjeżdża popatrzeć stąd na zatokę.

Trudno o bardziej bezwzględny wyrok w sprawie "operacji wieczność". A przecież góry to fragment, w dodatku przemawiający tylko do niektórych. Można przytoczyć tysiące możliwych sytuacji. Pięknie nas urządzili. Nie wiedzą nawet, jak pięknie.

- Nie możesz umrzeć, prawda? - spytałem, zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć.

Usłyszałem śmiech. Chichotał, jakby usłyszał najlepszy dowcip w życiu. Nie sądzę, aby zdarzało mu się to częściej niż raz na dziesięć lat. Jego krtań najwyraźniej opierała się temu, do czego ją zmuszano.

- Ja? - parsknął wreszcie. - Nie, synku. Jestem za stary. Ani tatusia, ani mamusi... Ja sobie pożyłem... Podumam o tym i owym, kiedy przyjdzie moja pora i przez myśl mi nie przejdzie czegoś żałować. Ty co innego. Może wrócisz tu kiedyś. Ja nie mogę umrzeć - zachichotał znowu. - Dobrze to wymyśliłeś, synku...

- Dziękuję za wodę - powiedziałem, cofając się w stronę wyjścia.

- Nie ma za co - w głosie starego nadal brzmiało rozbawienie. - Dokąd teraz jedziesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Nigdzie nie jadę - burknąłem. - Śpię tutaj.

Przyjął to jak coś najzupełniej oczywistego.

- No to dobranoc - powiedział uprzejmym tonem.

Lodowiec na jednym z dalszych szczytów zalśnił czerwienią. Przez kilka minut promienie słońca jakby prześwietlały kopulasty wierzchołek góry, po czym

nagle zapadł mrok. Przeszedłem na zachodnią krawędź platformy iostałem tam chwilę, odprowadzając wzrokiem znikające z morza barwy. Czułem się dziwnie. Szum krwi w skroniach odciął mnie od dźwięków przychodzących z zewnątrz; odgłosów dalekiego portu, usypiających osiedli, a także cichego poskrzypywania fotela kilkanaście metrów stąd. W pewnym momencie ponownie zabrzmiały mi w uszach słowa starego: "Nikt nie idzie w góry"...

Oczywiste. Zbyt oczywiste. Musieli to wkalkulować. I uznać, że rzecz opłaca się mimo wszystko. A jeśli nie? Jeśli przyjęli rachunek na wiarę, opierając się na zdaniu entuzjastów popartym nie ich argumentami, a tylko autorytetem? Mniejsza z tym. To ich sprawa. Co do mnie, nie pozwolę pozbawić się czegoś takiego jak czas.

Przeniknął mnie chłód. Temperatura spadała szybko, jak zawsze na tej wysokości. Zatarłem ręce i zszedłem do portera. Rozłożyłem fotel, podniosłem szyby i ułożyłem się wygodnie. Chwilę patrzyłem w plastikowe obicie dachu nie myśląc o niczym, po czym zasnąłem.

Zbudził mnie ruch. Otworzyłem oczy i ujrzałem przylepioną do szyby twarz starego. W lewej ręce trzymał kubek, a prawą ciągnął za klamkę, kołysząc pojazdem.

Pozwoliłem podnieść się oparciu i otworzyłem drzwi. Wziąłem kubek i parząc podniebienie gorącym mlekiem, rozglądałem się. Słońce stało wysoko. W powietrzu była wilgoć, ale czysta wilgoć, jak po deszczu, na granitowych stokach.

- Dobrze się w tym śpi? - stary wskazał brodą dach portera.

Dopiłem mleko i oddałem mu kubek.

- Jak wszędzie - powiedziałem. - Dziękuję.

- Idziesz w góry? - spytał.

Zamyśliłem się. Nie miałem żadnych planów. Równie dobrze mogłem pójść w góry, jak na przykład pograć w tenisa. Albo polecieć na Antarktydę.

Wylazłem z wozu, przeciągnąłem się i przyglądałem włosy. Stary cofnął się kilka kroków i przyglądał mi się z nieodgadzionym wyrazem twarzy. W oczach miał uśmiech.

Wtedy to przyszło. Porwała mnie najczystsza, absurdalna wściekłość. W ułamku sekundy wróciło wszystko, co już, już skłonny byłem uznać za załatwione. Pozwolili zamienić się w drzewa i mają pretensje, kiedy ktoś ma swoje zdanie. Powiem im to. Powiem im niejedno.

Zacisnąłem szczęki. Na twarzy starego odmalowało się zdziwienie, potem coś

w rodzaju żalu, wreszcie jakby obawa. Odszedł kilka kroków i wyciągnął przed siebie rękę z trzymanym w niej kubkiem, jakby chciał się zasłonić. Niewiele mnie to obeszło. Mruknąłem coś, wskoczyłem do wozu i z całej siły szarpnąłem drzwi. Trzasnęły, jakby wewnątrz znajdował się stos pustych blaszanych puszek. Zapaściłem silnik i nie czekając, aż nabierze obrotów, ostro ruszyłem z miejsca. Odwróciłem się, jeden jedyny raz. Stary przewodnik stał bez ruchu, ciągle jeszcze trzymając przed sobą pusty kubek. Wyglądał inaczej niż wczoraj. Był bez tej swojej czapeczki, w samej koszuli, którą wypuścił na spodnie. Jego broda poruszała się na wietrze. Pomyślałem o rzeźbionych na podobieństwo ludzi ulach, jakie spotyka się czasem w muzeach etnograficznych. Z tą myślą straciłem go z oczu.

Trzecią część pokoju wypełniali aktorzy w historycznych kostiumach. Poruszali się na tle jakiejś sali balowej z wymuszonym wdziękiem, świadczącym, że niejedno mają przed sobą do ukrycia. Co, tego nie mogłem wiedzieć, ponieważ kiedy tylko wszedłem, matka wyłączyła fonię.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedziała po prostu. - Nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

Ani słowa o Finie.

Usiadłem obok niej na poręczy fotela.

- Tak się czasem składa - mruknąłem. - Nic na to nie poradzimy. Co u ojca?

Mama spojrzała w stronę oszklonej niszy na piętrze.

- Pracuje - westchnęła. - Był Grenian - zwróciła się w moją stronę. - Mówił, że przechodził i wpadł, żeby cię zobaczyć. Opowiadał o księżycach Saturna...

Tak, był tam ostatnio przez jakiś czas. Co nie znaczy, że droga powrotna z księżyców Saturna wypadła mu koło naszego domu. Nie musiałem szukać pomocy u komputerów, żeby domyślić się, czemu zawdzięczałem ten "przypadek". A raczej komu.

Grenian. Człowiek, którego lubiłem najbardziej ze wszystkich profesorów i któremu najwięcej zawdzięczałem. Swego czasu on właśnie podsunął mi myśl o służbie planetarnej; kiedy tuż po egzaminie z pilotażu przyszedłem zasięgnąć jego opinii o wynikach któregoś tam etapu mojej pracy dyplomowej. Stare dzieje. Owszem. W każdej innej sytuacji czułbym się pewniej, mając go blisko. Tak jak teraz sprawy stały, byłoby lepiej, żeby pozostał jeszcze kilka dni na księżycach Saturna.

Na schodach zadudniły szybkie kroki. Ojciec. Zszedł do hollu, posłał mi jedno

przelotne spojrzenie, po czym bez słowa wyłączył holowizor. Ludzie w pstrych kostiumach zniknął! jak przelatujący meteor. Ekran, stanowiący tło akcji, schował się w ścianie, odsłaniając duże, prostokątne okno.

Zmrużyłem oczy. Wołałem półmrok, z poruszającymi się w nim bezszelestnie nierzeczywistymi postaciami. Wołałem ciszę, której nie mąciła obecność matki. Byłem w stanie, jaki przychodzi czasem w pierwszym momencie po przebudzeniu, kiedy człowiek wie już, że tamto to sen, ale wciąż jeszcze uśmiecha się do niego. Tyle, że mój sen był zły. Pozostawi cię na całym nadchodzącym dniu. Tego jednego mogłem być pewny.

- Wyjeżdżam - powiedziałem. - Nie każcie mi mówić.

Ojciec przeszedł przez pokój i stanął za moimi plecami. Matka patrzyła prosto przed siebie.

- Tak - mruknął ojciec. Zabrzmiało to jak ostatnie uderzenie młotka w dobrze wbity gwóźdź. - Będiesz pracował?

Nie odpowiedziałem. Czy będę pracował? A co mam robić? Osiąść na jakiejś wyspie, pływać i oglądać programy holowizyjne? Pomyślałem o Grenianie. Skoro postanowił, że ze mną porozmawia, nie ma co udawać, że o niczym nie wiem. Im prędzej będę to miał za sobą, tym lepiej. Taki już był.

- Plantacje rudy na Azorach potrzebują fotoników - dobiegł mnie głos ojca.

Wzdrygnąłem się. Plantacje rudy... tak. To stanowczo więcej, niż mogłem się spodziewać. Ujrzałem nagle te niekończące się płaszczyzny jakby czerwonej pleśni porastającej morze. Czasem bywają też kwiaty... małe, blade rośliny, niemal pozbawione liści. Po zbiorach morze wygląda jak źle pozamiatane podwórko. Ludzie unikali obszarów, przeznaczonych na plantacje koncentratorów i trudno im się dziwić. Dobrze. Zostanę plantatorem rudy.

- Co tam mają? - spytałem spokojnie.

- Ren - odpowiedział. - Rudy renu. Takie grzybki...

A więc grzybki. Miliardy bezkształtnych, nijakich tworów, wysysających z wody morskiej rudy renu. Kiedyś była to rewelacja. Dziś kolejna łamigłówka dla specjalistów od rekultywacji. Niech będzie. Wszystko jedno. I tak nie pojedę na żadne Azory.

- Lecę - wstałem i ruszyłem w stronę drzwi. - Będzie tłok. Nie mogę się spóźnić. Jeżeli potraficie dodać już przy drzwiach - nie miejcie mi za złe. Jedno, co teraz mogę dla was zrobić, to wynieść się stąd. Myślę, że dojdziecie jakoś do ładu



z rodzicami Finy... - musiałem zaczerpnąć powietrza i odczekać chwilę, żeby zapanować nad głosem. - Idę już. Nic mi nie będzie. Do widzenia.

    Nie spojrzałem w ich stronę. Z fotela, w którym siedziała matka, dobiegł szelest, ale żadne z nich nie odezwało się słowem.

- Jak długo? - powtórzyłem. Człowiek ma jedną osobowość. Jest taka, jakie były informacje, przyjmowane przez niego w dzieciństwie, szkole, życiu... Ale istnieje granica pojemności. Przychodzi moment, w którym żeby przyjąć nowe informacje, trzeba jakieś wymazać. Tego sobie nie wybieramy. W każdym razie świadomie. Powoli wszystko, co nas ukształtowało, znika nam z pola widzenia jak woda płynąca korytem rzeki. Przychodzi nowe i nowe. Niech mi pan powie, jak długo można być tym samym człowiekiem? Pięćset lat? Tysiąc? Dziesięć milionów? Albo zwariowałem, albo cała ta nieśmiertelność to zwykła fikcja. Nie wiem, czy może być coś bardziej oczywistego. Do tego stopnia, że chcąc nie chcąc musieliście przez to przebrnąć. A może pozwoliliście sobie na unik? Takie małe, maleńkie "zobaczmy"?

Grenian przyglądał mi się uważnie. W kącikach ust miał uśmiech, ale ten był tam zawsze. Ciekawiło go wszystko, co działo się wokół niego. W rozmowie interesował się nie tym, kto mówi, ale co mówi. Po każdym spotkaniu z nim czułem się jak świeżo wykąpany.

Pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

- Bardzo starannie - zaczął wreszcie niskim, matowym głosem, z wyraźnym, śpiewnym akcentem - przygotowywaliśmy się do budowy pierwszego pantomatu na obrzeżu układu słonecznego. Potem przyszły doświadczenia. Wreszcie teraz, po tylu latach nie kto inny, jak właśnie ty odkrywasz, że jest w nim coś, czego nie przewidziano. I że trzeba się tym zająć. Myślisz, że człowiek jest mniej skomplikowany niż pantomat? Chciałbyś, żebyśmy dziś już załatwili wszystko za przyszłe pokolenia? Wytknęli im jasno oświetloną drogę, a na dodatek założyli końskie okulary? W takim razie lepiej byłoby rzeczywiście zrezygnować z przyszłości.

- Jakie pokolenia? - podchwyciłem. - Nie będzie żadnych pokoleń. Mówi pan o nas, o sobie, Norinie, Cullenie, o mnie... powiedzmy, że o mnie nie. Jeszcze nie - bąknąłem. - Mości pan drogę sobie samemu. Czyli - wracamy do punktu wyjścia.

- Nie jest tak źle - zaprotestował łagodnie. - Będziemy mieć dzieci...

- Kto? - krzyknąłem prawie. - I kiedy? A przede wszystkim po co? I co znaczy powiedzenie "nowa polityka populacyjna"? Wprowadzicie talony? O ile znajdzie się wariat, który zechce powiększać swoją rodzinę... w nieskończoność!

Grenian pochylił głowę. W jego gładkich, białych włosach zamigotało słońce.

Pełna twarz stała się odrobinę mniej pełna. Przysunął bliżej filiżankę z kawą i bawił się łyżeczką.

- Mam osiemdziesiąt dziewięć lat - powiedział wreszcie jakby do siebie. - Niby nic takiego - dodał, podnosząc na mnie wzrok. - Ale wiesz, przychodzą mi czasem pomysły... - urwał na chwilę, pociągnął łyk kawy i uśmiechnął się. - Krótko mówiąc - podjął - jestem jeszcze ciekawy. Nie skończyłem z rachunkiem, na co mnie stać. Kiedy się tego słucha w twoim wieku, to brzmi śmiesznie... nie przerywaj - powstrzymał mnie gestem dłoni. - Tak się składa, że moi rodzice oboje żyją. Mam szansę... o jakiej nikomu przed nami się nie śniło. Wstań teraz, przybierz odpowiednią pozę i powiedz, żebym się nie wygłupiał. Żebym siedział w swoim czasie jak wszyscy przede mną i nie wyściubiał z niego nosa, bo nie wiadomo, co z tego wyniknie. Mówiłeś Norinowi, że należało poczekać. Teraz pytasz, co będzie za tysiąc czy milion lat. Gdybyśmy postanowili czekać, trzeba by zapytać inaczej. Kto jeszcze ma umrzeć? Ja? Dobrze. Moje dzieci? Przypuśćmy, że też. A ich dzieci już nie. Tam będzie granica. Idź, powiedz to ludziom. Ale nie wszystkim naraz. Każdemu oddzielnie, kogo tylko spotkasz. Jesteśmy ludźmi nauki. Chcemy, żeby z naszej pracy korzystali wszyscy, ale minęły czasy, kiedy wolno nam było iść na ofiary. Jeżeli istnieje na świecie jeden człowiek, któremu nie mógłbyś powiedzieć w oczy, co zamierzyłeś, bo nie przeszłoby ci to przez gardło, to znaczy, że twoja sprawa jest zła.

Wzruszyłem ramionami.

- A teraz nie ma tej granicy? - burknąłem. - Nie dalej jak przedwczoraj spotkałem pewnego staruszka, który uśmieł się tylko, kiedy spytałem, czy nie może umrzeć. Po prostu - jego rodzice umarli wcześniej.

- A czy ktoś z nas mógł temu zapobiec... wtedy? - spytał tonem, jakby mówił do dziecka.

Przełknąłem to. Nie komu innemu, jak im właśnie miałem do zawdzięczenia, że mówię jak dwunastoletni chłopiec. Mówię. Nie rozumię. Powinien zrozumieć.

- Ja tylko tłumaczę - powiedziałem szybko - dlaczego na mój prywatny użytek zabawa jest nie do przyjęcia. Bronię się, nie atakuję. Zastosowano wobec mnie szantaż. Żebym chciał, nie mogę tego nazwać inaczej. Albo słoiczek w kolekcji rodzinnych genoforów, albo szukaj szczęścia na plantacjach rudy renu. Nawiasem mówiąc, czy to był pana pomysł z tymi grzybkami?

Roześmiał się. Położył dłonie na stoliku i pokiwał powoli głową.

- Nie - powiedział. - Ale tak się składa, że wiem, o czym mówisz. Przyznaję,

że na twoim miejscu nie byłbym zachwycony. Z czego jednak - zastrzegł się - niewiele wynika.

- Jak dla kogo - burknąłem.

- Mówiłeś z Norinem o Finie... - zaczął.

- Źle zrobiłem - przerwałem. - To znaczy źle, że mówiłem. I nie chciałbym powtarzać tego błędu.

- Przepraszam - spowaźniał. - Nie zamierzam wchodzić w twoje sprawy.

Myślałem o jej rodzicach. Uderzyła cię ich, jak to nazwałeś, ciekawość. Ale zastanów się. Jesteśmy ludźmi, bez względu na uczucia, a raczej bez możliwości wybierania sobie uczuć. I dobrze, że tak jest. Im wystarczył fakt, że Fina żyje. Że jest z nimi. Ale przecież był to pierwszy wypadek rehabilitacji, z jakim się zetknęli. Przeżyli smutek, potem godziny niepewności, wreszcie radość. W końcu znalazło się miejsce na zwyczajną ludzką ciekawość. Pomyśl o tym. Nie o tamtej konkretnej sytuacji. O sobie. O twoim stosunku do wielu spraw. Do ludzi. Tylko dlatego o tym mówię. Już nie będę - zakończył przeproszającym tonem.

Przyjrzałem mu się. Przez moment odniosłem wrażenie, że coś przegapiłem. A przecież od chwili, kiedy straciłem z oczu skalną platformę z różowym pawilonem, zachowywałem się tak, jakby każdy mój ruch poprzedzała chłodna, bezwzględna decyzja. Teraz pójdziesz do domu i uspokoisz rodziców. Odszukasz Greniana, bo i tak nie unikniesz spotkania z nim. Wejdiesz do tego pawilonu i zjesz obiad.

Byłem spokojny. Mniejsza o słowa. To, co mówię, nie ma znaczenia. Rozmowa z Grenianem także jest epizodem, prowadzącym donikąd. Tak jest. Nie potrafię inaczej.

Rozejrzałem się. Słońce przeszło za rzekę i Zalew zapłonął srebrnym ogniem. Na tarasie oprócz nas było zaledwie kilka osób. Rząd stolików podawczych, gotowych na każde skinienie, trwał nieruchomo pod niską, szklaną ścianą. Kawa stygła szybko i pachniała słabo. Drogą nad nami od czasu do czasu przesuwały się niesłyszalne pojazdy. Drzewa, obrzucone drobnymi listkami, nie dawały cienia. Ale cień nie był potrzebny.

- No? - odezwał się nagle Grenian. - Spróbujemy, jak smakuje ta wieczność? Nauczmy się jej?

- Beze mnie - powiedziałem twardo.

Westchnął. Dopił kawę i daleko odsunął filiżankę. Sprzątnął ze stołu nieistniejące okruszki.

- Tak przypuszczałem - mruknął. - Nie przekonałem cię...

- To nie pana wina - odparłem. - Jeśli to coś znaczy, cieszę się, że do końca życia będę mógł z panem rozmawiać...

Wzruszył ramionami. Odwrócił głowę i zapatrzył się w morze.

- Do końca życia... - mruknął po chwili tak, że ledwie dosłyszałem. - Do końca życia - powtórzył.

Wstałem. Powoli uniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Coś w nich błysnęło.

Gwałtownym ruchem skinął rękę.

- Czekaj - powiedział. - Siadaj. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Nie - dodał szybko, widząc, że się zawahałem - nie będę cię już przekonywał. W każdym razie nie teraz. Ale mam coś konkretnego.

Usiadłem. Coś konkretnego. Raczej rzadkość w epoce "operacji wieczność".

- Byłem wczoraj w Centrali - oświadczył. - Omawiano wyniki waszych badań na Pacyfiku. To poważna sprawa.

Mogłem mu wierzyć. Musiała być więcej niż poważna, jeżeli wezwano Greniana. Należał do najwybitniejszych znawców bioniki. Sam siebie nazywał "demagogiem", ponieważ - jak powiadał: "uczę te biedne martwe mózgi prawdy, ale prawdy niepełnej". On właśnie programował i "uczył" pantomaty. Widać, potraktowali serio mój meldunek i pięcioletnią harówkę. Przynajmniej tyle.

- Krótko mówiąc - podjął po chwili - tu na miejscu do niczego nie dojdziemy. Trzeba lecieć tam... Niewykluczone, że chodzi o zwykłe trafienie meteorytu, który jakimś sposobem umknął uwadze celowników. Na pewno jest coś, czego nie rozumiemy i co musimy zrozumieć. Wiadomo, w jakich okolicznościach pantomaty mogą stać się niebezpieczne, ale nie znamy objawów uprzedzających, że następuje odchylenie od normy. W tej sytuacji misja jest delikatna, zarówno dla tego, kto poleci, jak i dla tych, którzy go tam wyślą. Pomyśleliśmy o tobie. Ty złożyłeś w tej sprawie meldunek, znasz najlepiej wyniki dotychczasowych badań... oczywiście ostatnie słowo, jak zwykle, będzie mieć medycyna. To znaczy, gdybyś się zdecydował...

- Jak pan wie - powiedziałem ponuro - czasu mi nie brak...

- Myślałem i o tym - przyznał. - Tylko... - urwał i utkwiał we mnie badawcze spojrzenie.

- Zadaje pan sobie pytanie, czy jestem przy zdrowych zmysłach - z moich ust padały bryły lodu - to znaczy na tyle, żeby można mi zlecić coś więcej niż hodowanie koncentratorów? A może cała nasza rozmowa to tylko taki niewinny teścik? No i jak

wypadłem?

- Tak sobie - mruknął bez uśmiechu. - Bardziej niepokoi mnie co innego - podjął z namysłem. - Polecisz, jeśli niezależnie od tego, co myślisz, dasz sobie zdjąć zapis. Krótko: tak czy nie?

- Nie - warknąłem. - Niezależnie od tego, co pan pomyśli.

Twarz mu się ścięła. W jego wzroku nadal nie było gniewu. Stał się tylko odrobinę obcy.

- Szkoda - powiedział, podnosząc się. - Myślałem, że będziesz mógł przewyciężyć niechęć... zakładając nawet, że ją rozumiem. Tak się składa - dodał po chwili odwracając twarz ku morzu - że byłbyś tam najlepszy. Ale sam rozumiesz, że biorąc pod uwagę ryzyko, musimy wybrać kogoś, kto jest... zabezpieczony. Jeżeli już możemy wybierać.

- Nie - powtórzyłem.

Postał jeszcze jakiś czas, patrząc prosto przed siebie w linię horyzontu. Jego wargi poruszyły się kilkakrotnie, jakby pytał sam siebie, co teraz robić. Nie mogłem mu pomóc: Wreszcie przymknął na moment powieki, po czym otworzył je szeroko, jak człowiek walczący ze snem, skinął głową i ruszył przed siebie. Kiedy przechodził koło mnie, usłyszałem znowu:

- Szkoda...

Zatrzymałem się. Czego on właściwie żałuje? - przemknęło mi przez myśl. - Przecież nie mnie. Siebie? Nie przesadzajmy. Nie. On żałuje, że sprawy pantomatu nie będzie mógł powierzyć temu, kto jego zdaniem załatwiłby ją najlepiej. Wszystko inne się nie liczy. Zadźwięczały mi w uszach słowa Cullena: "Albo idziesz razem z ludźmi, albo cię nie potrzebujemy". To drugie dopowiedziałem już sam. Nieważne. "Razem z ludźmi". Kto tu właściwie idzie z ludźmi? Jeśli założyć, że ja na przykład jestem człowiekiem?

Jedno jest pewne. Nie potrzebują mnie. Nikt mnie nie potrzebuje, jeśli się zastanowić. Ten tutaj, którego plecy wciąż jeszcze miałem przed sobą, wyraził to nieco bardziej oględnie. Ale wychodzi na jedno.

Przez chwilę jeszcze nic nie rozumiałem. Czułem tylko, że do głosu dochodzi coś, co tkwiło we mnie od dawna i czekało na ten właśnie moment, żeby się ocknąć. Zadrzałem. W następnym ułamku sekundy w twarz uderzyła mnie fala ciepła. Jakie to proste. Nieludzko proste. Nieludzko, tak. To, co zrobię. Jedyne, co mogę zrobić.

Puściłem się biegiem. Nie uszedł daleko. Zatrzymał się, zanim zdążyłem

zawołać. Zwolniłem. Kiedy zacząłem mówić, mój głos brzmiał jak zawsze. Oddech miałem spokojny.

- Kiedy miałbym lecieć?

Bardzo powoli odwrócił głowę i utkwiał wzrok w moich oczach. Trwało chwilę, zanim się odezwał. W jego spojrzeniu nie było zdziwienia. Ani satysfakcji.

- To nie zależy ode mnie - wycedził. - Ale nie można czekać.

- Pan będzie kierował przygotowaniem?

Skinął głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Gdzie?

- Prawdopodobnie na Bruno. W każdym razie nie tutaj.

- Jadę.

- Pójdiesz jutro do Zespołu?

- Jadę - powtórzyłem. - Do Zespołu pójdę teraz.

Uniósł brwi. W jego wzroku przebiła troska.

- O tej porze nikogo nie zastaniesz...

- Niech kogoś ściągną - powiedziałem. - To możecie dla mnie zrobić.

- Co się stało? - spytał przeciągając sylaby.

Uśmiechnąłem się. To znaczy uśmiechnęła się moja twarz.

- Nic. Za kilka dni będę na Bruno. Poczekam tam na pana. Albo polecę gdzie indziej. I nie mówmy już o tym.

Tym razem było ich dwóch. Robili swoje z kamiennymi twarzami. Zajmowali się wyłącznie aparaturą. Raz czy dwa wymienili pomiędzy sobą spojrzenia. Odnosiłem wrażenie, że przeszkadza im we mnie wszystko, czego nie mogą użyć jako nośnika informacji.

Kiedy skończyli, do pracowni wszedł Cullen. Spokojny i godny. Miał na sobie skafander pilota. Tylko założyć kask i wysiąść przez okno w próżnię. Powiedział, że sztab akcji przenosi się na czternastą orbitalną i to zaraz. Grenian już poleciał, on sam z Norinem i innymi startują za kwadrans. Ostrzegł przyjaźnie, żebym się nie zdziwił, jeśli prócz nich zastanę tam jeszcze kilka osób.

- Przywiązujemy - tak powiedział: "przywiązujemy" - niezwykłą wagę do operacji „TP”. To znaczy Transpluton.

Ciekawe, kto im wymyśla te kryptonimy. Mogłem być pewny, że wśród tych "kilku osób" znajdę członków Rady, parę innych znakomitości i wreszcie takich jak

ja, żeby było z czego wybrać. Nie mogłem mieć pretensji. Bo jeśli "przywiązujemy" taką wagę...

Traktował mnie przyjaźnie. Takiego tonu używał mój brat, kiedy chciał ode mnie pożyczyć na lody. Na koniec uniósł palec, przyglądał mu się chwilę, jakby zaskoczony jego kształtem, po czym powiedział:

- Od dzisiaj nie ma cię nigdzie i dla nikogo. Zostałeś przekazany czternastce i to wszystko, co o tobie będą wiedzieć. Także znajomi, przyjaciele... jeśli ich masz - dodał niezmiennym tonem. Mogłem się tylko uśmiechnąć.

- Oni tam - podjął poufale, akcentując to "oni" z nutką sarkazmu - są zaniepokojeni. Może podejrzewają, że pantomat ma konszachty z naziemnymi mózgami pomocniczymi. Albo że po cichu podjął produkcję wyzwalaczy antymaterii i kiedy my tu sobie gawędzimy, naprowadza właśnie na cel pierwsze dziesięć baterii. Kto wie, co się za tym kryje? Może przybysze z Wegi? Żarty żartami - spowaźniał. - Wiesz, co by było, gdyby ludzie dowiedzieli się teraz, że jeden z aparatów, zdolnych zastąpić tysiąc instytutów naukowych wszystkich specjalności, odmówił posłuszeństwa? Gorzej, że usiłuje nas oszukać, udając niewiniątko? Albo stał się posłuszny komu innemu?

- Nie - wtrąciłem spokojnie. - Więc co by było?

Umilkł, ale tylko na chwilę. Błysnął spojrzeniem, po czym twarz ponownie mu się wypogodziła.

- No, w każdym razie nic dobrego - zapewnił. - Jeśli może zawieść pantomat, z którego usług od lat korzysta każda szkoła, nie mówiąc o specjalistach, to tym bardziej nie można wierzyć czemuś tak niesprawdzalnemu, jak wieczność... w wydaniu naszych biologów. I tak mamy kłopoty. Wiesz coś o tym... - dodał znacząco.

- Wiem - odrzekłem. - Ale nie wątpię, że sobie poradzicie. Więc kiedy mam tam być?

Odczekał chwilę. Wyglądał, jakby przeżuwał.

- Pojutrze - szczeptał. - Przyjdzie po ciebie startowy, Rotz. Do tego czasu siedź tutaj.

To mogło mi skomplikować sprawę. Spytałem szybko:

- Mogę wpaść do domu?

Miał gotową odpowiedź. Można to było odczytać z jego twarzy, która przybrała wyraz wytężonego namysłu.

- Na chwilę... - orzekł wreszcie. - Oczywiście wiesz, co powiedzieć...



Wiedziałem, a jakże.

- Jeszcze jedno - mruknąłem od niechcenia. - Kiedy będzie wiadomo, czy to nabożeństwo tutaj - wskazałem aparaturę - coś dało? Zdarzają się powtórki?

Spojrzał na mnie z wyższością.

- Raczej nie - powiedział. - Przynajmniej ja o niczym takim nie słyszałem. W razie czego sam się przekonasz... - roześmiał się. Chwilę chichotał do własnej wizji, w której zapewne pękał mi w próżni skafander lub też wpadałem do kadzi pełnej stężonego kwasu. Następnie, nie przestając wydawać odgłosów zadowolenia, skierował się ku drzwiom.

Następnej nocy zbudził mnie Rotz. Spytał, czy mam wszystko, co trzeba i zapowiedział, że za dwie godziny czeka na płycie. Była trzecia w nocy. Czy, jak kto woli, nad ranem.

Podszedłem do aparatu i wybrałem hasło. Minęło kilkanaście sekund, zanim na ekranie ukazała się twarz ojca. Jak przypuszczałem, był ubrany. Po staremu noce spędzał w pracowni, przemawiając do swoich światłowodów.

- Wyjeżdżam - powiedziałem. - Chciałem się pożegnać.

- Teraz? - spytał.

- Tak się składa... - bąknąłem. - Proszę cię, nie budź mamy. Kładziesz się już?

- Ja? - zdziwił się. - No...

- Co powiedziałbyś na mały spacer?

Zasepił się. Chwilę myślał, po czym zerknął za siebie. Perspektywa oderwania się choć na kilka minut od tablicy datorów napawała go głębokim smutkiem.

Wreszcie górę wzięło poczucie obowiązku.

- Gdzie się spotkamy? - spytał krótko.

Nie musiałem się zastanawiać. Przemyślałem wszystko z dokładnością do sekund i milimetrów, jak mawiał Norin. Mimo to odczekałem jakiś czas.

- Może być to stare lotnisko za wzgórzem - powiedziałem wreszcie. - Będziesz tam w pięć minut. Przylecę punkt czwarta. To na razie - nie pozwoliłem mu dojść do słowa. Nie mogłem ryzykować.

Ekran zbladł. Wstałem i nie śpiesząc się zacząłem wciągać skafander. Mój plecak leżał spakowany w kącie. Wyglądał nieco bardziej okazale, niż kiedy opuszczałem Europę. Oprócz kilku osobistych drobiazgów miałem w nim kopię ostatniego zapisu powstałego w wyniku pięcioletnich spekulacji.

Korytarz był pusty. Zgasilem lampy i odczekałem, aż wzrok oswoi się z ciemnością. Następnie ruszyłem, ściany wydawały nikłą poświatę, ale nie potrzebowałem patrzeć, żeby trafić do awaryjnego wyjścia. Nie chciałem ruszać wind.

Na dworze panowało dotkliwe zimno. Niebo poszarzało, chmury szły nisko jak w dniu mojego powrotu. Kiedy to było? Rok temu? Tydzień? Mniejsza z tym.

Przytrzymałem plecak, żeby nie zawadzić o balustradę. Pode mną zadźwięczało. Szedłem już stalowym pomostem, prowadzącym z pierwszego piętra pawilonu do hali taboru. Przystanąłem na moment. Cisza. Od strony zabudowań nie dobiegł najcichszy szelest. Daleko szumiało morze.

Drzwi do hali były zamknięte. Wsunąłem w zamek mój znaczek rozpoznawczy i poczekałem chwilę. Automat na wartowni nie potrzebował więcej niż półtorej sekundy, żeby przesłać sygnał. Kwadratowa kłapa drgnęła i zniknęła w ścianie, nie wydając szmeru.

Wewnątrz panował półmrok. Nad każdym stanowiskiem kontrolnym jaśniały miniaturowe lampki. Szedłem, nie rozglądając się, głównym przejściem, aż do chwili, kiedy nad głową zamajaczył mi czarny masyw kadłuba. Sterczące ku górze lotki z dyszami były niewidoczne.

Wspiąłem się po półtorametrowej drabince i nie wchodząc do kabiny sprawdziłem, czy wszystko wygląda, jak powinno. Nie oczekiwałem niespodzianek. Wczoraj i dziś w ciągu dnia zachodziłem tu parokrotnie. Jeśli nie liczyć kilku dyżurnych, na obszarze Centrali nie było żywego ducha. A obszar ten odpowiada wielkością małemu miastu. Niemniej należało uważać. I w dużym mieście można spotkać kogoś, kogo akurat wolałoby się nie widzieć. Każde spotkanie teraz musiało pociągnąć wyjaśnienia, z tych, które niczego nie wyjaśniają.

Paczki z plastykiem leżały za fotelem pilota, tak jak je zostawiłem. Paliwa było akurat tyle, ile trzeba: na dnie pojemnika. Zlazłem, podniosłem drabinę i wezwałem transporter. Zjawił się natychmiast. Jego silnik wydawał głuchy pobrzęk, przypominający mruczenie kota. Chwilę później mroczny kadłub drgnął i zaczął przesuwać się w kierunku bramy. Poszedłem w ślad za nim. Kwadratowy otwór w ścianie hali rozrastał się w oczach. Pojaśniało. Na dworze noc miała się ku końcowi.

Kilka metrów za bramą transporter stanął. Podeszedłem i ulokowałem się w twardym siodelku umieszczonym z boku konstrukcji na pojedynczej stalowej listwie. Zanim ponownie wprowadziłem ciągnik w ruch, uważnie zlustrowałem otoczenie. Nic. Cisza.

Zatrzymałem maszynę daleko za zabudowaniami, na skraju miejscowego lądowiska. Odprawiłem ciągnik i usadowiłem się w kabinie. Cała operacja zajęła mi niespełna trzydzieści minut. Była za dwadzieścia pięć czwarta. Miałem czas. Nie powinienem zjawiać się zbyt wcześnie.

Siedziałem, nie spuszczać wzroku z tarczy zegara. Nie znaczy to, by czas mi się dłużył. Nie czułem podniecenia, niepokoju. Nie próbowałem szukać w sobie uzasadnienia dla tego, co zamierzyłem. Ani udawać, że sprawia mi to przykrość. Powiedzmy, przez wzgląd na innych. Nie myślałem o niczym. Za dwie godziny będę poza strefą życia tej planety. Taka zabawa z pantomatem musi potrwać rok. Jeśli nie więcej. Potem pomyślę, co dalej.

Wskazówki osiągnęły wyznaczony punkt. Poprawiłem się w fotelu i ująłem stery. Maszyna zadrżała lekko i z narastającym graniem silników oderwała się od betonowej płyty.

Szedłem nisko. Ruch o tej porze zamarł, niemniej sterowałem z całą uwagą, na jaką było mnie stać. Najmniejsza nieprzewidziana przeszkoda oznaczała koniec. Chociaż na dobrą sprawę, co właściwie miało mi przeszkodzić? Teraz, kiedy byłem już w powietrzu?

Siadłem na samym skraju lotniska, tam, gdzie kończyła się droga prowadząca z naszej dzielnicy. Nie zamykając za sobą kabiny, odszedłem kilka metrów w stronę widniejących za wzgórzem dachów. Dotknąłem kieszeni na piersi. Silniki zagrały pół tonu wyżej. Automatyczny pilot działał bez zarzutu. Stanałem. Założyłem ręce na plecach i czekałem. Droga prowadząca do miasta schodziła stromo w dół. Ojciec ukazał się nagle, jakby spod ziemi. Podszedł do mnie na odległość trzech kroków i zatrzymał się. Chwilę nie mówiliśmy nic. Z dołu, od strony przystani dobiegł stłumiony warkot motorów. Łódki rybackie . wychodziły na zalew. Niebo było już niemal jasne. Nad miastem powietrze stało nieruchomo, ale rzadziejące chmury uciekały szybko za linię horyzontu.

- Do widzenia, tato - powiedziałem.

Bez słowa zbliżył się do mnie i wyciągnął rękę. Uściskaliśmy się.

- Pewnie nie wiesz, jak długo to potrwa? - spytał tak cicho, że ledwie usłyszałem.

- Nie wiem - odpowiedziałem także szeptem. Teraz coś ścisnęło mi gardło. - Nie będziecie sami - wychrypiałem. - Przywieźli wam już ten... to pudełeczko?

Zachnął się i odstaąpił o krok.

- Nie mówmy o tym - rzucił.

Próbowałem się zaśmiać. Mało brakowało, a z powodzeniem.

- A więc tak - powiedziałem. - To dobrze. W razie czego bądźcie dla mnie dobrzy... jak będę malutki.

- Tylko to miałeś mi do powiedzenia?

- Chciałem się pożegnać - zmieniłem ton. - Nic więcej. Przepraszam, że wyciągałem cię aż tutaj, ale - obejrzałem się na maszynę - mam na pokładzie coś, co może narobić trochę hałasu. Taka praca - dodałem filozoficznie. - Nie mogłem siadać bliżej zabudowań...

- Uważaj - zareagował natychmiast.

Mruknąłem coś i zacząłem się cofać. Poczułem pod stopą najniższy szczebel drabinki.

- Idź już - powiedziałem. - Uściskaj mamę i wszystkich. Będę startował sam. Cześć, tato...

Pokiwał głową, odwrócił się i począł schodzić. Po chwili z miejsca, gdzie stałem, widoczna już była tylko jego głowa. Ujrzałem ruch dłoni, wzniesionej w geście pozdrowienia. Zaraz potem zniknął.

Odczekałem trochę. Niezbyt długo. Nie więcej niż trzydzieści sekund. Kiedy odgłos jego kroków stał się ledwo słyszalny, zawróciłem i zacząłem biec. Liczyłem: raz... dwa...

Dwadzieścia pięć. Dość. Sięgnąłem do piersi i wezwałem automatycznego pilota. Silniki ożyły. Ich dźwięk był dość mocny, aby usłyszeć go tam, na dole. Taki miał być. Upadłem na twarz. Kiedy maszyna osiągnęła wysokość trzydziestu metrów nacisnąłem spust wyzwalacza. Na ułamek sekundy. Nie chciałem spalić całej dzielnicy.

Poraził mnie potworny błysk. Poczułem uderzenie i zaraz potem ogłuszający grzmot, jakby równocześnie pękało milion napiętych do ostateczności żagli. Drugie uderzenie. Jeszcze jeden grzmot. Zupełna ciemność, w której wirowały nieistniejące światełka. Z dołu dobiegł krzyk. I to także miałem już za sobą.

Nie mogłem czekać. Zerwałem się i po omacku, wyciągając przed siebie rękę, popędziłem ku przeciwległej krawędzi płyty. Stoczyłem się ze zbocza i ujrzałem na chmurach odbłysk reflektorów. Na miejsce katastrofy przybywały ekipy ratownicze.

Przetarłem oczy, otrzepałem ubranie i ruszyłem szybkim, odmierzonym krokiem ku najbliższej przecznicy, gdzie zwykle stały portery. Wsiadłem do

pierwszego z brzegu wozu, zgasilem światła, które włączyły się samoczynnie i ruszyłem.

Trzydzieści minut później, w kompletnym skafandrze, z pełnym wyposażeniem, stałem we włazie rakiety atmosferycznej typu "Georgia". Była za minutę piąta. Z wysokości siedemnastego piętra spojrziałem w stronę miasta. Dzień. Oczywiście domy pozostawały niewidoczne. W jednym z nich...

Ekipy pogotowia opuściły wzgórze, stwierdziwszy, że nic tam po nich. Przedtem sporządzono protokół, z którego wynikało, że system zabezpieczenia, oparty na matematycznych modelach niezawodności, był odrobinę mniej doskonały, niż się spodziewano. Resztek maszyny nie zabrali. Nie było co zbierać. Nie sądzę też, by szukali ciała.

W domu natomiast inna ekipa ma pełne ręce roboty. Kłapa pomieszczenia genoforów stoi otworem. Biało ubrany technik z namaszczeniem unosi walcowaty przedmiot. Drugi taszczy przystawkę z przestrzennym, jak to nazywali, zapisem świadomości. Chyba się nie pomyła i nie "zrehabilitują" drugiej mamy. Czy Lima. Ale to, zdaje się, niemożliwe. Nie tak jak katastrofa lotnicza.

Są zasmuceni. Sprawilem im ból. Czują się osamotnieni i wspominają chwile, kiedy byłem mały. Pocieszają się, że nie cierpiałem. Ojciec odpowiada półsłówkami. Przecież to stało się na jego oczach. Zastanawiają się, co mogłem mieć na pokładzie. Minie dzień lub kilka, zanim eksperci orzekną, że zniszczenie maszyny musiało nastąpić w wyniku sekundowego zwarcia w wyzwalaczu antymaterii. Ale nawet to nic im nie powie. Przez następne dni będą zaprzątnięci jednym, a mianowicie co dzieje się w pojemnikach, do których ekipa pogotowia przeniosła zabrane z domu skarby. Oczywiście zawiadomią dyżurnego w Zespole. Ten zapyta, czy może w czymś pomóc, po czym naciśnie odpowiedni klawisz w pulpicie głównej kartoteki. O tym, co ostatnio robiłem, nie znajdzie wzmianki. Zatrószczyli się, żeby zapewnić dyskrecję mojej "delikatnej misji".

Zachciało mi się śmiać. Miałem ochotę zrzucić rękawice i spleść dłonie nad głową. Mogłem zaśpiewać. Teraz zajmę się tym pantomatem. Niechby i dziesięcioma, wszystkimi naraz.

Nad bunkrem zapłonęło ostre światło. W kabinie służby jęknął sygnał. Coś stuknęło mi nad uchem, po czy zabrzmiał spokojny głos Rotza:

- Start minus piętnaście...

Obróciłem się na pięcie i z rozmachem zatrzasnąłem klapę wjazdu. Miałem spóźnienie. Widać nie dbali o to, skoro mnie nie ponaglali. To znaczy nie dbał. Ten jeden, jedyny człowieczek, ukryty przed moim wzrokiem za szerokimi, pancernymi ścianami bunkra dyspozycyjnego. Poza nim nie zostawiałem tu nikogo, kto mógł powiedzieć, że pozostałem żywy.

- Start minus pięć...

Zaparłem się w fotelu. Skafander rozwarstwił się, zawisłem w gazowej papce. Ziemia drgnęła. Zaciążyły mi ręce, bezwolnie leżące na oparciach. Ekran zakryła burza dymu. Start w atmosferze. Tak to wygląda.

Fotonowe obiektywy rakiety wyłuskiwały z czerni kształty planet, próżnia zappełniała się, ale przy szybkości nadświatlnej byłem z tym wszystkim samotny jak nigdy. Korytarze wytyczono w miarę bezpieczne, każdy z nich jednak, przynajmniej w jednym punkcie, musiał przeciąć płaszczyznę ekliptyki. Tam nie będę sobie wybierał dróg. Ja, meteoryty pozaukładowe i co tylko wędruje przestrzenią.

Obecny kurs był trzecim z kolei. Za każdym razem zmieniano trajektorię, ale niezręcznie, żeby nie postawić mnie w całkowicie nowej sytuacji. Jakby to mogło mieć znaczenie wobec faktu, że po raz pierwszy, jeśli nie liczyć krótkich lotów znanymi do znudzenia pętlami wokół poligonów, człowiek ruszał w próżnię odcięty od swojego świata. Ekranizowany pancerz statku zamykał drogę środkiem łączności, z kadłuba usunięto anteny, wyjścia pokładowej aparatury informatycznej były na głucho zaślepione. Samą aparaturę rozbudowano natomiast tak, że na dobrą sprawę powinienem lecieć nie wewnątrz rakiety, tylko obok niej. Nie mogłem ruszyć nogą, żeby o coś nie zaczepić.

Trzeci lot. Z dwóch poprzednich nie byłem zadowolony. Norin i inni nie mówili nic, ale w ich twarzach czytałem troskę. Oczywiście mieli mnie cały czas na ekranach. W czasie operacji będzie tak samo, przynajmniej jak długo pozostanę w zasięgu tachdaru.

Siedziałem sztywno wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w czołowym ekranie, pod którym zablokowano wszystkie wskaźniki. Nie mogłem sobie pozwolić na rozglądanie się po kątach. Z lewej strony fotela pozostawiono dość miejsca, by ktoś o połowę niższy mógł swobodnie przedostać się do śluzy. W prawe ramię uwierała mnie dodatkowa przystawka komputera, tak zwany "żywy" pilot. Głosem człowieka podawał położenie, parametry korytarza, odległość od celu i dziesiątki innych ciekawych rzeczy. Szybkość przesuwu taśmy była zsynchronizowana z pracą silników.

Kask, w którym tkwiła moja głowa, oplatała sieć przewodów. W każdej chwili mogłem poczuć w ustach słodkawy smak tabletki pobudzającej lub środka uspokajającego. Kiedy będę spragniony, dostanę pić. W miarę spalania się określonych substancji w organizmie, zostanę nakarmiony. Pomyśleli o wszystkim. Ja miałem tylko patrzeć w ekrany, bez przerwy, bez mrugnięcia okiem, od początku do końca, nawet jeśli usłyszę eksplozję lub na wprost mnie wyrośnie pałac Królowej

Zimy.

A bywały chwile, w których zaczynałem widzieć dziwne rzeczy. Już teraz. Lot, do którego się przygotowywałem, potrwa dłużej. Tak długo, jak żaden dotychczas. Stałem się pilotem. Przeżywałem to, co pierwsi ludzie, których śmieszne, metalowe cygara niosły w okolice wielkich planet. Ale nawet i oni nie tracili Ziemi, czuli ją za plecami, obecną w głosach kolegów i specjalistów, czuwających nad ich bezpieczeństwem. Ja miałem tylko ekrany, przystawki pamięciowe i kalkulatory.

Ale ja nie potrzebowałem Ziemi. Wyrzekłem się jej. Mniejsza, ile w tym prawdy. Stworzyłem fakty, które przemawiają same za siebie.

Uśmiechnąłem się do biegnących ekranem linii. Dwa czy trzy dni temu w ostatniej fazie lotu zdrzemnąłem się na chwilę. Ułamek sekundy ekran jarzył się jeszcze barwnymi światłami, po czym zapadła ciemność. Stałem przed halą taboru, na poziomie startowym Centrali. W głębi majaczą kontury statku. Automaty uzupełniają zasobniki i sprawdzają wyposażenie. Niewiele tego. Dwie dodatkowe przetwornice, kierunkowe anteny laserowe dalekiego zasięgu, trochę dobrej muzyki, kilka kilogramów paliwa. Całą resztę dostarczą quasarowce, zaopatrujące pantomat w energię i budulec.

Rzecz rozgrywała się przed moimi oczami jak trójwymiarowy film, obejmujący obrazem bezkres przestrzeni.

Programuję komputer. Ten nawiązuje kontakt z pantomatem. Łąduję. Z dostarczonych surowców buduję coś w rodzaju bazy. Jej centralnym punktem jest rakieta, przemieniona w ośrodek dyspozycyjny. Rozbudowuję sieć informatyczną pantomatu, nawiązuję bezpośrednią łączność z Ziemią. W każdym momencie, ba, w ułamkach sekund mogę czerpać z zespołów pamięciowych pantomatu zawierających ni mniej, ni więcej, tyle wiedzy, ile zebrało się w ciągu milionów lat rozwoju ludzkości. Nawet jeśli odetną dopływ informacji, miną lata, zanim postęp nauki na Ziemi zdezaktualizuje bodaj w części to, czym już rozporządzam. O ile spodoba mi się do tego dopuścić. Bo dysponując pełnią wiedzy i łącznością, zrobię z Ziemią, co tylko zechcę. Nikt nie odważy się tu przylecieć.

Co im powiem? Żeby nie czuli się tak pewnie w tym czasie, który rozdzieli do granic wszechświata. Niech się raczej śpieszą. Pomimo że żaden z nich z osobna nie może umrzeć. Ale jest Ziemia. Jeśli ona przestanie istnieć, prócz wędrującej galaktykami informacji nie pozostanie w kosmosie ślad po genoforach. Niewykluczone, że zechcą się tym zająć w wolnej chwili. Najlepsze, co mogą zrobić,



to prosić mnie trzy razy na dobę, żebym był grzeczny. Niech ich myśli od świtu wędrują poza chmury, poza świat wielkich planet, do opasłego cielska pantomatu i rakiety z istotą, której kaprys może sprawić, że nadchodzący dzień urwie się w połowie jak zdmuchnięta świeca. W południe mogą się ze mną łączyć, najlepiej wspólnie, niech będzie grupkami, i coś mi, na przykład, pośpiewać. Wieczorami niech mi dziękują, że słońce zaszło spokojnie, a w powietrzu filują gwiazdy. Że to powietrze jest tam jeszcze.

Nie będę się nudził. Pomyślę o konstrukcjach, których piękno stanie się absolutne, ponieważ nikt ich nigdy nie zobaczy. Posłucham mowy gwiazd. Zaprojektuję filmy przestrzenne, nieobjęte wzrokiem, rzucane na galaktyczną próżnię. Ich bohaterowie na mój jeden gest przy pulpicie projektora zaludnią obrzeże układu słonecznego. Nie sądzę, abym musiał uciekać się do fikcji. Wzorów dostarczy mi historia.

Zatroszczę się o ich rozrywkę. W Nowy Rok ogłoszę koniec świata, potem powiem, że się rozmyśliłem. Albo nic nie powiem. Co najwyżej rozwalę jakąś bezludną stację na orbicie Plutona. Skonstruuję dwie, trzy rakiety próżniowe. Nawet nie rakiety, skrzynki z byle jakim napędem, żeby tylko dotarły do górnych warstw atmosfery. Będą mieli trochę zabawy, zanim je zniszczą. Lub zanim przekonają się, że i tak nie mogłyby osiągnąć Ziemi.

Sen czy raczej wizja rozwijała się już jakby samorzutnie, na podobieństwo przyspieszonego fantomatycznego programu. Widziałem w karykaturalnym pomniejszeniu korpus pantomatu, siebie stojącego na jego wierzchołku, z rękami założonymi na piersi, spoglądającego w przestrzeń. Nagle dobiegł mnie sygnał obcego statku. Wzruszyłem ramionami i poszedłem rzucić okiem na ekran. We śnie było to tak, jakbym przeszedł z jednego fotela na drugi.

Czekała mnie niespodzianka. Niedawno ktoś mówił, że chce mi oszczędzić niespodzianek. Nic z tego. Widać jestem na nie skazany. Ta również nie należała do przyjemnych.

Właściwie mogłem się być od razu domyślić. Czujniki zaprogramowałem specjalnie, żeby nie dopuścić nikogo obcego. Gdyby w promieniu miliona kilometrów ukazał się statek czy przedmiot, cokolwiek, co nie było quasarowcem zaopatrzenia, zespoły obronne pantomatu same nakierowałyby wyzwalacze na cel. Ale ten, który teraz przybywał, w małej zwiadowczej rakiecie, używanej zwykle w najbliższym sąsiedztwie baz, mógł to zrobić bezkarnie. Nie ryzykował niczym. W każdym razie

nie z powodu pantomatu. Ten nieskończonej pojemności mózg dał się zwieść jak dziecko. I nie mogłem mieć mu tego za złe. Ja przecież miałem tu nieograniczone prawa. Taka była umowa. A tym, który pilotował raketkę, byłem ja sam. I poza mną żywego ducha.

Dałem sygnał stop. Pantomat usłuchał, jakby z wahaniem. Raketka zatrzymała się nie dalej niż pięćdziesiąt metrów. Zrobiłem kilka kroków w stronę, gdzie czekał nieproszony gość. Nie sądzę, abym miał na sobie próżniowy skafander. W każdym razie nie pomyślałem o tym.

On również wygramolił się z włazu i przytrzymując magnesami butów dotarł do nasady dyszy. Tam usiadł i przyglądał mi się.

W tym momencie film przestał mnie bawić. Jak na mój gust fantazja stała się odrobinę za rzeczywista.

- Bzdura - mruknąłem. - Dość tego. Wynoś się stąd.

Twarz człowieka siedzącego okrakiem na rufie raketki rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Jednocześnie przybliżyła się, przesłaniając sobą całe pole widzenia.

- Powoli... - powiedział. - W końcu jestem u siebie... Żeby nie było nieporozumień - dodał - nic mi nie możesz zrobić. To ty jesteś, że tak powiem, jednorazowy...

- Zostawiłeś tam słoiczek? - zakpiłem. - Na wszelki wypadek? Zapominasz tylko, że tym, który z niego wyjdzie, będę ja także...

Usiadł wygodniej. Wyprostował nogi na całą ich długość i pokiwał głową z politowaniem.

- Tak, ty... - powiedział, wydymając wargi. Nie znosiłem tego u siebie. Ale nie mogłem się odzwyczaić. - Ty... - powtórzył. - Tylko bez wszystkiego, co nastąpiło po twojej wizycie w laboratorium Zespołu. Co sprawiło, że siedzisz tutaj. Wyleziesz z pudełka świeży i grzeczny, jakbyś właśnie rozmawiał z Grenianem. Proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu. Co do mnie, też wolałbym być teraz na Bruno, niż słuchać, jak się wygłupiasz...

- Mogę rozpylić tę twoją skorupę razem z całą Ziemią - oświadczyłem naiwnie.

Machnął ręką.

- Bredzisz - parsknął. - Kto jak kto, ale ja wiem chyba, co zrobisz, a czego nie. Bzdury, mój drogi... a propos, chyba nie będziemy mówić sobie po imieniu? Jak

sądzisz?

W tym momencie miałem naprawdę dość. Zamachałem rękami, żeby sobie poszedł. Uśmiechnął się tylko szerzej. Najgorsze, że miał rację. Nie uwzględniłem tego. Nie pomyślałem, że zostawiając tam swój zapis, daje temu drugiemu pełną świadomość własnej decyzji. On wie, co chciałem zrobić. Wie, że żyję i jestem na Bruno. Wolę nie myśleć, co czuje. To znaczy, co ja czuję... do stu diabłów, ten sen coraz mniej przyjemnie splata się z rzeczywistością. To osłabienie. Fiksuję od tego nieustannego wytrzeszczania oczu. Od tych tańczących całymi godzinami tasiemek, wykresów, liczb, danych liniowych przemykających przez ekrany. Co gorsze wiem o tym, a ten tam siedzi dalej na swojej rakiecie, jakby nigdy nic. Oparł się plecami o dysze. Coraz mu tam lepiej. I wygląda, jakby świetnie się bawił.

- Więc masz rezerwę - powiedziałem po dobrej chwili. - To znaczy, że jest nas już trzech. Ciekawe, jak długo można?

- Sam zacząłeś - odparł. - Inaczej nie byłoby mnie tu teraz. Ani gdzie indziej. Wiesz tak samo jak ja, że to nam się nie podoba... A jednak zrobiłeś ten pierwszy krok. Czy muszę mówić, czemu?

- Nie - burknąłem. - Ale co do ciebie, widzę, że dałeś się przekonać?...

Jego uśmiech stał się odrobinę szerszy.

- Jak by to powiedzieć... - głos brzmiał drwiąco. - Żyję, widzisz. To raz. Dwa, nikt się mnie nie pytał. A po trzecie to niezła rzecz tak siedzieć i przyglądać ci się. Coś jedyne w swoim rodzaju. Sądzę, że można to tak określić nie popadając w przesadę...

- Zjeżdżaj warknąłem. - Ale już! I powiedz tym, którzy cię przysłali, że następna wizyta dobiegnie końca, zanim się zacznie. Od dziś strzelani bez uprzedzenia.

- Jak w książce o Indianach - zaśmiał się. - Ale nie będzie następnej wizyty. Poza mną nikt do tego nie tęskni. A ja nie mam najmniejszego zamiaru stąd się ruszać. Dawno nie czułem się tak dobrze.

- Pięknie powiedziałem, odwracając się w stronę kabiny. - Pantomat...

- Pantomat - przerwał - zignoruje każde twoje polecenie, któremu ja zaprzeczę. Wbij sobie to dobrze w pamięć. Chciałbym ci oszczędzić niespodzianek...

Proszę, jak sobie poradzili. Tak, tego nie wziąłem pod uwagę. Jeszcze jeden, który chce mi czegoś oszczędzić...

I raptem przypomniałem sobie, kto i dlaczego wspomniał o niespodziance,

kiedy nie było jeszcze nikogo takiego jak ten tutaj. Ani genoforu, z którego mógł wyleźć jak dzin z butelki. Odczułem to jak uderzenie. Zachwiałem się. W tej samej chwili wszystko znikło. Przede mną był tylko ekran, jaśniejący jaskrawymi barwami. Zadałem sobie pytanie, jak długo to trwało? Minutę? Kilka sekund? Bywają krótsze sny. Nie mówię, że gorsze.

Wchodziłem w ostatnią fazę lotu. Nie zamykałem już oczu. Nawet na moment. Siedziałem sztywno wyprostowany, uważając, by moje plecy nie dotykały oparcia fotela. Tablica sygnalizacyjna była w porządku. W uszach brzęczał mi monotony głos "żywego", przekazującego dane. Oczywiście. Najmniejszy znak, że w próżni zaszła zmiana, że nastąpiło pozornie niedostrzegalne odchylenie w torze korytarza, raz na zawsze położyłby kres wszystkim wizjom, filmom i zjawom, jakie podsuwała mi niezatrudniana wyobraźnia.

Jeszcze trzy minuty i na czołowym ekranie ukazały się zarysy bazy. W dalszym ciągu wytracałem szybkość. Ciasny, zbyt ciasny łuk. Pociemniało mi w oczach. Trudno. Jestem pilotem. Fotonikiem stanę się na powrót dopiero na miejscu. Jeśli zdążę.

Drugi łuk, nie dokończony, przerwany ostrą świecą. Na ułamek sekundy rakietę stanęła w miejscu. Ściany zadygotały. Schodziłem pionowo, rufą w dół. Nie mogłem widzieć, jak otwierają się wrota ładowni, złożone z dwóch półokrągłych skrzydeł. Przez pancierz statku przeniknął odgłos metalicznego zgrzytu, po czym nastąpiło uderzenie amortyzatorów. Źle - przemknęło mi przez myśl. Nie przejąłem się tym. Stałem.

Minęło dziesięć minut, zanim opuściłem kabinę. Nie śpieszyłem się. Nie było do czego.

W nawigacyjnej czekał Mitti. Na mój widok wyszczerzył zęby.

- Dobrze, że jesteś - oświadczył z udaną powagą. - Pantomat ante portas.

Zazdroszczą ci. Siedzisz sobie po kilka dni w wygodnym fotelu i nikt nie może do ciebie powiedzieć słowa. Jeszcze trochę i zostaniesz filozofem. Albo wymyślisz nowy sposób przyrządzania pieczarek. A propos grzybów - ciągnął niezmiennym tonem - Grenian chce z tobą mówić. Jest w dyspozytorni.

Była to zaledwie część tego, co miał mi do powiedzenia. Spytałem, czy chce mi wynagrodzić tę przymusową ciszę w kabinie rakiety. Zarechotał. Mówił jeszcze, kiedy przeszedłszy korytarz otworzyłem drzwi dyspozytorni.

Grenian był sam. Siedział za pulpitem komputera i wyglądał, jakby tkwił tak,

w niezmienionej pozycji, od dłuższego czasu. Jego plecy wygięły się w łuk. W obszernym, jasno oświetlonym wnętrzu wydał mi się starszy i jakby pomniejszony. Uplętnęło kilkanaście sekund, zanim zareagował na moje wejście. Wyprostował się z trudem, posłał mi krótkie spojrzenie, po czym wstał i ruszył w stronę przystawki sumatora. Poszedłem za nim.

Ekran ożył. Ujrzałem wzór, znany mi aż za dobrze. Zbudzony z najgłębszego snu potrafiłbym wyrecytować go jednym tchem, jak również zrelacjonować wszystko, co w ciągu pięciu tygodni nieubłagane, krok po kroku prowadziło mnie do niego. Teraz zajmował centralne miejsce na świecącej matowo tarczy., Ale tylko przez chwilę. Szereg liczb począł wędrować ku górze. Spod dolnej krawędzi wypłynął nowy, na pierwszy rzut oka identyczny jak pierwszy. Nagle coś mnie w nim uderzyło. Przyjrzałem się uważniej Nie mogło być wątpliwości.

Rząd liczb zatrzymał się pośrodku ekranu, kilka sekund trwał nieruchomo, po czym zafalował gwałtownie i zniknął. Grenian wyłączył aparaturę.

- Co to znaczy? - wykrztusiłem.

Profesor uniósł brwi i utkwiał we mnie zmęczone spojrzenie.

- Odchylenie - rzucił krótko.

Oprzytomniałem. Procesy zachodzące w kręgu pantomatu cechuje doskonała stabilność. Szereg lat wszystko było w porządku. Pewnego dnia zauważyłem zmiany. Nie tak dawno. A teraz wielkość odchylenia przesunęła się o cały jeden rząd.

- Z tego wynika... - zacząłem.

Nie pozwolił mi skończyć. Wyprostował się gwałtownie i przejechał dłonią po czole. Znowu zwrócił twarz w moją stronę i wtedy pierwszy raz ujrzałem w jego oczach lęk.

- Z tego wynika - powiedział cicho - że trzeba się śpieszyć.

Umilkłem. Minutę, może dwie stałem nieruchomo, czując, że kamienieję. Nie minęło trzy tygodnie, odkąd opuściłem Ziemię. Przygotowany dla mnie program szkolenia mieścił się w trzech miesiącach. Teraz...

- Kiedy? - spytałem. Głos był mój. Tylko jego brzmienie stanowiło dla mnie nowość.

- Kiedy? - odpowiedział pytaniem. Jego wzrok błędził po ścianach.

Aparatura jest gotowa - przebiegło mi przez myśl. - Statek?... To najmniejsze. Może być pierwszy lepszy. Ekranizację założą w ciągu dwóch godzin. Pilot?

Wyprostowałem się i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Potrzebowałem tego.

Zaszumiało mi w głowie, jakbym na moment miał stracić przytomność. I raptem ogarnął mnie chłód. Uspokoilem się. Rozproszone obrazy zlały się w logiczną całość. Zacząłem rozumować.

- Dzisiaj nie - oświadczyłem. - W tej chwili wracam z lotu. Muszę przyjrzeć się wynikom. I wyspać. Jutro.

Odczekał kilka sekund, po czym powoli skinął głową.

- Jutro - powtórzył.

Stałem jeszcze. Nie po raz pierwszy nasunęło mi się pytanie, czy on wie. Mógł wiedzieć. Był głównym koordynatorem akcji. Do niego trafiały wszystkie meldunki z przestrzeni i z... Ziemi. Musiał wiedzieć, jeśli się chwilę zastanowić.

W korytarzu zabrzmiała stłumiona rozmowa. Za chwilę ktoś może wejść.

- Coś jeszcze, Dan? Głos Greniana brzmiał miękko. Poczulem ucisk w krtani. Odchrząknąłem i otworzyłem usta. Przeczekałem tak moment, w którym mogłem coś powiedzieć. Nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie zrobiłem zwrot na pięcie i wypadłem z kabiny.

Grenian stał bez ruchu, lekko przygarbiony, z głową podaną do przodu. Norin nie spuszczał wzroku z czujników. Tylko Cullen patrzył we mnie, jakbym leżał już w odkrytej trumnie. Wysoko przed sobą, jak pochodnię, trzymał dłoń z wyprostowanym kciukiem. Mogłem mu wierzyć, że życzy mi szczęścia.

Ostatni raz omiotłem ich spojrzeniem i nogami naprzód spuściłem się do kabiny. Opadły szklane grodzie, dzieląc komorę na dwie części. Twarze ludzi stały się plamami pozbawionymi konturów. Podo mną narastało ciche brzęczenie, jakby przepalanego przewodu. Pojaśniało. Potężne reflektory biły w kopulaste sklepienie, w którym powiększał się kolisty otwór. W pewnym momencie łagodnie zapadły w głąb. Otoczyła mnie czerń. Wzrok potrzebował kilku sekund, żeby wyłuskać z niej pełgające światełkami czujniki. Łagodna jasność ekranów wydawała się złudzeniem, po słonecznym blasku świateł pola startowego. Czułem się lekki, jakby wszystko, co dotąd robiłem, polegało na nieporozumieniu. Takie kluczenie przed wyjściem na właściwą drogę. Z niejakim żalem rozejrzałem się wokół. Jednoosobowa kabina zmieniła się w bezosobową. Centymetry dzieliły moją głowę i ramiona od końcówek kabli, bloków przekaźnikowych, tablic, celowników, miniaturowych pulpityw pomocniczej aparatury. Aby wykonać najmniejszy ruch stopą, musiałem unieść się w fotelu. Szkoda. Gdyby nie to, zrzuciłbym pasy i wyprostował się na całą długość. Start

w próżni zawsze nastrojał mnie pogodnie na cały lot. Dawał złudzenie bezpieczeństwa.

Spojrzałem w miejsce, gdzie zazwyczaj sterczał gruszkowaty pulpit łączności, a następnie przeniósłem wzrok na zegar. Czterdzieści pięć sekund. W tym momencie tuż przy moim uchu zabrzmiał spokojny, zbyt spokojny głos "żywego". Mój dobry nastrój prysł jak bombka na choinkę, trafiona ciężkim pociskiem. To nie był zwykły start w próżni. Nie ma mowy o nastrojach. Minęło czterdzieści pięć sekund. Jestem już poza ochronną strefą bazy. Wszyscy, ilu ich tam jest, siedzą teraz przed półkolistym pulpitem w dyspozytorni. Cały ich świat to płaska, prostokątna tarcza tachdaru. Dzisiaj, jutro, przez wiele dni i tygodni. Ale nawet gdybym zwariował i zaczął fikać kozły, gdyby ujrzeli nadciągającą z przestrzeni zagładę, nie będą mogli zrobić nic, żeby mi pomóc.

Poprawiłem się w fotelu, zlustrowałem czujniki, sprawdziłem synchronizację taśmy i utkwilem wzrok w ekranach.

Zbudziłem się po czterech godzinach snu z uczuciem, że coś się stało. Pośpiesznie przebiegłem wzrokiem pastelowe okienka czujników. Nic. Dane przekazywane na ekran ułożyły się w idealnie proste, równoległe nitki. Przebiegł mnie dreszcz. Po karku spływała zimna strużka. Poczulem ucisk na górnej wardze, ale potrzebowałem dobrej chwili, żeby otworzyć usta i przełknąć to coś, czym usiłowała mnie ratować aparatura diagnostyczna.

Powoli wypełniał mnie spokój. Przyjrzałem się blokadzie automatycznego pilota. W porządku. Oczywiście. Nie mogło być inaczej. Szedłem wytyczonym korytarzem jak po sznurku. Pozostanę na nim, tysiące kilometrów za płaszczyzną ekliptyki, przez pełne dwa tygodnie. Jeżeli coś mi tu zagrozi i tak nic nie poradzę. Martwić będę się potem.

Położyłem głowę na oparciu. Chwilę patrzyłem prosto w górę, jakby mrok, w którym ginęły węzły przewodów, był już mrokiem próżni. Następnie zamknąłem oczy. Ale odechciało mi się spać.

Dwunastego dnia lotu w głosie "żywego" nastąpiła zmiana. Jakby prócz niego mówił ktoś jeszcze, spóźniając się o ułamki sekund. Sprzężenie z komputerem biegło po prostych torach i nie mogło ulec zniekształceniu. Czyli defekt synchronizacji. Trudno to nawet nazwać defektem. Chodziło po prostu o ingerencję czynnika czasu. Mogłem skorygować błąd w kilka minut. I zrobiłem to. Ale pomyślałem o Ziemi. O

ludziach, którzy zaprogramowali się na całą wieczność. Oczywiście nie zatrzymają się w rozwoju. Będzie on przebiegał wolniej, może inaczej, niemniej w procesie ciągłym. Tylko czy ludziom starczy siły, żeby korygować na sobie błędy wynikające z ingerencji czynnika czasu? Tego czasu, który pozornie usunęli ze swoich spraw?

Przywołałem się do porządku. Jedno, co dobre w całej mej "delikatnej misji" to to, że nie muszę myśleć. Mam patrzeć w ekrany i starać się dotrzeć do celu. A potem działać. Myśleć tylko, co zrobię. Robić tylko, co przemyślałem. Bez spekulacji na temat, co będzie, kiedy skończę. Bo mogłoby się zdarzyć, że skończę zbyt wcześnie. I nie zostawię nikogo, kto byłby mi zdolny to wypomnieć.

Dwa tygodnie później silniki przyśpieszyły. Za orbitą Urana miałem ponownie przeciąć płaszczyznę ekliptyki. A także wytyczone na stałe tory, którymi od lat sunęły w równych odstępach czasu ciężkie, bezzałogowe quasarowce, statki zaopatrzenia, noszące taką nazwę na pamiątkę pierwszego odkrytego przez ludzi ciała, poruszającego się z szybkością większą od światła. Prawdopodobieństwo zderzenia w próżni, nawet w rejonach największego ruchu, jest niewyobrażalnie małe. Niemniej istnieje. I nie można go uniknąć. Co najwyżej zachować szczególną ostrożność. A w próżni, inaczej niż na Ziemi, lecieć ostrożnie, znaczy lecieć szybko. Także sprawa czynnika czasu. Należało skrócić do maksimum okres przebywania w zagrożonym rejonie.

Silniki osiągały pełną moc, możliwą do uzyskania w obszarze układu słonecznego. Przeskoczyłem „na drugą stronę” - posługując się językiem pilotów - niemal nie wiedząc kiedy. Wydało mi się, że w głosie "żywego" zadźwięczała nutka ulgi. Za wcześnie - pomyślałem niedorzecznie. Jakbym odkrył tę ulgę w samym sobie, nie w martwej aparaturze.

Mijał miesiąc trwania przed ekranami. Łatwo to powiedzieć. W istocie aparatura diagnostyczna pracowała bez chwili przerwy. Jeśli budziłem się w miarę wypoczęty, jeśli moje serce i mózg zachowały normalną sprawność, zawdzięczam to wyłącznie niekończącym się zabiegom informatycznego medyka, zastępującym ruch, regulującym przemianę, krążenie, korygującym reakcje na bodźce. Jeżeli w ogóle było na co reagować. Oświetlenie tablic zmieniało się w miarę obojętnienia wzroku na pewne kolory. Budziłem się, patrzyłem prosto przed siebie, odczytywałem dane, zasypiałem.



Wreszcie na wysokości Plutona nadszedł moment, który wydawał mi się tak upragniony, że nie śmiałem o nim myśleć. Drobniutki szmer dobiegający z dołu statku, niesłyszalny już po tylu dniach, ucichł. Nastąpiła zupełna cisza. Stało się to tak nagle, że w pierwszej chwili pochwyciłem tylko jakąś nieuchwytną zmianę. "Żywy", którego synchronizację musiałem teraz korygować co kilka dni, wyjaśnił, że komputer wyłączył silniki. Szczelnie ekranizowany statek, odcięty od wszystkich możliwych nośników informacji, szedł martwym biegiem jak najstarszy strzęp skalny w asteroidach. Kończyło się oczekiwanie.

Z orbity Transplutona schodziłem po spirali obliczonej do ułamków milimetrów. Już nie byłem sam. W zasięgu wyzwalaczy mojej łupinki znalazła się najdoskonalsza z konstrukcji, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek, więcej, duch mojej rasy, upostaciowiony w doświadczeniach, walce i woli milionów pokoleń. Twór tak doskonały, że kiedy jego zamysły rozbiegły się z intencjami człowieka, ten nie mógł zrobić nic, jak tylko wysłać najmniejszy ze swych stateczków, upodabniając go do okrucha starego, wypalonego globu. Przy czym nie liczone za bardzo, że ten kamuflaż osłoni pilota. Cóż zresztą znaczył pilot wobec perspektywy, o której woleli nie myśleć nawet tacy ludzie, jak Grenian.

Jedyne, co mi pozostało, to czujniki ferroindukcyjne. Aby trafić. Ci w bazie zachowywali się tak, jakby to załatwiało sprawę. System treningu, wyposażenie, dobór kodów sygnalizacyjnych, wszystko to miało na celu jedno: trafić. Dalej to już nie ich zmartwienie. I trudno się dziwić. Nie wiedzieli nic. Nie mogli mi udzielić żadnej rady, która nie sprowadzałaby się do matczynego: uważaj na siebie. Ale nie zdobył się na nią nawet Mitti.

Skupiłem całą uwagę na przyrządach. Spałem po trzy godziny na dobę. Posuwałem się w tempie, które mogło wpędzić w melancholię stojącego nad grobem żółwia. Moment, kiedy strzałki czujników ferroindukcyjnych drgnęły i z pewnym wahaniem stanęły na pozycjach roboczych, przyjąłem jako coś, co musiało nastąpić właśnie tutaj i dokładnie o tej porze. Mruknąłem "tak jest..." czy coś w tym rodzaju. Uruchomiłem przetwornice i sprawdziłem, czy pali się kontrolka magnesów. Następnie leniwym ruchem odblokowałem automaty celownicze. Tak jakby miało jakiegokolwiek znaczenie, czy w razie czego pošlę wiązkę metr bardziej na lewo.

Nie mogłem hamować. Płynąłem z szybkością kwiatu dmuchawca unoszonego nad lekko nagrzaną kałużą, ale nie byłem kwiatem dmuchawca, miałem te sześć tysięcy ton masy spoczynkowej. Wyrznąłem w brzuchaty pancerz pantomatu

z dyskrecją, której nie powstydziliby się stalowy słoń, wpuszczony do fabryki kapiszonów. Cała misterna maskarada, cisza radiowa, rezygnacja z sygnałów namiarowych, wszystko to okazało się naraz żalosną groteską. Oczywiście po uderzeniu poleciałem z powrotem w przestrzeń jak wypchany worek, odbity od sufitu. Cios nadał mi przyśpieszenie, któremu mogłem przeciwstawić jedno: silniki. Uderzyłem raz, z głównej dyszy. Rakieta zadrzała lekko i zastopowała. Przysięgnęłam, że ułamek sekundy trwała nieruchomo, zanim nieskończenie powolnym ruchem ruszyła przed siebie. A raczej do góry, ponieważ korpus pantomatu, przy którym mój pocisk wyglądał jak statek lądujący na dużym satelicie orbitalnym, wisiał wprost nade mną. Tym razem uderzenie było już słabsze. Magnesy zaskoczyły od razu. Nastąpił bezruch. Tępo ścięty dziób rakiety przywarł do pancerza pantomatu jak klucz wpasowany w zamek.

Odczekałem kilkanaście sekund. Cisza. Przede mną rozpostarte metalowe niebo, lekko wypukła tarcza o rozmiarach ziemskiego lotniska. To wszystko poza zasięgiem wzroku. Naprawdę nadal widziałem tylko światełka czujników, bladawą jasność ekranu i głęboką czerń za iluminatorami.

Po raz pierwszy od dziewięciu tygodni usiadłem. Łącza aparatury diagnostycznej zafalowały i podążyły za ruchem mojej głowy.

Bez pośpiechu pozbyłem się całego tego balastu. Zrobiło się odrobinę luźniej. Sięgnąłem za siebie i uruchomiłem generator pola magnetycznego. Chwilę przyglądałem się ruchowi kontrolnego wskaźnika stabilizacji. W porządku. Dłuższe przebywanie w bezpośrednim sąsiedztwie gigantycznych konstrukcji pantomatu musiało skończyć się udarem magnetycznym. Teraz przestało mi to grozić. Jak dotąd wszystko jest dziecinnie proste. Zaraz spytam, o co tu chodzi, powiem kilkudziesięciu zespołom informatycznym, z których każdy przewyższał rozmiarami katedrę Notre Dame, żeby były grzeczne i jeszcze uda mi się zdążyć na kolację.

Dobrze. Póki co, skończmy z tą ciszą.

Ekranizacja rakiety albo zrobiła swoje, albo nigdy nie miała sensu. Tak czy owak teraz należało jej się pozbyć. Rzecz była precyzyjnie obmyślona, wystarczały cztery, wielokrotnie przeciwiczone ruchy. W rzeczywistości zajęło mi to przeszło godzinę. Uporałem się z tym, po czym uderzyłem w skrajny klawisz pulpitu i czekałem, aż pojawi się nowe światełko na znak, że rakieta rozwinęła pająki anten. Ale zanim to nastąpiło, poraził mnie nagły zgiełk. Jakbym zasnawszy w górskim rezerwacie, zbudził się raptem pośrodku hali obrabiarek. Trwało dobre kilka minut,

zanim z chaosu zmieszanych, ogłuszających trzasków począłem wyławiać jako tako logiczne informacje.

Złożyłem fotel. Mogłem teraz precyzyjnie się do pierwszej komory ładunkowej. Nie potrzebowałem więcej. Rozmontowałem "żywego", po czym przytaszczyłem pulpit łączności i umieściłem go na dawnym miejscu. Kabina odzyskiwała powoli normalny wygląd. Znalazłem się znowu na statku, przystosowanym do pobytu jednego bodaj pasażera.

Miejsce ludzkiego głosu w słuchawkach zajęły automatyczne selektory kodów. Usiadłem, uruchomiłem zapis i zacząłem słuchać. Minuta za minutą, godzina za godziną rejestrowałem płynący nieprzerwanie ciąg meldunków, emitowany z centralnej rozdzielni pantomatu. Wreszcie dałem za wygraną. Aparatura pracowała normalnie. Rozwiązywała problemy zadane przez specjalistów, odpowiadała na pytania napływające nieustannie ze wszystkich zakątków Ziemi. Maszyna robi swoje. Tak to wyglądało. Jeżeli dzieje się tu coś, co powinno pozostać ukryte przed twórcami konstrukcji, w ten sposób nie dowiem się o tym więcej niż wszyscy siedzący teraz przy datorach w domowych papuciach. Pomimo że żaden z nich nie spędził pięciu tygodni sam na sam z wykresami pracy tego niewidocznego giganta, zagrządzającego mi tutaj przestrzeń. Mieli nade mną tę przewagę, że ja wiedziałem.

Oparłem łokcie na pulpicie i pomyślałem chwilę. Mogę jeszcze sprawdzić temperaturę, szczelność pancerza, jego powłokę, natężenie promieniowania. Mogę zająć się mnóstwem pożytecznych rzeczy. Na przykład spytać pantomat, po co to robię. Moja obecność dawno przestała być dla niego tajemnicą. Odpowiedź przyjdzie błyskawicznie. "Zero". Następnej nie będzie. Bo mogłaby brzmieć tylko: "Ze strachu".

Przejrzałem aparaturę skafandra. Sprawdziłem ładunki energetyczne kalkulatora, pistoletu laserowego i reflektorów. Zablokowałem stery i uruchomiłem zapis. Włączyłem zdalne sterowanie i szybko, jakbym się bał rozmyślić, otworzyłem właz.

Cisza. Wszystkie wędrujące przestrzemią głosy, mowę gwiazd, ludzi i maszyn zostawiłem za sobą, w kabinie.

Przytrzymując się obrzeża włazu wypłynąłem na zewnątrz. Podeszwy butów przylgnęły płasko do pancerza. Zaczerpnąłem powietrza i zrobiło mi się gorąco. Gwałtownym ruchem, jeśli można mówić o gwałtowności w próżni, gdzie człowiek porusza się jakby wewnątrz ogromnej butli sprężonego gazu, podkręciłem zawór. Tlenu miałem dość. Co najmniej na dwanaście godzin. Nie musiałem sobie żałować.

Zapaliłem reflektor. Na panczeru rakiety rozbłysły białosrebrzyste smugi. Skierowałem wzrok wyżej. Nie dalej jak cztery metry nade mną czerniała posepna, bezkształtna masa. Światło grzęzło w niej niby w niewiarygodnie gęstej chmurze. Inaczej niż przy statkach, pancierz pantomatu pokrywała jakby gruba warstwa sadzy. Brzegi lekko wypukłej tarczy rozbiegały się w ciemność, tylko zupełny brak gwiazd w zasięgu wzroku świadczył o jej ogromie.

Zrobiłem dwa kroki w kierunku dziobu. Stałem. Powierzchnia czarnego pancierza zafalowała i zbliżyła się groźnie do mojego kasku. Jakby sama wieczna noc próżni nachylała się nade mną. Przebiegł mnie dreszcz. Doznałem nagle uczucia, że spoza tej obitej czarnym aksamitem płyty śledzą mnie czyjeś oczy. Ujrzałem twarz. To nie była twarz człowieka. Ale zniekształcał ją grymas uśmiechu, jaki spotyka się czasem na Ziemi... w pewnych miejscach.

Wzdrygnąłem się. I nagle owładnął mną gniew. Co u licha! Przesiedziałem miesiąc w tym pudełku sardynek, żeby tu dotrzeć, a kiedy mam to wreszcie za sobą, zachowuję się, jakbym nigdy w życiu nie widział pola startowego. To tylko maszyna - powiedziałem sobie. Maszyna - powtórzyłem. - Narzędzie. Może odrobinę większe od innych. Powiedzmy, narzędzie do wszystkiego. Coś się stało. Zacięła się jakaś śrubka. Trzeba mu pomóc.

Na moment wyłączyłem magnesy. Ugiąłem nogi w kolanach, po czym wyprostowałem je nagłym ruchem. Niezbyt nagłym. I tak przedobrzyłem. Pośpiesznie wyłączyłem magnesy i wyrzuciłem w górę ramiona. Chwilę tarłem rękawicami szorstką powłokę, wreszcie podeszwy chwyciły. Zastygłem na czworakach, przyczajony jak przed startem do stumetrówki. Przez kilkadziesiąt sekund nie robiłem nic. Nagle zadźwięczało mi w uszach ulubione powiedzonko Mittiego: "Najlepiej nie robić nic, nic, nic, a potem sobie odpocząć..." Uśmiechnąłem się. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, mieliby o czym mówić do końca życia. I nie tylko oni.

Do końca życia...

Przestałem się uśmiechać. Szczęki mi nabrzmiały. Podrzutem ramion poprawiłem pasy na plecach i poszukałem wokół siebie światłem reflektora. Nic. Jakby pod tą pokrytą kopciem skorupą kryły się tylko porzucone przed wiekami ruiny. Oderwałem stopę i z całej siły uderzyłem nią w pancierz. Ale do moich uszu nie dobiegł najcichszy dźwięk.

Każdy mój kolejny krok wyłuskiwał z czerni nowe skupiska gwiazd. I każdy trwał nieskończenie długo. Tylko te gwiazdy, dołączające do poprzednich sprawiały, że mogłem iść dalej. Gdyby ich brakło, strach, że dotarłem do krawędzi konstrukcji i że moja wzniesiona stopa celuje w pustkę, pozbawiłby mnie zdolności ruchu.

Noc próżni zrównała mikroskopijny okruch ziemskiej cywilizacji z nieskończonością przestrzeni, ale granice tych dwóch światów nie istniały. Byłoby oczywiście inaczej, gdyby pantomat, zgodnie z założeniami konstrukcyjnymi, wirował dokoła własnej osi. Nieruchome teraz gwiazdy pomknęłyby świetlistym pierścieniem, jak lampy lunaparku oglądane z karuzeli. Mogę sobie myśleć o psychozie, chronofobii i innych fanaberiach. Ale w otaczającym mnie bezruchu jest groźba. Równie realna jak to, na czym stoję. Bo przecież pantomat powinien wirować wokół własnej osi.

Z czoła ściekał mi pot. Zatrzymałem się i dotknąłem językiem warg. Były wilgotne i chłodne. Sięgnąłem do karku i ponownie zwiększyłem dopływ tlenu. Biały snop światła, padający z reflektora, opisał przy tym ruchu chybotliwe półkole. Nagle w czerni coś zaśniło. Nie dalej jak trzy metry przede mną, nieco z boku, widniała gruba pokrywa wjazdu obrzucona ściegiem automatycznych zacisków.

- Jesteśmy w domu... - powiedziałem na głos. Echo tego zdania powróciło do moich uszu w postaci zdławionego buczenia, jakby muchy uwięzionej w drewnianym kubku.

Przyjemnie było klęczeć i zwalniać jeden po drugim plamentowe zatraski, wolne od tego idiotycznego kopcium czy aksamitu, jaki zdobił pancerz. Ta czynność oznaczała powrót. Wewnątrz czeka oświetlona kabina, lekki, treningowy kombinezon, kąpiel, posłuszna na każde skinienie aparatura. To było coś swojskiego, te srebrne krążki, uciekające spod palców pod najlżejszym muśnięciem. Magnesy rozwierały się bezszelestnie. Kto powiedział, że mury dają schronienie przed dźwiękami? Naprawdę dyskretna jest tylko próżnia.

Kłapa drgnęła. Jej krawędź uniosła się kilka centymetrów, tworząc szczelinę niedostępną dla światła reflektora, jakby wewnątrz panował mrok nierównie gęstszy od czerni kosmosu. Moja dłoń, zaciśnięta na uchwycie, zatrzymała się w pół drogi. Zamarłem w oczekiwaniu na coś, co miało wypełznąć spod ledwie uniesionej pokrywy i skorzystać z pierwszej od narodzin czasu szansy zatracenia się w przestrzeni. Odruchowo wyłączyłem reflektor. Mój wzrok biegł po nie istniejących

konturach jakiejś postaci, zaczął odgadywać jej kształt, w otaczającym mnie ogromie budować jego żywy symbol.

Przeniknął mnie dreszcz. To nie był już strach, tylko obrzydzenie, fizyczny wstręt, jaki budzą w człowieku formy życia tak różne od wszystkiego, do czego przywykł mieszkaniiec Ziemi jak wschód słońca i błysk anihilacji. Nie widziałem już nic, nie domyślałem się żadnych postaci, tkwiłem w miejscu, nie śmiejąc wykonać najmniejszego ruchu. Gdyby z tego na pół otwartego włazu naprawdę wypełzła teraz jakaś istota, przez myśl by jej nie przeszło, że ma przed sobą przedstawiciela słonecznej cywilizacji. Stanowiłem zaledwie element konstrukcyjny. Niewiadomego przeznaczenia i zapewne niezbyt udany.

Trzymało mnie tak dobrych kilka minut. Wreszcie odtajałem. Wziąłem się w garść. Jednym szarpnięciem odrzuciłem klapę. Drzenie kolan ustąpiło.

Pochyliłem się i skierowałem światło reflektora pionowo w dół. Kilkanaście metrów poniżej rozbłysło, jakbym trafił na lustro wody. Ale to nie była studnia. Jej ściany nie istniały. Światło biegło swobodnie we wszystkich kierunkach, wyłuskując zespoły przekładników, pęki przewodów, potężne wiązania kriogenicznych kabli. System torów informacyjnych mózgu działał na zasadzie nadprzewodnictwa. Tutaj jednak, pośrodku czerni kosmosu, myśl o panujących wewnątrz tych kabli temperaturach nie przyprawiała o dreszcze.

W głąb wiodła stalowa drabinka o stopniach powleczonych szorstkim tworzywem, przypominającym gumę. Umocowałem zacisk reflektora, odwróciłem się i bacząc, by nie zawadzić butlami o krawędź włazu, zacząłem schodzić. Po dwóch pierwszych krokach dobiegło mnie metaliczne echo, jakby ktoś w bardzo odległym pomieszczeniu stroił skrzypce. Podciągnąłem pas stelaża i przyspieszyłem. Całą uwagę skoncentrowałem na płynności ruchów.

Drabinka prowadziła na wąską galeryjkę zabezpieczoną niskimi poręczami. Był to rodzaj półki zawieszanej w próżni. Snop światła padający z reflektora nie docierał do kresu jej perspektywy. Sama galeryjka, wyłożona grubą warstwą elastycznego tworzywa, przypominała pomosty biegnące wzdłuż staroświeckich silników okrętowych. Tylko tam, gdzie powinien być silnik, tu nie było nic.

Dopiero kiedy oderwałem się od drabinki i przechyliłem nad balustradą, ujrzałem, że całą otaczającą mnie przestrzeń wypełniają niekończące się, wielopoziomowe konstrukcje. Takie wrażenie mógłby odnieść pomniejszony cudownym sposobem bohater bajki, przeniesiony do wnętrza turbogenerators. Byłaby

to ponura, mroczna bajka, z tych, których nie opowiada się dzieciom przed snem.

Biały krąg światła ślizgał się po kilkumetrowej grubości przewodach, po lejkowatych soplach wpadających wiele piętér niżej w półkuliste sklepienia sekcji roboczych, wyluskiwał kolejne węzły zbiorcze, podobne do gigantycznych, zawieszonych w powietrzu motków wełny. Pomiedzy nimi biegły, jak gdyby powielane w nieskończoność, miniaturowe modele układów gwiazdnych. Ożywały na mgnienie, trafione smugą światła, przybliżały się, powiększały. Ich pozorny ruch trwał tak długo, aż wzrok ogarniał całość kolejnego obrazu. Odnosiłem wrażenie, że uderzone światłem wszystkie te pajęczne konstrukcje, spirale i zwoje przerywały raptem swoje normalne czynności, by wrócić do nich wraz z ciemnością. Że nieruchomiały jak niektóre owady pod wzrokiem człowieka. Mogłem to przyjąć jako ostrzeżenie. Naprawdę mój spokój okazywał się pozorny.

Skierowałem reflektor w perspektywę galeryjki i utkwivszy wzrok w cofającym się punkcie, gdzie światło grzęzło w mroku, zacząłem iść. Stopy odskakiwały mi od wykładziny, jakbym szedł po sprężynach. Zachwiałem się raz i drugi. Podciągnąłem pasy stelaża i wydłużyłem krok. Jeszcze kilka sekund i mrok przede mną pojaśniał. Nie zatrzymałem się. Podeszedłem tak blisko stalowej płyty drzwi, że jeszcze krok, a natarłbym na nią całym ciężarem ciała. Trąciłem palcami zamek i niespodziewanie naprawdę uderzyłem w drzwi, przywierając do nich z rozpędu kaskiem, pierśią i kolanami. Trwałem tak chwilę bez ruchu, zanim dotarło do mojej świadomości, że zamek nie puścił.

Bardzo powoli wyprostowałem się i ostrożnie, z namysłem, sięgnąłem do uchwytu. Tym razem obmacałem go uważnie, zanim zacisnąłem na nim palce. Zwykły, magnetyczny zamek, jakie spotyka się we wszystkich obiektach pozaziemskich. Powinien puścić w ułamku sekundy, pod wpływem ciepła promieniującego przez rękawice.

Nacisnąłem ponownie. Starannie, jakbym pokazywał komuś przybytemu z drugiego końca galaktyki, jak to się powinno robić. Nic. Uchwyt gładko przesunął się do najniższego położenia, ale drzwi ani drgnęły. Ponownie poczułem na skroniach i karku ciepłą wilgoć. Spróbowałem raz jeszcze. Nie cofając dłoni pchnąłem drzwi. Mocniej. Nacierałem już na nie z całą siłą, na jaką stać człowieka w bezgrawitacyjnej przestrzeni. A należałem do tych, których stać pod tym względem na niejedno. W pewnym momencie krzyknąłem. To przywołało mnie do porządku.

- Histeria - warknąłem. Zaszło mi w gardle. Przełknąłem i odwróciłem się

raptownie. Odniosłem wrażenie, że ktoś stojący tuż za mną próbuje naśladować mój głos. Światło reflektora zatańczyło na galeryjce, pobiegło w nieodgadnioną głębię, ślizgając się po drodze na gładkich, jakby białych powłokach kabli. Nic.

Wróciłem do drzwi. Przejechałem rękawicą wzdłuż płaskiej listwy stanowiącej ich framugę. Była równa jak szkło, nie odstawała na ułamki milimetra. Solidna robota. W przypływie nagłej wściekłości szarpnąłem uchwyt i z rozpędu uderzyłem w płytę barkiem. Poprawiłem kolaniem. Drzwi ani drgnęły.

Uspokoilem się. Mogę tak jeszcze godzinę i nie osiągnę nic poza sińcami. Nie raz i nie dwa miałem możliwość przekonać się, że takie zamki wytrzymują uderzenie średniej wielkości meteorytów. Kilku ludzi z Zespołu tej właśnie okolicy zawdzięcza życie.

Zamek jest w porządku. Drzwi także. Po prostu nie jestem gościem, jakiego chciałoby się tu widzieć.

Cofnąłem się dwa kroki i odruchowo namacałem uchwyt pistoletu. Za tymi drzwiami, w niewielkim kolistym pomieszczeniu, którego zabudowę przestudiowałem wielokrotnie, milimetr po milimetrze na specjalnie w tym celu zrobionej makiecie, urzęduje "szef", jak mówiono na Bruno. Centralny ośrodek sterujący mózgu. Tam skupiają się wszystkie przybywające z zewnątrz impulsy i tam wracają po wstępnej selekcji. Wtedy "szef" przydziela zadania poszczególnym sekcjom, uruchamiając ilość zespołów niezbędną dla wykonania zadanego problemu. Tam programowana jest pojemnościowa rozbudowa pantomatu, tam uaktualnia się pomiary łączności, stamtąd płyną polecenia dla sekcji konserwujących, transportowych, energetycznych. Ten błyskający tysiącami światełek prostokąt pośrodku salki dysponuje wiedzą, jaka nigdy po kres naszego układu, nie stanie się udziałem żadnego z ludzi. Jedyne miejsce w ogromie pełnym najczystszej zgęszczonej czerni, gdzie blask czujników i ekranów mógł przywrócić człowiekowi poczucie, że ten zawieszony w przestrzeni kolos powstał przez niego i dla niego. Pod warunkiem, że człowieka tam wpuszczą.

Użycie siły nie wchodziło w rachubę. Najkrótsza wiązka przepali zamek, ale nie poprzestanie na tym. A "szef" pantomatu, mózg mózgu, jest dobrze chroniony. Za dobrze, żeby warto ryzykować.

Zaświtała mi pewna myśl. Sam nie wskóram nic. Ale nie jestem sam. Przywiozłem na pokładzie, w głębi komór ładunkowych twory, które na Ziemi są czymś tak zwyczajnym, że nie dostrzega się ich obecności. Automaty.



Sięgnąłem do płaskiego pudełka na lewym ramieniu i dałem sygnał wezwania. Następnie odstepiłem od drzwi i całym ciężarem ciała zawisłem na poręczy galeryjki. Mogłem tylko czekać.

Cisza. Stuk jednej kropli wody, upadłej w głębi konstrukcji, przyjąłbym jak wybawienie. Jeżeli grzmot może przynieść ulgę. Ale woda była tu równie nie na miejscu jak powietrze. Mój oddech zdawał się wypełniać całe wnętrze kolosa, w którym tkwiłem jak mucha zabłąkana w jaskini. Przynajmniej do pewnego momentu. Stopniowo w ciemności zaczęły narastać jakieś szepty. Początkowo nie zwracałem na nie uwagi. W pewnej chwili zdawało mi się, że rozpoznaję brzmienie czyjegoś głosu. Mimo woli zacząłem nasłuchiwać. Popełniłem błąd.

Usłyszałem przyciszony śmiech. Odpowiedział mu drugi głos. Dołączyły inne.

Ta przestrzeń wie o mnie wszystko. Zna każdy kamień na drodze, która mnie tu sprowadziła. Posiada wiedzę o pierwszych promieniach światła w najdalszej przeszłości istot zasiedlających Ziemię. I o tym, co czeka je jutro, jeśli nie wmiesza się gwiazdne sąsiedztwo Słońca. Zna wszystkie bez wyjątku czynniki, które kształtowały mój sposób patrzenia na czas i życie. Ma je uporządkowane i ponumerowane, czekające w zespołach pamięciowych na krótki jak przelot światła impuls, by zacząć mówić. Potrafi w tysięcznej części sekundy wyliczyć etapy doskonalenia narzędzi, jakie tworzył człowiek, doskonaląc własną świadomość. Wie wszystko o naszej współczesności i każdym kolejnym akcie tragedii jej dojrzewania. Powiedzmy, prawie wszystko. Jest jedna jedyna rzecz, o której nie wie. Ale ona akurat nie ma teraz znaczenia.

To już nie kosmofobia i przywidzenia. Tu, wokół mnie, w otoczonych wiecznym mrokiem sztucznych włóknach nerwowych, w miliardach torów świetlnych i kriogenicznych kabli, w niekończących się szeregach zespołów pamięciowych i sekcji roboczych zawarta jest cała zbiorowa wiedza ludzkości. Czy lepiej: suma wiedzy wszystkich ludzi. Przerażające, jeśli chwilę pomyśleć. To jest właściwe słowo. Przerażające.

Wyprostowałem się odruchowo. Snop światła bijący znad mojego czoła zafalował. Gdzieś w głębi, w gąszczu matowych konstrukcji i przewodów obudził się jakiś refleks. Błysnął na ułamek sekundy i zgasł. Szkło. Ale to nie mogło być szkło. Mniejsza z tym. Omijając wzrokiem miejsca, dotykane światłem reflektora, odwróciłem się powoli. Znowu owładnęło mną uczucie, że ktoś stojący za moimi plecami naśladuje moje ruchy. W pewnym momencie poczułem dotyk palców na

ramieniu. Nie obejrzałem się. Zacisnąłem dłonie na poręczy, jakbym chciał ją wyrwać ze stalowych uchwytów.

Co można powiedzieć o człowieku kierując się bezwzględną wiedzą, jaką on sam wpisał w najdoskonalszą maszynę naśladowującą procesy myślenia? Pal licha człowieka. Co ta przestrzeń myśli o mnie?

Historia. Cały miniony czas, który nosze w sobie - czy chcę tego, czy nie - jak komplet czułych zapalników, reagujących na nie znane mi hasła. Z pozycji obiektywnej wiedzy, nie istniejącej wśród ludzi, ale stworzonej przez nich w takich jak ten mrocznych olbrzymach, historia to eliminacja zła. Nieustanna amputacja chorych tkanek, pasmo okrutnych zabiegów, gwałtów dokonywanych na żywych organizmach dla podtrzymania tłęcej w nich iskielki doskonałości. Jeśli jakiś czynnik rozwoju uznać za ważniejszy od innych, ponad wszelką wątpliwość będzie nim czas. I to nie czas w ogóle, tylko ten niewymiernie krótki moment, jaki dzieli narodziny jednego człowieka od jego śmierci. Tak było zawsze, w każdej minionej epoce, w każdym stuleciu. Do dziś. Teraz ma być inaczej. Historia. Zawzięta, rozpaczliwa szarpanina z czasem. Iluż nie wytrzymało jej psychicznie i nerwowo. Iluż machnęło ręką, szukając usprawiedliwienia w skłeczonej naprędce ideologii lub nie szukało go wcale.

Historia. Chęć udowodnienia, że człowiek nosi w sobie wartości, które nawet wobec tragicznie krótkiego czasu ich dojrzewania czynią jego życie czymś jedynym w kosmosie, niepowtarzalnym i bezcennym.

Mimo woli odwróciłem głowę i utkwiałem wzrok w zamkniętych na głucho drzwiach. Krąg światła przemknął po szeregach kabli podobnych do monstualnie wydłużonych piszczałek organów i trafił w gładką jak szkło płytę. Dzień w dzień, godzina po godzinie, aparatura za tymi drzwiami odbiera problemy i pytania nurtujące ziemskich historyków. Odpowiada na nie, uwzględniając w swoich rachubach wszystkie subiektywne przesłanki ludzkiego działania. Wie o miłości, o przerażeniu, nadziei, żądzy władzy i posiadania. O poświęceniu, nienawiści i cierpieniu. Ale jak wie?

Pantomat odmówił posłuszeństwa. Zdarzyło się to po raz pierwszy, chociaż jego twórcy uwzględnili możliwość niespodzianek. Zabezpieczyli się, jak mogli najlepiej. Wyrzucili swoje konstrukcje niemal poza granice układu słonecznego. I co z tego? Fakt, że te drzwi zamknęło mi przed nosem coś, czego nie mogę nawet próbować przekonać o własnej nadrzędnej racji, jest wielce pouczający. Z pewnego

punktu widzenia oczywiście.

Nie mam żadnej gwarancji, że pantomat nie uruchomił sieci swoich informatycznych szperaczy, że nie przetrząsa w tej właśnie sekundzie mojej pamięci, nie śledzi biegu moich myśli, szukając potwierdzenia posiadanej wiedzy lub najlepszego sposobu pozbycia się nieproszonego gościa. Czego się dowie? Jaka będzie jego prawda o tym, co we mnie siedzi? Chociażby tylko w części odnoszącej się do jego wiadomości historycznych?

Tak naprawdę pantomat nie może wiedzieć, czym dla człowieka jest śmierć. Nie moment, kiedy przestaje bić serce, ale to, co go poprzedza. Życie ze świadomością śmierci. A nawet jeśli wie, jego wiedza jest martwa. Tak samo jak znajomość emocji i uczuć. Życie ze świadomością śmierci tworzyło historię, ale była to historia wyroków w procesach o zbrodnie popełnione w afekcie. Tragiczna i tryumfalna. Co z tego można przekazać bezwzględnie obiektywnej wiedzy? W dialogu z pantomatem, gdyby jakimś cudem mogło do niego dojść, nie miałbym żadnych szans.

W dialogu...

Coś mnie tknęło. W kręgu światła zarysowała się nagle twarz Greniana. Usłyszałem jego głos. Cichy, zatroskany i jakby bez wiary, że to, co mówi, odniesie skutek. Czy nie tak właśnie mógł brzmieć mój własny głos, gdybym rozmawiał z pantomatem? A moje racje? Obiektywnie słuszne, za to dam głowę. I co więcej? Bezwzględne. Jak wiedza o uczuciach, których się nie doznało. Jak wiedza maszyny.

Poruszyłem się gwałtownie. Nie zdając sobie sprawy, co robię, przeszedłem kilka kroków, mamrocząc bez sensu. Uczucia. Smutek, olśnienie, pragnienie, radość, żal... jakbym słyszał reklamowego pięknisia. Przebiegło mi przez myśl, że cała moja wyprawa jest tylko chytrze obmyśloną intrygą. Że specjalnie na tę okazję przygotowany program kilku sekcji pantomatu sący we mnie prawdę tych, którzy nim sterują, a która nie była moją prawdą. Przynajmniej do tej pory.

Nie, nie zostałem przekonany. Nie zachwiała się żadna z moich racji, ani jeden z argumentów, które przeciwstawiłem Grenianom i Cullenom, ilu ich było. Ale po raz pierwszy dostrzegłem ich punkt widzenia. Będę się musiał tym zająć, jak już tu zrobię, co do mnie należy. I wrócę. Bez względu na to, co tam zostawiłem. Śmierć...

Tuż przede mną zamajaczyła jasna plama. Powiększyła się błyskawicznie. Odruchowo przypadłem do bariery, szarpiąc uchwyt pistoletu. Plama zatrzymała się metr przed moją głową. Nie usłyszałem najmniejszego szmeru. Zapomniałem, że go

weszałem. Zapomniałem, gdzie jestem. Wzięło mnie. Mógłbym się nie dziwić, gdyby chodziło o kogoś innego.

Tak naprawdę to czekanie na galeryjce, w nocy próżni, przed drzwiami, które pozostały głuche, jakby zasklepione, pomimo że powinny się otworzyć na pierwsze moje skinienie, trwało nie więcej niż dwie minuty. Zabawne, ile rzeczy może człowiekowi przyjść na myśl w ciągu takich stu dwudziestu sekund.

Cofnąłem się i przepuściłem automat. Przetoczył się tak blisko, że na wysokości piersi poczułem muśnięcie jednej z jego anten. Miał wmontowane dwa ksenonowe reflektory, ale ich nie zapalił. Nie potrzebował światła.

Do drzwi zabrał się po swojemu. Z przedniej części korpusu wysunął igłę małego miotacza. To moja wina. Zapomniałem o ogranicznikach. Sięgnąłem do nadajnika i zmieniłem program. Zawahał się, chwilę manewrował dwoma krótkimi wysięgnikami, po czym nagle znieruchomiał. Powtórzyłem rozkaz. Ani drgnął.

Zamarłem. To więcej, niż mogłem się spodziewać. Oblał mnie pot. Na krtani zacisnęła mi się stalowa pętla. Zostawić wszystko, wydostać się na wolną przestrzeń, ujrzeć gwiazdy... Próbowałem przesunąć się wzdłuż poręczy, ale nie mogłem wykonać ruchu.

Nagle automat drgnął. Nie. Coś wprawilo go w drgania. Trząśł się jak pokrywa zepsutego wirnika. Trwało to kilkanaście sekund. Na chwilę przestałem widzieć, pot zalał mi oczy. Kiedy przejrzałem, tuż za szybą kasku spostrzegłem przesuwający się rozmazany kształt. Nie próbowałem sięgać do pistoletu. Już nie. Wiedziałem, że to na nic.

Spokój. Zimna, niezmacona cisza. Jakby od wieków nie działo się tu nic i nic nie mogło tego zmienić. Tylko automat, mój automat, kierowany przez coś, co nie było człowiekiem, pełznie wolno w kierunku przeciwnym do tego, jaki mu wskazałem. Światło reflektora biegnie znowu, niczym nie powstrzymane, w perspektywę splecionych konstrukcji. Powoli odwróciłem głowę. Automat znajdował się już dobre pięć metrów od drzwi. Wtedy stanął. Poruszył antenami, może zresztą mi się wydało, i znieruchomiał.

Pomyślałem o pantomacie. Dostał go. Może próbował i ze mną, ale przekonał się, że nie warto. Co innego automat. Miał z nim bezpośredni kontakt. Martwe dogadało się z martwym.

Byłem już spokojny. Odrobinę za spokojny, gdyby mnie kto pytał. Moje mięśnie zwiotczały. Miałem ochotę zamknąć oczy i odczekać, aż będę się mógł

zbudzić.

Stanąłem plecami do drzwi. Przeszły mnie ciarki, ale tym razem nie musiałem się odwracać. Najgorsze było przede mną. Tkwiło pośrodku galeryjki, nie dalej niż kilka kroków. Jeśli nie miałem go dotknąć, przechodząc, powinienem usiąść na poręczy i przechylony do tyłu przebyć te półtora metra jak niegrzeczny chłopiec w klatce schodowej.

Zrobiłem to. Zbliżając się do automatu uważałem, by świecić stale w ten sam punkt. W pewnej chwili zaświtało mi, że w miejsce rezerwowej anteny, jaką nosiły wszystkie tego typu aparaty, temu wprawiono dzbaniasty, tępo zakończony ryj. A przecież setki razy powtarzałem sobie, czym dysponuję. Prześledziłem wszystkie zmiany konstrukcyjne, wprowadzone w wyposażeniu statku, z myślą o mojej "delikatnej misji". Delikatnej - oto właściwe słowo. Mogłem się roześmiać, gdybym pamiętał, jak to wygląda. Drobiazg. Zapomniałem o drobiazgu. O tym tępo zakończonym ryju, który był nie czym innym, jak lufą kierunkowego wyzwalacza antymaterii.

Zaciskając na poręczy dłonie w szorstkich, roboczych rękawicach, posuwałem się centymetr po centymetrze, jakbym grał w ciuciubabkę. Ale to nie była gra. Nie można tak grać z własnym automatem. Cokolwiek bym zrobił, będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Kiedy w końcu osunąłem się z balustrady i poczułem pod stopami powłokę galeryjki, mój umysł funkcjonował już w miarę normalnie. Do samej drabinki pod włazem nie obejrzałem się ani razu. I nie próbowałem żądać od automatu, żeby szedł za mną. Dość, że nie zrobił tego z własnej inicjatywy. Czy gorzej: nie z własnej. Nie ma aparatu, wyposażonego w samodzielne zespoły informatyczne, który mógł odmówić posłuszeństwa człowiekowi. Jeżeli jednak niemożliwe stało się faktem, takiego automatu naprawiać nie wolno. W najlepszym razie idzie na złom. To oczywiście teoria. Przynajmniej była nią do dziś.

Piąłem się spokojnie, szczebel po szczeblu, nie patrząc za siebie. W pewnej chwili zadarłem głowę i przestraszyłem się. Nade mną była tylko czerń. Jeśli właz zastanę zamknięty równie głucho jak tamte drzwi...

Nie. Jest gwiazda. Białą punkt, nie większy od główki szpilki wbitej w aksamit. Podciągnąłem się na rękach i jednym zamachem wydostałem na powierzchnię pancerza. Wtedy poznałem tę gwiazdę. Była jaśniejsza od innych. Nie większa, ale jaśniejsza. Tak wygląda Słońce z miejsca, gdzie kończy się jego

władztwo.

Zawróciłem i bezwiednie ruszyłem w stronę statku. Po kilku krokach mój reflektor namacał jego korpus z fragmentem dyszy. Dziób pozostawał niewidoczny, zakrywała go wypukłość pantomatu. Wyraźnie natomiast zarysowała się w smudze światła jajowata kłapa wjazdu. Była odchylona, tak jak ją zostawiłem.

Zmieniłem kierunek. Gwiazdy były wszędzie, wybrałem jedną, świecącą bezpośrednio nade mną. Oczywiście mogłem poradzić sobie inaczej. Ale szedłem w gwiazdę, drogą, która w przestrzeni grawitacyjnej wymagała skrzydeł. Chciałem obejrzeć tę półkulę tak skwapliwie usuwaną ludziom sprzed oczu, od kiedy ustał ruch wirowy pantomatu. Uruchomiłem kalkulator. Musiałem mieć pewność. Zresztą pomiar był raczej prosty.

Zwolniłem. Postanowiłem dotrzeć do centralnego punktu odwróconej od Ziemi czaszy i następnie schodzić po spirali aż do najszerszego miejsca konstrukcji. To było wszystko, co mogłem zrobić.

Czerń ustępowała powoli, odsłaniając wciąż nowe konstelacje. Nie śpieszyłem się. Starannie, metr po metrze badałem reflektorem matową powłokę pancerza, jakbym szukał zgubionej zapalniczki. Znalazłem wcześniej, niż mogłem przypuszczać. Ale nie zapalniczkę.

Stałem. Podniosłem snop światła i wykonałem pół obrotu. Nic. Poza tym jednym wydukiem, przypominającym odwrócony lejek, dziesięć kroków przede mną. Jakbym patrzył na szkolny model wulkanu. Wybrzuszenie nie przekraczało dwudziestu centymetrów wysokości. U jego szczytu w pancerzu widniała niewielka wyrwa o poszarpanych brzegach, przypominająca przestrzelinę. Mógł to być także cios młota, zakończony płaskim ostrzem. Ale zadany od wewnątrz. Tylko że nie wymyślono jeszcze młota zdolnego rozłupać betomitowy pancerz. Nie. Ten miniaturowy krater powstał w wyniku celowego działania pantomatu. Co jeszcze? Tysiące rzeczy. Ale na dobrą sprawę to wystarczyło.

Tknęła mnie pewna myśl. Uruchomiłem aparaturę i zbliżyłem się kilka kroków. Tak. Oczywiście, że tak.

Z wyszarpanego w korpusie pantomatu otworu biegł w przestrzeń nieprzerwany strumień sygnałów. Nie musiał tego robić. Wystarczało użyć pierwszej lepszej anteny kierunkowej, jakich nosił setki. Ale anteny były sterowane z Ziemi. Trzeba czegoś więcej?

Pantomat przejął inicjatywę. Moja misja okazywała się bardziej "delikatna",

niż mógł to sobie wyobrazić Norin. Czy nawet Grenian. Jakby nie dość było tamtych zamkniętych drzwi i obezwładnionego automatu. Jeśli ten automat istotnie został tylko obezwładniony. Nie miałem szans, by to sprawdzić. Jeśli w ogóle mogę mówić o szansach.

Oblał mnie żar. Znowu zacząłem się pocić. Dziwne. Byłem przecież spokojny. Teraz już tak. Spokojny jak nigdy. Mimo to zabrakło mi nagle tchu. Zerknąłem na czujnik pod okapem kasku. Ciemny. Butle tlenowe są w porządku. Zawór otwarty na całą niemal szerokość. A przecież unoszę stopy, jakbym stał na rozżarzonej kuchennej płycie.

Na płycie... Chwileczkę. Wziąłem w palce główkę czujnika, nie większą niż tabletkę od bólu głowy, i schyliłem się nisko.

Nie musiałem nawet dotykać podłoża. Zadźwięczał przeciągły sygnał. Rozjarzyło się alarmowe światelko. To nie była kuchenna płyta. Ale i nie zimna. Gdyby nie podeszwy próżniowych butów, już dawno zostawiłbym na niej skórę.

Nie miałem tu czego szukać. Jeśli, oczywiście, mam zdążyć. Jeśli istnieje możliwość, że zdążę.

Wysoko podnosząc nogi, przebiegłem kilkanaście metrów. W pewnej chwili grunt pode mną zabarwił się na wiśniowo. Pomyślałem, że koniec. Ale to tylko wzrok płatał mi figle. Przystanąłem i zaczerpnąłem powietrza. Rzuciłem okiem na wskaźnik kalkulatora i zdrętwiałem. Nie mogło być pomyłki. Nie dokonywałem żadnych obliczeń poza jednym. Dokładnie w miejscu, gdzie teraz stałem, tępy dziób statku przywarł do pancerza pantomatu.

Gorączkowo sięgnąłem obiema dłońmi do kasku i wodząc głową jak piłką, omiotłem otoczenie światłem reflektora. Nic. Pustka. Śladu jakiegokolwiek kształtu poza talerzami anten. Żar nie do zniesienia. Światło alarmowej lampki pod okapem kłuje jak laser. Jeszcze minuta, może dwie. To wszystko.

Rzuciłem się rozpaczliwie, bez sensu, i nagle na wprost mnie błysnął lustrzany refleks. Jest. Nie dość, że mam zostać żywcem spalony, pozbawił mnie statku.

Rakieta trwała nieruchomo w próżni. Jej dziób, przesunięty o kilka stopni w stosunku do pierwotnego położenia, widniał nie dalej niż dziesięć metrów. Dziesięć metrów międzyplanetarnej próżni. Właściwie już galaktycznej. Ale w mojej sytuacji wychodziło na jedno.

Nie miałem wyboru. Każda chwila zastanowienia mogła kosztować wszystko. Wyszarpnąłem pistolecik, wycelowałem smugę reflektora w miejsce, gdzie z kadłuba

wspinają się osłony dyszy i skoczyłem. Odbiłem się słabo. Co nie znaczy, bym, jeśli chybię, nie miał tak lecieć w nieskończoność. Oczywiście mogłem manewrować pistoletem. Na to jednak, by odrzut skierował mnie we właściwą stronę, należało strzelać prosto w pantomat. Dość już miałem prób, do czego jest zdolny. Powiedziałbym, że więcej niż dość. Poczułem, że moje rękawice ślizgają się po czymś, przypominającym gładko wyszlifowany lód. Przyłgnałem do niego rozczapierzonymi palcami, wkładając w to wszystkie pozostałe siły. Nic z tego. Jechałem z nie zmniejszoną szybkością, zadzierając nogi wysoko nad głowę. Kątem oka pochwyciłem odrzuconą klapę włazu. Szarpnąłem się w jej stronę, ale ciało nie poszło za ruchem ramion. Mimo wszystko trochę mnie to przystopowało. W każdym razie dość, by półtora metra przed skośnie ściętym wylotem dyszy trafić lewą stopą w korpus statku. Wystarczyło. Magnes przywarł do pancerza. Znieruchomiałem.

Odczekałem kilka sekund, po czym stanąłem. Zakręciło mi się w głowie. Na oczy spływał pot, ale czujniki ściemniały. Żyłem. Nie groziło mi już całopalenie. Przynajmniej na razie.

Właz, o który otarłem się w locie, nie prowadził do kabiny pilota. Tędy wyszedł automat, pozostawiając sobie otwartą drogę powrotu. Nie będzie już potrzebny. Niewiele brakowało, a to samo dałoby się powiedzieć o wejściu do śluzy. Śmiesznie mało, jeśli chwilę pomyśleć.

Zatrzasnąłem klapę komór ładunkowych i jak mogłem najszybciej spuściłem się do kabiny. Nad wejściem płonął jeszcze czerwony ognek, kiedy odblokowałem stery. Uderzyłem z dyszy czołowych jak przy awaryjnym hamowaniu. Poprawiłem. W następnej sekundzie sięgnąłem do pulpitu łączności. W kabinie obudziły się tysiące pastelowych światełek. Zabrzmiał zmieszany gwar sygnałów i kodów. Wróciłem do mojego świata.

Automaty wyrównywały ciśnienie. Lampka nad klapą śluzy zgasła. Do zaworów butli tlenowych przyssały się końcówki przewodów, obiegających część statku przeznaczoną dla załogi. Znowu stałem się pilotem. Panem przestrzeni grawitacyjnej Słońca. Choćby było tylko jedną z gwiazd.

Zamknął mi drzwi przed nosem. Obezwładnił automat. Kiedy odkryłem, że skonstruował ów zagadkowy stożek w miejscu usuniętym z pola widzenia ziemskich fotoobiektywów, chciał się mnie pozbyć. Szybko i higienicznie. Na wszelki wypadek pozbawił mnie rakiety...

To ostatnie budzi pewne wątpliwości. Nieistotne, niemniej w wolnej chwili



sprawdę w przystawce zapisującej. Temperaturę, rzecz pozornie niemożliwą w tym miejscu, osiągnął pantomat wzbudzając prądy wewnątrz pancerza. Zmiana natężenia pola elektromagnetycznego albo po prostu stopień nagrzania powłoki mogły zaalarmować komputer rakiety. Stwierdził zagrożenie i działał tak, jakbym pozostawał na pokładzie. Zwolnił magnes, uwalniając równocześnie statek od niebezpiecznego sąsiada. Nie mógłbym mieć pretensji, nawet gdyby postąpił tak ktoś żywy.

Z odległości czterech tysięcy metrów pantomat jawił się w pasmach podczerwieni jak regularna kula wielkości laskowego orzecha. Powiększyłem obraz. Zieleń jajowatej tarczy ekranu przybladła. Dostrzegłem ciemniejszy punkt. Właz. Ciągle jeszcze otwarty, jakby liczył, że wróć. Uruchomiłem laserowe szperacze. Temperatura pancerza pantomatu wynosiła dwanaście stopni. W próżni. Milimetr nad powłoką było minus czterdzieści. Nie sądziłem, że w tym rejonie takie temperatury w ogóle są możliwe.

Właz. Na dobrą sprawę powinienem wrócić. Cokolwiek tam było, nie mogę powiedzieć, że zrobiłem swoje. Przekonałem się co do kilku rzeczy. Ale samo to nie wyrównywało rachunku.

- Nawet jeśli wrócisz - powiedziałem na głos - warto przedtem pomyśleć.

Pomyślałem. Następnie chwilę pracowałem przy komputerze. Sprawdziłem obliczenia i wprowadziłem statek w ruch. Uważnie śledziłem, jak wchodził na wyliczony przed chwilą tor. W porządku.

Posuwałem się po ciasnej jak na teorię pilotażu orbicie, w bezpiecznej odległości od pantomatu. Nie myślałem już o powrocie. Przygotowałem tory łączności, sprawdziłem zespoły semantyczne komputera i przystawkę zapisującą. Nie przyśpieszałem. Rozparłem się w fotelu i spod półprzymkniętych powiek śledziłem grę światła na pulpicie. Granitowy punkt, nieco wydłużony, podobny do małej kropli, zmierzał szerokim, równym łukiem ku środkowi ekranu. Tym punktem byłem ja.

Minęło dobre trzydzieści minut, zanim z łuku powstało półkole. Znalazłem się na przedłużeniu linii, biegnącej przez środek pantomatu ku najjaśniejszej gwiazdzie. Wprost przede mną, jeśli stosować ziemskie punkty odniesienia, powinno znajdować się to "coś" na pancerzu. Przestrzelina o ostrych, poszarpanych krawędziach. Jak w starym, zatopionym okręcie.

Zastopowałem. Nie musiałem szukać zbyt długo. W okienku przy ekranie wyskoczyły nie liczby, lecz cyfry namiaru. Trafiłem jak po sznurku.

Wyłączyłem anteny poza jedną, kierunkową. Zestroiłem zespoły łączności i komputera. Chwilę przyglądałem się pantomatom, jakbym miał nadzieję wypatrzyć z tej odległości bezsensowne z konstrukcyjnego punktu widzenia wyrzucenie. Wreszcie sięgnąłem powoli do pulpitu i przerzuciłem nasłuch na fonię.

Kabinę wypełnił matowy, odmierzony głos, ni to kobiecy, ni męski. Aparatura tłumaczyła, jak zawsze pojęciami. Wsłuchiwałem się chwilę w padające nazwy, zanim zaczęły się układać w logiczny ciąg. Wtedy, po raz któryś tego dnia, na czoło wystąpił mi pot. Nic jeszcze nie rozumiałem. Czułem tylko, jak martwieje mi skóra na twarzy i głowie. Ale tym razem nie był to strach. Włosy uniosły mi się pod kaskiem jak żywe. Nie z przerażenia. Z wściekłości.

Na dobrą sprawę nic takiego. Nic, co na Ziemi należało skwitować czymś więcej niż wzruszeniem ramion. Na Ziemi...

Czytał kodeks karny. Tylko tyle. Mniejsza, czy sprzed stu, czy pięciuset lat. Wyliczane zimnym, nijakim głosem płynęły paragrafy, aneksy i komentarze, owoc gorzkiego doświadczenia człowieka żyjącego wśród bratnich mu istot i razem z nimi. Zbiorowa mądrość pokoleń, a raczej mądrość zbiorowości, wyrażona w społecznej chirurgii. "Ktokolwiek z zamiarem pozbawienia życia"... - cedził głos, który od biedy mógł należeć do każdego z nas - ... "podlega karze śmierci".

Na Ziemi. Ale ten strumień prostych, niewinnych pozornie informacji powstawał w próżni i biegł w próżnię. Istoty, których dotyczył, nie miały z nim nic wspólnego. Stały się bezwolnymi pionkami w rękach nieznanych partnerów. A stawką tej gry mogło być wszystko. Także ich istnienie.

- ...Karę śmierci wykonuje się"...

Nie ma znaczenia, że gra toczy się fałszywymi kartami. Że wyłaniający się z ciągu prawdziwych informacji obraz ziemskiej cywilizacji jest kłamstwem. Że nawet to prawo, ukazujące w krzywym zwierciadle tworzywo naszego społeczeństwa, powstało z nadziei i wiary w postęp. Bo próżnia kosmosu jest pozorna. A ja nie trafiłem na najbardziej drastyczny rozdział emisji. Są jeszcze statystyki policyjne, lekarskie, finansowe. Jest psychologia i psychiatria. Historia...

Ktoś mnie uprzedził. Ktoś albo coś. Przekształcił twór ludzkiego geniuszu w kosmicznego szpiega. Nie potrzebował niczego więcej, chcąc poznać prawdę o świecie, który go zainteresował. I nie zostawił nam szansy sprostowania tej prawdy, która jak każda prawda niepełna, była zwykłym oszustwem.

Minuta po minucie, dzień po dniu, dalekosiężną kierunkową wiązką biegną w wieczność kosmosu informacje. W monotonnym śpiewie impulsów, dających się przetłumaczyć na mowę wszystkich możliwych istot zaludniających galaktyki, zawarta jest wiedza o ludziach. Nie ma znaczenia, czy ktoś tego słucha, czy nie. Czy pantomat został przeprogramowany, czy też ulegając stopniowym komplikacjom własnej struktury informatycznej, sam z siebie stworzył swoisty punkt usługowy. Liczy się tylko, że jego informacje mogą być odebrane. W najdalszych krańcach kosmosu. Tam, gdzie czas, gra pokoleń, życie i śmierć nie istnieją w ziemskim znaczeniu tych słów. Że niezależnie od przesłanek zachodzących w nim zmian,

pantomat stał się szpiegiem. Groźniejszym od tych, jakich kiedykolwiek poznano czy wymyślono w historii politycznej naszego świata.

Wyrznąłem pięścią w klawisze. Głos umilkł jak zdmuchnięty. Następnie pochyliłem się nad pulpitem. Nie spuszczać wzroku z ekranu, poszukałem anteną kierunkową. Wiązka niosąca informacje o mieszkańcach Ziemi omijała najbliższe gwiazdy. Namiar przecinał okolice Procyonu i biegł dalej, w głąb galaktyki. Lub poza nią.

Nie sprawdzałem pomiarów. Rzecz jest z pewnością interesująca, ale nie dla mnie. Ja tylko poczekam, aż dostatecznie długi odcinek emisji, ze wszystkimi naniesionymi przez komputer odczytami, znajdzie się w bębnie przystawki zapisującej. Szczegółami zajmie się kto inny. Z pewnością niejeden.

Czekałem dwadzieścia minut. To nic nie mówi. W ciągu tych dwudziestu minut na twarz biło mi na przemian zimno i gorąco, jakbym wciąż jeszcze dreptał po rozpalonym pancerzu pantomatu. W końcu zacząłem głośno liczyć. Dwadzieścia minut.

Dość. Przemknąłem palcami po pulpicie i uruchomiłem dysze głównego ciągu. Nie zważałem na żadne orbity. Kilkadziesiąt metrów od wjazdu zadartem dziób i zastopowałem. Wyzwoliłem kask z przewodów i zacząłem manewrować przy wyjściu. Nagle na ekranie pochwyciłem jakiś ruch. Jakby przybliżył się wyrwany z mrocznego kolosa skrawek czerni. Rzuciłem tam reflektory.

To była ta jedna jedyna informacja, jakiej poskąpiono pantomatowi. Jego zespoły mieściły wiedzę o wszystkim, co tyczyło ludzkiego świata poza nie wartym wzmianki drobiazgiem. Antymateria. Obrzeże układu słonecznego jest za blisko na tego rodzaju sąsiedztwo.

Ale moje automaty, przystosowane specjalnie do "delikatnej misji", wyposażono w wyzwalacze. Nieważne, że pojedyncze i kierunkowe. Automat, który odmówił mi posłuszeństwa, nie różnił się od innych. I ten właśnie automat widniał teraz na powierzchni pancerza pantomatu, obok uchylonej klapy wjazdu. Sterczący z jego brzucha krótki, stożkowaty ryj wydłużył się, jak zawsze, kiedy do głosu dochodzą celowniki. A jego wylot patrzył nie gdzie indziej, jak w sam środek obiektywu, przenoszącego obraz na czołowy ekran w mojej kabinie.

Tym razem nie poczułem nic. Zwinąłem się jak lizka i spadłem z powrotem na fotel. Nie patrząc szarpnąłem stery. Nie pomyślałem nawet, czy zdążyć. Naprowadziłem celowniki jak na poligonie. Uderzyłem z dyszy. Przyśpieszenie

wyrzuciło mnie z fotela, wyrzniętem czołem w obudowę ekranu, aż mi w oczach pociemniało. Na ułamek sekundy. Kiedy przejrzałem, pantomat zmalął do rozmiarów gwiazdy. Czarnej gwiazdy, jeśli to możliwe. Ale w powiększonym wycinku obrazu pozostał widoczny sterczący obok włazu kształt. Nie strzelał. Ciągle jeszcze nie strzelał. A więc zdażyłem.

Odległość była w sam raz. Rzuciłem okiem w okienko celownika i zwolniłem spust. Rakieta zakołysała, ale do moich uszu nie dobiegł najcichszy szmer. Jeszcze ułamek sekundy i na wprost mnie rozjarzyło się słońce. Upiorny błysk anihilacji przeniknął iluminatory, przestrzelił ekrany, odebrał mi zdolność widzenia. Ostatni obraz, jaki zapamiętałem, to morze ognia rozbiegające się przestrzenią. Zaraz potem przyszło uderzenie. Jakby na mój trwający w bezruchu statek wpadł od dzioba drugi, tylko tysiąckroć cięższy, rozpędzony do szybkości światła.

Kiedy oprzytomniałem, wokół panowała cicha, czarna noc próżni zarzucona gwiazdami. Przedmiot dumy i obaw uczonych, centralna stacja pantomatyczna numer cztery przestała istnieć. "Delikatna misja" była poza mną.

Zlustrowałem ekran i wskaźniki. Wciąż jeszcze leciałem rufą do przodu w kierunku Słońca. Przekazałem ster automatycznemu pilotowi i uruchomiłem namiar. Nie potrzebo<sup>o</sup> wałem się maskować. Tylko że korpus rakiety był ogołocoony ze wszystkich anten i lusterek antyradiacyjnych jak świeżo wystrzyżony trawnik. Uśmiechnąłem się mimo woli na myśl o Norinie i innych. Będą mieli o czym pogadać. Ale muszą poczekać.

Jeśli się zastanowić, nie miałem wyboru. Po tym, co już zrobiłem. Od kiedy, stojąc przed zamkniętymi drzwiami ośrodka dyspozycyjnego mózgu, wezwałem uzbrojony w wyzwalacz automat. Od tego momentu były tylko dwie możliwości. Ja lub pantomat. Z tym, że ta druga nie rozwiązywała niczego. Nie tylko dla mnie. Powiedziałbym, że właśnie nie dla mnie.

Tachdar funkcjonował poprawnie, na jednej piątej zasięgu. Kalkulatory naprowadzały statek w korytarz. Wiedziałem, że na Bruno automatyczne wzmacniacze przekazują ludziom moją pozycję. Stacja przejmie prowadzenie później niż zwykle. Ale dość wcześnie, by uznać sprawę za załatwioną.

- Nadał otwartym kodem - ciągnął Norin. - Meldunek był krótki i niezbyt jasny. Wynikało z niego, że do wnętrza aparatury przeniknęło obce ciało. Nie pytał, co robić. Uprzedzał, że przystępuje do czynności, jakie uznał za niezbędne.

Patrzyłem na niego, wciąż jeszcze nie rozumiejąc.

- Otwartym kodem? - powtórzyłem bezwiednie.

Uśmiechał się. Od samego początku, kiedy opuściłem służbę. On, stojący tuż obok Cullen, nawet Grenian.

- Tak - powiedział Norin. - Odebrały wszystkie stacje. Zna cię cała Ziemia...

Źródło ich dobrego samopoczucia było oczywiste. Zwyciężyli. Udowodnili sobie i innym, że martwe musi słuchać. Odkąd pantomat uznał człowieka za "obce ciało", było już po nim. Ogarnęło mnie rozdrażnienie. Jeszcze ten kod. Wyobraziłem sobie nagłówki z nazwiskiem.

I nagle dotarło do mnie, co to oznacza.

Mniejsza o nazwisko. O niego, o mnie. Są także nasze twarze. Pamięć. Ale pal to lichu. Nie o nas samych chodzi...

- O tym później - zabrzmiał nagle głos Greniana. Uniósł się w fotelu i posłał mi krótkie spojrzenie. Jeśli przedtem mogłem wątpić, czy wiedzę, wszystko teraz stało się jasne.

- Idź, odpocznij - poradził Norin. - Nie ma powodu do pośpiechu. Sztab zostaje na razie tutaj. Obejrzymy, co nam przywiozłeś.

Tak. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie ma się do czego śpieszyć. W każdym razie jeśli chodzi o mnie.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał kilka dni później Grenian, kiedy usiadłem naprzeciw niego w dyspozycyjnej. - Że cię pochwalę? Nie zależy ci na tym, prawda? Ale na czymś ci zależy. I dlatego czekasz, aż powiem coś, co ułatwi ci sprawę. Mógłbym to dla ciebie zrobić. Tylko podszeptionij mi, co chciałbyś usłyszeć. Nikomu nie zdradzaj... - zażartował. Ale jego twarz pozostała mroczna.

Był zły. Inaczej nie mówiłby w ten sposób. Ja też byłem zły. Rozmowa zapowiadała się interesująco.

Najgorsze miałem za sobą. Tak przynajmniej orzekł Cullen dziś rano, kiedy opuszczałem pracownię. Trudno o lepszy dowcip.

Pracowałem z nimi. Dzień po dniu komentowałem zapisy, liczyłem, programowałem komputery stacji sprzężone z ośrodkami naziemnymi. Dziesiątki razy wracałem do tych samych zdarzeń, szczegółów, ułamków sekund. W końcu zostało powiedziane wszystko. Dysponowaliśmy kilkunastoma wariantami procesów, jakie mogły zajść w informatycznym systemie nerwowym pantomatu. Łup niezbyt obfity,

ale niczego więcej od nas nie oczekiwano. Reszta należy do Rady. I byłoby naiwnością oczekiwać, że przyłecą z tym tutaj. Komplety materiałów wylądują w ich pracowniach położonych na skraju rezerwatów, wśród gór i zieleni, ułożone i zapakowane jak prezenty ślubne.

To jeszcze nie wszystko. Od przedwczoraj stacja na Bruno pękała w szwach. W odległości kilkunastu metrów od zatłoczonych pomostów majaczyły opasłe korpusy transportowców. Przestraszyli się. Nikt nie wystąpił z tezą, że pantomat "sprzedał" wiadomości obcej kosmicznej rasie. Bzdura. Niemniej, jeśli zarzucić sieć w oceanie, prędzej czy później trafi się na rybę. Teoria prawdopodobieństwa. Krótko mówiąc postanowiono zbudować w rejonie Transplutona, dokładnie tam, skąd jeszcze trzy tygodnie temu biegła w kosmos przełożona na język kodu encyklopedia ludzkości, potężną stację nadawczą. Nie pantomat. Na razie Ziemia musi się zadowolić szóstką pozostałych. Zostaną, rzecz jasna, przeprogramowane czy nawet przekonstruowane, co jednak nastąpi nie wcześniej niż za kilka miesięcy, kiedy komisja Rady zakończy pracę. Montaż nadajnika pochłonie czwartą część tego czasu. Oczywiście nadajnika sterowanego bezpośrednio z Ziemi. Wówczas wznowimy emisję, przerwana w momencie, kiedy wiązki promieni głównego wyzwalacza mojej rakiety przecięły się w pantomacie, przekształcając określoną masę w antymaterię. Będzie to jednak kod szczególny. Był kiedyś władca, jakiś cesarz czy ktoś taki, dla którego dzień w dzień wychodziły z drukarni specjalne egzemplarze gazet. Wszystko było w nich piękne i dobre. Ludzie szlachetni i szczęśliwi, gotowi do poświęceń, których nikt od nich nie wymagał. Dzieci pyzate i uśmiechnięte, urodzaje bogate i tak dalej. Żeby się cesarzysko nie frasowało. Tak właśnie miała wyglądać ziemską encyklopedia, podstawiona kosmosowi w miejsce informacji zastrzeżonych dla ludzi. Nic dodać, nic ująć.

Szczerze mówiąc, nie obeszło mnie to zbyt.

Dawniej byłoby może inaczej. Dawniej, to znaczy... tak. Teraz czułem się wolny. Jak nikt. Nie musiałem kłopotać się o nic. Co do tego drugiego... no cóż, także było po wszystkim. Co mogłem zrobić? Zakładając naturalnie, że zechcę coś zrobić.

Grenian, oczywiście, jest innego zdania. To "na czymś ci jednak zależy" nie było powiedziane na wiatr. Świadczył o tym wyraz jego oczu. I nieudana próba obrócenia sprawy w żart. Złagodzenia efektu, jaki osiągnął skądinąd całkowicie świadomie.

- Proponuje mi pan grę - stwierdziłem raczej, niż spytałem. - Jeśli tak, ustalmy stawki. Jak dotąd ja płacę więcej.

- Sam? - podchwycił natychmiast. - Czy ktoś jeszcze?

- Nie pan - warknąłem.

- Nie jestem pewny... - mruknął, jakby do siebie. - Nie chodzi o mnie - sprostował szybko. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Wiem - odparłem. - Splątałem panu figla. Lecę na koniec świata, a tymczasem z Ziemi przychodzi wiadomość, że na przykład złowiłem stukilowego szczupaka. Albo zamordowałem staruszkę. Nie wiem, co tam robię. Co gorsze, nic mnie to nie obchodzi. Ale was tak - wysyczałem. - Bo przecież, kiedy stąd odlatywałem, nie wiedział pan nic. Żaden z was. Inaczej jak miałbym sobie tłumaczyć, że nie zająknęliście się słowem? Nie chcieliście mnie drażnić przed "delikatną misją"? A może po prostu byłem potrzebny? Tylko tyle?

- Wiedziałem - powiedział spokojnie. - Inni nie. Ale ja wiedziałem. Miałeś ochotę rozmawiać na ten temat... wtedy?

- A nie pyta pan, czy nabrałem ochoty teraz? Sytuacja się zmieniła, prawda? Moje fanaberie przestały was obowiązywać. Dokładnie jak powiedziałem.

- Czy to według ciebie jest otwarta gra? - spytał przyciszonym głosem.

Pomyślałem chwilę.

- Dobrze - mruknąłem wreszcie. - Umówmy się. Nie mam nic do powiedzenia o tym, co zrobiłem tam, na dole. I nie sądzą, abym potrzebował czyichś komentarzy. Ale może jest coś, co powinienem zrobić teraz. Co mogę zrobić - dodałem z naciskiem. - Proszę. Słucham. W końcu coś mi się od was należy.

Grenian przygryzł dolną wargę i zamyślił się. Jego wzrok mierzył w obudowę ekranu, ale nie widział jej, mogło się zdawać, że słucha ważnego meldunku, po którym coś natychmiast trzeba postanowić. W końcu poruszył głowę, spojrzał na mnie przelotnie i przeszedł się po kabinie. Nagle stanął.

Był niewysoki, nikomu jednak nie przyszłoby na myśl nazwać go małym. Jego włosy lśniły jak metal. Wznosiły się stromo nad wysokim czołem i biegły prosto ku karkowi. Były białe, jakby przyprószone opiłkami stali, i gładkie. Tylko nad lewym uchem zwisał mu nieodmiennie wąski kosmyk. Oczy miał okrągłe, ciemne, ich białka pozostawały ledwie widoczne w kącikach powiek. Poniżej tych oczu widniała nieoczekiwanie miękka twarz dużego dziecka z nieproporcjonalnie małym nosem, mięsistymi ustami i krótką, łagodnie zarysowaną brodą. Grenian. Jak on to wtedy



powiedział, kilka minut po ogłoszeniu wyników egzaminu? Już wiem. "Jest mnóstwo rzeczy, które warto robić. Są takie, które robić trzeba. Przydałbyś się w Zespole..." O ile pamiętam, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Jako świeżo upieczony fotonik, przygotowywałem się do pracy w rolnictwie. Ale sam już rozumiałem, że sterowanie zespołami uprawowymi nie odpowiada spojrzeniom, jakie na mój widok wymieniali między sobą lekarze. No i pilotaż poszedł mi o kilka punktów za dobrze.

Westchnąłem.

- Cała rzecz w tym - mruknąłem - że popełnił pan błąd, biorąc mnie do Zespołu. Siedziałbym teraz na Alasce, podgrzewał ogórki i marzył o tym, żeby tak rosły przez całą wieczność. To pańska sprawka...

Nie uśmiechnął się. Jakby nie dotarło do niego, że coś mówiłem.

- Gra, jaką prowadzisz - zaczął nie spuszczać ze mnie wzroku - jest nieuczciwa. Być może stawiasz wysoko. Ale płacić każesz innym.

- To już słyszałem - bąknąłem.

Skinął poważnie głową. Jego włosy zalśniły.

- Istnieje prawo - powiedział - że człowiek nie może być równocześnie w dwóch lub więcej miejscach. Słyszałeś o nim?

Wzruszyłem ramionami.

- To stare dzieje - burknąłem. - Z czasów, kiedy nikomu się nie śniło o tych tam... genoforach. To prawo wymyślili tacy jak ja. W obawie, że jeden Grenian zastąpi ich w każdej sieczkarni, nie mówiąc o instytutach...

- To bluff, Dan - rzucił twardo. - Nie lubię tego.

- Nawet jeśli bluffuję - odparłem - to nie bez powodu. Pan wie równie dobrze jak ja, że ów zakaz ustanowiono, kiedy ludzie nie potrafili sobie radzić równocześnie z łącznością czasową, zastosowaniami technik informatycznych w procesach myślenia i fantomatyką. Od tego czasu zrobiliśmy krok naprzód. Właśnie taki, jak z nicości w wieczność. O czym więc mówimy, profesorze? Dziś nikt już nie pojawia się w wyobraźni innych, udając własny oryginał. Ani nie prowadzi konferencji z sześcioma partnerami naraz. Tak było, zanim jeszcze zafundowaliście sobie wieczność. A teraz to prehistoria. Tylko wariat mógłby działać na kilka frontów, mając do dyspozycji czas... ciągle nie mogę - "warknąłem - przyswoić sobie terminologii.

Pominał to. Westchnął i przetarł palcami czoło. Nagle wyprostował się. Brwi zeszyły mu się nad nosem.

- Pomimo to - wyrzucił z siebie - prawo pozostało. Osądź sam, czy straciło na

aktualności... nawet, jeśli pierwotnie odnoszono je do czego innego. A ty - ciągnął - złamałeś to prawo. I dość już zabawy w słówka.

- Powieście mnie - burknąłem. - Nie żartuję. Ja bym się nie patyczkował.

Nagle palnąłem się w czoło.

- Prawda! - wykrzyknąłem. - Nie możecie! Zawsze będzie ten zapasowy słoiczek. Moglibyście zamurować go w grobowcu, jak dawniej żony władców. Ale tego nie zrobicie. Człowiek to pestka. Co innego genofory. Świętość. Tabu.

Jego oczy zmieniły nagle wyraz. Twarz mu się ożywiła.

- A propos - zagadnął zupełnie innym tonem - byłeś badany?

Trwało chwilę, zanim pojąłem, o co pyta.

- Uhm...

- Co powiedzieli? Nie myśl, że się wtrącam - dorzucił szybko. - Byłeś bardzo blisko epicentrum. Anihilacja w próżni... rzadko miewamy z tym do czynienia.

Patrzył na mnie ciekawie, jakby ta jedna kwestia pochłaniała go teraz bez reszty. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem - mruknąłem. - Maglowali mnie pół dnia. Całkiem jak przed startem, w Centrali.

- I co?

- Nic. Jestem nieśmiertelny - uśmiechnąłem się krzywo. - I nawet nie zwariowałem. Zresztą tego akurat nie byli zdaje się pewni...

- Nie dziwię im się - wtrącił łagodnie. Przytaknąłem ruchem głowy.

- W każdym razie - dodałem obojętnym tonem - pocieszyli mnie, że to nie koniec. Za kilka dni zobaczą ich znowu. Nie wiem, gdzie się podzieję przez ten czas... Gra skończona? - spytałem, podnosząc głos.

Nie odpowiedział od razu. Zrobił dwie rundki dookoła fotela, stanął i zapatrzył się w iluminator.

- Tak - odezwał się wreszcie z namysłem. - Co chcesz dalej ze sobą zrobić?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć i pottrzymałem je tak chwilę. Zabrakło mi nagle słów.

- Nie wiem - wyszeptałem nieoczekiwanie dla samego siebie. Owładnęło mną dziwne uczucie. Byłem zły, że mówię. Ale musiałem mówić, ponieważ przestałem myśleć. Wiedziałem jedno. Potrzebuję dźwięku własnego głosu.

- Nie wiem - powtórzyłem. - Kiedy zostanę sam...

- Skończ z tym - przerwał łagodnym tonem. - Chciałem tylko, żebyś przestał

się zgrywać. Żadnemu z nas nic z tego nie przyjdzie. I nie uzależniaj swojej decyzji od innych.

Zamyślił się. Jego oczy powędrowały W stronę iluminatora. Uśmiechnął się, jakby coś zobaczył. Ale nie w iluminatorze. Daleko poza nim. W przestrzeni.

Ty tego nie pamiętasz - podjął po chwili. - Miałem sześć lat, kiedy ogłoszono decyzję prezydium unii parlamentarnej o zastąpieniu kar medycyną. Zresztą bionicy, moi protoplasci - jego uśmiech stał się odrobinę szerszy - postulowali to od dawna. Po wysłuchaniu komunikatu, pamiętam jak dziś, ojciec przyszedł do mojego pokoju, wziął mnie na kolana i powiedział: "W porządku, Nań. Teraz mam pewność, że wyrośniesz na uczciwego człowieka..."

Grenian umilkł znowu, tym razem na dłużej. Tak długo, że musiałem pomyśleć, czy nie zapomniał o mojej obecności. Zrobiłem ruch, jakbym zamierzał podnieść się z fotela. Drgnął i spojrzał na mnie jak przebudzony. - Przepraszam - powiedział zmienionym tonem. - Widzisz, likwidację kar ja osobiście uważam za jeden z najważniejszych kroków na drodze, jaka została za nami. A takich jak ty nie sądzi nawet medycyna. Interesujesz ją z całkiem innego powodu. Co do pracy, zostaniesz w Zespole. Niewykluczone, że będziesz miał nieco więcej zajęcia... poza Ziemią - zająknął się, ale odwrócił tylko głowę i mówił dalej: - Może to lepiej, może nie. Pozostaje kwestia, czy nadal zechcesz protestować przeciw... wieczności w sposób, jaki zademonstrowałeś przed odlotem z Ziemi? A przede wszystkim: co myślisz ze sobą zrobić?

Milczałem dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie mogłem odpowiedzieć, mój głos brzmiał jak zawsze. I była w nim pewność, której źródło leżało poza mną.

- Nie wiem - burknąłem. - Zresztą jakie to ma znaczenie. Nie ja sam, to wy mi coś wymyślicie. W gruncie rzeczy wszystko mi jedno.

Potrząsnął głową.

- Nie - powiedział z przekonaniem. - Nikt nic za ciebie nie wymyśli. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja. Tamto to tylko gra, jak się wyraziłeś. Może nie umiałem z tobą rozmawiać. Przepraszam. Poczekaj - powstrzymał mnie ruchem dłoni - nie mówię, że usłyszałeś ode mnie nie to, co trzeba. Sam zrozumiesz, pewnie trochę później... może już rozumiesz, tylko nie wiesz jeszcze, co z tym zrobić. Ale mam prośbę. Kiedy będziesz wiedział, przyjdź do mnie. Nieważne, co powiesz. Prawdę czy nie. Możesz nic nie mówić. Chcę cię tylko zobaczyć... kiedy zadecydujesz. Powiedzmy - uśmiechnął się znowu - że zapraszam na rewanż...

Skinałem głową. Nie chciałem go oszukiwać. Nie chciałem wielu rzeczy, które się stały. Przykłady? Mniejsza o nie.

Postałem kilka sekund świdrując wzrokiem betomitową ścianę, po czym odwróciłem się i bez słowa ruszyłem do wyjścia. Uchyliłem drzwi. Stanałem. Nagle dobiegł mnie mój własny głos.

- Co mogę zrobić?

Czekałem długo. Jego twarz ciemniała powoli. Powieki mu opadły. Poruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem... powiedział wreszcie.

Uniósł nieznacznie ręce i zatoczył nimi jakieś bezsensowne półkola. - Nie wiem... - powtórzył cicho.

Gra się skończyła. Zrozumiałem to już przed chwilą. Kiedy usłyszałem brzmienie własnego głosu tu, pod tymi drzwiami. Jedyne, co mogłem zrobić, to przestać na niego patrzeć. Odejść.

Pełnia słonecznego dnia. W żółtym półmroku rysują się pozbawione konturów skalne odłamy. Z gładkiego, ubitego pyłu sterczą ostre szczyty głazów. Stąd, z Bruno, Słońce nie jest już gwiazdą. Ale jego światło zaledwie ciecze, chwilami wydaje się gęste jak maź. Skąły i konstrukcje opływa ze wszystkich stron, ten świat od pierwszej chwili swojego istnienia nie widział porządnego cienia.

Oderwałem się od szyby i omiotłem spojrzeniem kabinę. Był to właściwie rodzaj oszklonego tarasu. Roztaczał się stąd widok na potężne konstrukcje stacji przekaźnikowej, rozlokowane w płytkim kraterze, pyłową pustynię i igły skalne, nasuwające myśl o późnym gotyku. Asteroida, ziarenko w świecie wielkich planet, wirowała dokoła własnej osi nie szybciej niż jedna z nich. Akurat tak, żeby człowiek czuł się jak u siebie. Pod tym względem przynajmniej. I żeby codziennie mógł przyjść tutaj, na tę platformę, popatrzeć przez szklaną ścianę w kierunku Ziemi. W pierwszym roku po przekazaniu stacji znajdował się tu teleskop. Później zabrano go do pomieszczeń roboczych.

Taras był pomyślany jako ucieczka od świata sygnałów i instrumentów. Podłogą wiły się płytkie rynienki wypełnione ziemią. Tu i ówdzie sterczał w nich nie dokruszony, butwiejący korzeń. Kiedyś tworzyły kombinacje ścieżynek, namiastkę kwitnącego ogrodu. Pod tylną ścianą, obrosła winem, płynął w kamiennym korycie strumyk. Były i fontanny, ale po nich nie zostało nawet śladu. Połowa lamp

wtopionych w przeźroczystą masę dachu, była nieczynna. Ludzie nie mieli ani czasu, ani ochoty przychodzić tutaj. Praca w obiektach pozaziemskich ma swoje dobre strony. Po kilku dniach człowiek zapomina, że istnieje coś takiego jak nuda. Świat planet, asteroidów i próżni jest ostatnim miejscem, gdzie chciałoby się sięść, dzwonu posłuchać, rozrzewnić na własny temat czy pomarzyć o kosówce na tatrzańskim wierchu. Akurat przeciwnie niż wyobrażali to sobie przerażeni własnym dziełem konstruktorzy pierwszych satelitarnych stacji załogowych. Pozostały po nich tarasy, jak ten tutaj, z niezbyt sympatycznym widokiem, i kikuty oleandrów w pseudoogródkach.

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta. Za pół godziny mam być w gabinecie diagnostycznym. Nie zapomnieli o mnie. A może założyli z góry, że potrzebuję tych trzech tygodni, aby dojść prawdy o sobie. Lub też, żeby oni potrafili ze mnie tę prawdę wydobyć.

Nie miałem żadnego celu, przychodząc tutaj. Trudno powiedzieć, że szukałem samotności. Stacja dawała jej pod dostatkiem. Ekipy monterskie odleciały dziesięć dni temu, a pozostali na krok nie ruszali się od ekranów. Bębny pamięciowe komputerów przyjmowały z Ziemi ładunek spreparowanych stosownie do okoliczności informacji o ludziach. Nie miałem ochoty słuchać. Zresztą nikt mi tego nie proponował. Ja zrobiłem swoje. Nie zauważali mojej obecności. Wyłączając, być może, Greniana, który jednakże od owego pamiętnego "nie wiem" w dyspozytorni, nie odezwał się do mnie słowem.

Usłyszałem kroki. Tuż za mną, jakby ktoś podszedł na palcach, stanął za moimi plecami i nie wiedział, co dalej.

Odczekałem chwilę i odwróciłem się. Cyra. Oczywiście, że Cyra. Mogłem się od razu domyślić. Od kilku dni stale ją spotykałem, w najmniej spodziewanych miejscach. Odwracała wzrok i uśmiechała się, jakby mój widok przywodził jej na myśl coś przyjemnego, co wszakże ze mną samym nie miało nic wspólnego. Raz tylko, bodajże w pierwszym dniu, widziałem ją w roboczym fartuchu. Potem ukazywała mi się niezmiennie w obcisłych, poszerzanych dołem spodniach koloru pierwszej wiosennej trawy i takimż bolerku, spiętym na piersiach kłamrą wielkości dyni. Powiedzmy, plastra dyni, przekrojonej w najszerszym miejscu. Jeśli dodać do tego figurę modelki, długie, szczupłe palce wąskich dłoni i twarz lalki, z tych, które dziewczęta zostawiają sobie na całe życie, staje się jasne, że mogła być właściwą osobą na właściwym miejscu. Gdyby to miejsce znajdowało się w takiej dokładnie

odległości stąd, jaka dzieli asteroidy od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Zdążyła mi wyznać, że jest asystentką Norina, studiowała matematykę, specjalizowała się w fotometrii, nie lubi koncentratów i najlepiej jej we własnym towarzystwie.

Przynajmniej to ostatnie wszakże wydawało się wątpliwe przy nieco bliższym poznaniu. Trudno na przykład przypuszczać, żeby weszła na ten kwitnący ongiś taras z zamkniętymi oczami. Teraz w każdym razie były szeroko otwarte. Patrzyła we mnie, jakbym przed chwilą wylądował w pobliskim kraterze, przełazi przez szybę i wyciągnął do niej pięć z moich trzydziestu owłosionych macek.

- Cokolwiek jeszcze zobaczysz - mruknąłem - to będę tylko ja. Przynajmniej przez najbliższe pięć sekund. Za to, co przyjdzie później, nie biorę odpowiedzialności - dodałem, ruszając ku drzwiom.

Nie uszedłem daleko. W połowie tarasu zatrzymał mnie jej głos:

- Nie lubisz mnie? - spytała. Było to powiedziane chłodnym, rzeczowym tonem, jakim mówi się o pogodzie. To mnie zastanowiło. Przyjrzałem jej się uważniej.

- Nie możesz mieć pretensji - oświadczyłem. - Trudno lubić kogoś, kogo się nie zna. Potem bywa różnie. Ale nie bój się. Nie mam towarzyskich ambicji. Nic ci nie grozi...

Potrząsnęła głową. Nie wiem, czy wspomniałem o jej włosach. Były czarne jak noc. Tak jak rozumie to słowo każdy, kto chociaż raz znalazł się w przestrzeni. W świetle tutejszego dnia nabierały rudawego połysku. Wyszczuplały pełną twarz, spływając na ramiona i piersi, gdzie tworzyły pogrubiony rysunek klucza basowego. Świetna dziewczyna. Miło pomyśleć, że nie umrze i do końca świata będzie tak patrzeć na jakiegoś podobnego sobie nieśmiertelnika. Przez moment zastanowiłem się, czy Norin jest żonaty. Przyłapałem się na tym i rozciągnąłem twarz w uśmiechu.

Uśmiechnęła się także.

- Nie lubisz mnie - powtórzyła. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków w stronę szklanej ściany. Przez moment widziałem jej oczy. Były niebieskie, z domieszką starego złota.

Nie odpowiedziałem. Stałem dalej, tknięty nagle niemiłym uczuciem, że w otoczeniu zachodzi jakaś zmiana. Utkwiłem wzrok w jej włosach, tam gdzie powinien być kark. Kto to mówił, że muszę coś ze sobą zrobić? Grenian? Czy może Norin?

- Podobam ci się? - spytałem całkiem cicho. Drgnęła. Chwilę patrzyła jeszcze prosto przed siebie, po czym poruszyła gwałtownie głowę.

- Nie teraz - rzuciła. Odwróciła się szybko i utkwiała wzrok w kieszeni mojego kombinezonu na piersi. Kąciki jej warg drgnęły. Nad oczami pojawiły się zmarszczki. Przy okazji zapytam, ile ma lat. Nie więcej niż dwadzieścia dwa, trzy. Jak na laleczkę - zgrzybiała starość. Jak na dziewczynę...

- Nie teraz - powtórzyła już innym tonem. Przekrzywiła głowę i ściągnęła wargi, jakby chciała zagwizdać. Poczułem, że ziębną mi końce palców.

- To źle - warknąłem. - Nie powinnaś się zniechęcać. Człowiek musi odwalić swoją robotę, czy chce tego, czy nie. Norin dużo rozumie, ale nie licz na to za bardzo. Jeśli skrewisz, nie zapomni ci tego.

Kilka sekund trwała bez ruchu. Wreszcie dotarł do niej sens moich słów. Poruszyła wargami i zerwała się, jakby mnie chciała przeskoczyć. To nie mogło się udać. Cofnąłem się o krok i zdążyłem przytrzymać palcami jej ramię. Stanęła.

- Jesteśmy dostatecznie daleko od Ziemi - stwierdziłem - żeby zapomnieć o teatrze. Powiedz im, niech zaczekają na kogoś lepszego. Z pewnością nieraz jeszcze jakiś stuknięty fotonik przysporzy im kłopotów. A drugiej takiej dziewczyny mogą nie dostać. Co do mnie, gra nie jest warta świeczki. Możesz ich zapewnić, że będę grzeczny. To tylko panika. Pośpieszyli się. Wstyd mi za nich. Takie dziewczyny jak ty powinny spacerować po plażach, rozdawać kuracjuszom wody mineralne lub hodować róże, a nie służyć za nagonkę różnym Normom. Powtórz im to. Dodaj, że usłyszałaś to ode mnie, bo mogliby mieć pretensje. I jeszcze jedno - warknąłem. - Nie lubię brunetek. Lubię zamyślonę blondyny o dużych biustach. Zapamiętaj to sobie, gdybym jeszcze kiedyś przestał ci się podobać...

- Puść mnie - powiedziała spokojnie, zerkając na swoje ramię. Zaśmiałem się.

- To już lepiej. Proszę...

Cofnąłem dłoń i błazeńskim gestem wskazałem drzwi. Nie poruszyła się. Wytrzymała tak minutę, może półtorej. Wreszcie ocknęła się, odetchnęła głęboko i nie patrząc na mnie, odezwała się jakby do siebie:

- Szkoda. Nie mówię o blondynkach. Ja na przykład lubię takich jak ty. To znaczy dotychczas tak mi się zdawało. Słyszałam, że... - głos zaczął się jej wymykać - miałeś przykrości. Słyszałam... - urwała. Zagryzła wargi. Splotła przed sobą dłonie i uniosła je, jakby za chwilę miała złapać piłkę. Nagle frunęła do wyjścia. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął mi je huk zatrzaśniętych drzwi. Przyjrzałem im się. Solidna, plastikowa płyta w ramkach z jakiegoś pianometalu. Mogłem mieć pewność, że od kiedy je wmontowano, po raz pierwszy zostały tak właśnie

potraktowane.

Postałem jeszcze kilka minut, nie myśląc o niczym. W pewnym momencie usłyszałem swój głos. Wymówiłem: "Cyrą". Ten dźwięk nie wzbudził we mnie żadnego echa. Mimo to uśmiechnąłem się. Nieźle to wymyślili. Takie manewrowanie dziewczętami miało kiedyś swoją nazwę. Postanowiłem, że zapytam o nią Norina. Albo od razu Greniana. Mimochodem, kiedy mowa będzie na przykład o pogodzie. Lub też o uczuciowym tle stosunku ludzi do wieczności.



Stację wyposażono w najnowszy model aparatury diagnostycznej. Druciany kokon nad moją głową ustąpił miejsca płaskiej białej siateczce. W lewej pięści kazali mi zacisnąć nadajnik. Drugi umocowali przy kołnierzu.

Było ich dwóch. Pomyślałem z rozrzewnieniem o umęczonym techniku w Centrali. Chociaż on tam najgorsze miał już za sobą. Jak szef uzdrowiska po sezonie. Co najwyżej bieżące uzupełnienia, jak oni to nazywali?... aktualizacja zapisów rehabilitacyjnych. Ładnie. Za ładnie jak na mój gust.

Powiedziałem im to. Rzecz prosta, wiedziałem, co się święci. Poinformował mnie Cullen, kilka minut po lądowaniu. Nie bez uśmiešku, za który poszedłbym do piekła. "Za dużo wiesz, żebyśmy mogli ryzykować"... Myśl, że wezmę kąpiel i umrę na zapalenie płuc, była dla nich nie do zniesienia. Mieli mnie tam na dole w słoiczku, prawda, ale bez tych kilku ostatnich miesięcy. Gdyby mnie zapytano, musiałbym przyznać, że były to miesiące nie bez znaczenia.

Zdecydowali, że zrobią to tutaj, jak tylko wrócę. I dopięli swego. Sprowadzili z Ziemi zgrabny aparacik, z którego w każdej chwili mogłem wyleźć z powrotem. A teraz to "aktualizowali".

Spytałem, co by zrobili, gdybym zabawił z pantomatem nieco dłużej albo zupełnie długo, a statek, któremu powierzyli swój bezcenny ładunek, trafił, na przykład, na meteoryt. Nie tałem, co myślę o tak pojętej nieśmiertelności. Od przypadku do przypadku.

Powiedziałem im jeszcze kilka rzeczy.

Łykali wszystko bez mrugnięcia okiem. W ciągu czterdziestu pięciu minut, jakie mi poświęcili, nie odezwali się słowem.

Tłumaczyłem im właśnie, że nie chcieliby zapewne ryzykować życia człowieka, który mógł sobie pochodzić po świecie jeszcze te czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Ale jak wobec tego nazwać narażanie istoty z perspektywą nieśmiertelności?

Nagle zamilkłem. Powiodłem wzrokiem po wygaszonej sygnalizacji aparatury, pociemniałych ekranach, pojemnikach z oplatającymi je pękami kabli. Przyjrzałem im się tak, jakbym chciał dobrze wbić sobie w pamięć kształt każdego czujnika, każdej lampki, raz na zawsze przyswoić sobie twarze obu techników, ich gesty, kolor oczu, ubiory...

Wiedziałem, że to tylko gra. Inna niż z Grenianem. Tam miałem szansę. Tu

wynik jest przesądzony. Nie zapamiętam niczego. Zapomnę tak, jak zapomina tylko śmierć.

Tego nie uda im się już utrzymać w tajemnicy. Pantomat nadał komunikat otwartym kodem. Czekają na mnie. I doczekają się. Głośniki zapowiedzą raketę z Bruno. Wsiądzie Norin i co im powie? Nie, to będzie Grenian. Ten nie zechce chować się za plecami innych. Dowiedzą się, że pilot, który zniszczył zagrażającą człowiekowi maszynę, nie przyleci nigdy. Przestał żyć, ponieważ nie chciał być nieśmiertelnym. Po prostu. Ale nie przejmujcie się. Tak naprawdę to on żyje, zachował w świadomości swoje dzieciństwo, młodość, nawet osobiste tragedie, słowem wszystko... do pewnego momentu. Potem ta sprawa z pantomatem, wypadek i wrócił do własnej świadomości sprzed roku. Tak, oczywiście, że zaktualizowaliśmy zapis jego osobowości. Ale widzicie, on sam nie chciał...

Chciał, nie chciał. On, nie on... kto właściwie? Ten, na którego czekają tłumy, czy jakiś inny, cofnięty w rozwoju?... Jak to jest? Czy nie za wiele pytań? A może miało ich być aż tyle? Może o to mu właśnie chodziło? I tylko o to?

Tak, z tym będzie kłopot. A ja, przy wszystkim, co naprawdę myślałem, w żadnym razie nie chciałem ich pozbawiać kłopotów.

Zapomniałem o technikach. Zapomniałem, gdzie jestem. Oddałem się bez reszty tej nowej wizji, która spadła na mnie jak objawienie. Nie wiem, jak długo to trwało. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że po raz któryś już słyszę wypowiedziane jakby szeptem pytanie: co potem? Tłumiłem w sobie ten głos, kwitowałem go wzruszeniem ramion, ale jak długo może trwać taka zabawa? Moja myśl uparcie wracała do Greniana. Nie znaczy to, że chciałem mówić. Czy nawet mogłem. Ale nie ma się co oszukiwać. Czy naprawdę tak mi zależy na zmaceniu tej stojącej wody, zarosłej bajkowymi kwiatami ludzkich nadziei? Przecież nie mam nic do zaoferowania. To, co zamierzyłem, w najmniejszym stopniu nie może stanowić propozycji. Ani alternatywy.

Zrobię to jednak. A skoro tak, nie warto roztrząsać, ile w tym myśli o innych, ile protestu wobec własnego losu, a ile przekory.

Kabinę diagnostyczną opuściłem bez słowa. Okazałem się już dostatecznie rozmowny. Jak każdy, kto z tych czy innych powodów nie chce zostać sam z własnymi myślami. Trudno przypuścić, że na to nie wpadli. Byli w końcu fachowcami. Znali się na swojej robocie. Cierpliwość należała do ich rzemiosła, jak u poganiaczy osłów.

W kabinie było duszno. Raz czy dwa zerknąłem na rączkę klimatyzatora, ale nie chciało mi się ruszyć. Leżałem w fotelu, jakby wymontowanym z rakiety. Ściany miałem na wyciągnięcie ręki. Żółtobiały sufit, przechodzący w nieczynny ekran iluminatora, zwisał na wysokości półtora metra. Projektanci stacji mieli ważniejsze rzeczy na głowie, niż troszczyć się o wygodę załogi. Zwłaszcza kiedy odpoczywała. Ale też żaden z nich nie spędził w przestrzeni więcej niż miesiąc. Od tego byli konstruktorzy, automaty montażowe i tacy jak ja.

Drzwi otworzyły się nagle na całą szerokość. Ujrzałem uśmiechnięte oblicze Cullena. Uśmiechnięte - to słabe określenie. Promieniał. Biło z niego głęboko uzasadnione przekonanie, że wszystko jest, jak powinno. A nawet lepiej.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział, pozostając w progu i wachlując się drzwiami. - Spałeś?

Utkwił we mnie wzrok. Najwyraźniej czekał na odpowiedź. Oszczędziłem mu jej. Bez nadziei, że potrafi to docenić. I słusznie.

- Jutro start - odezwał się po chwili milczenia. - Transpluton nadaje. Możemy wracać.

Nie miałem wątpliwości, że może wracać. Co innego, gdyby ekipy monterskie okazały się nieco mniej sprawne. Wtedy musiałby posiedzieć jeszcze przed ekranem. Bo nie wiem, w jaki inny sposób mógłby im pomóc.

Powiedziałem mu to. Ale Cullen miał swój dobry dzień. Rzecz była z pozoru niemożliwa, niemniej jego uśmiech stał się naprawdę szerszy.

- Lecimy we dwóch - oznajmił tonem, jakim obiecuje się dziecku wycieczkę do babci. - Grenian i Norin chcą jeszcze sprawdzić kierunek wiązki. Zatrzymują twoje materiały. Wrócą z nimi za tydzień.

- Pozdrów ich ode mnie - mruknąłem. Poczulem łaskotanie w gardle. Już teraz. Na szczęście to tylko trzy dni.

Zaśmiał się. Jego brwi powędrowały do góry. Pokiwał głową, jakby ujrzał coś, co go zaskoczyło.

- Przygotuj się na niespodziankę... - powiedział znaczącym tonem.

Aż mnie podniosło. Niespodzianka. To stanowczo więcej, niż mogłem marzyć.

- Od pewnego czasu dbacie o to - warknąłem - żeby mi ich nie brakło. A potem muszę wkładać głowę w aparaturę diagnostyczną. Albo urządzać fajerwerki.

Czy tak będzie całą wieczność? W takim razie cofam wszystko, co o niej mówiłem. Wspaniała rzecz!

Był już w korytarzu. Drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie. Jakby nie chciał nikogo budzić.

Uśmiechnąłem się do siebie i opadłem na fotel. Podłożyłem dłonie pod głowę i zamknąłem oczy. Oczekałem kilka minut.

Niespodzianka. Jeszcze jedna. Przed oczami stanęła mi twarz Putta. On pierwszy ostrzegwał, żebym nie dał się zaskoczyć. Ujrzałem tę scenę, jakby rozegrała się kilka sekund temu. I tę, którą poprzedziła. Mogłem się jej przyglądać spokojnie. Słowa Cullena nie poruszyły we mnie żadnej drzemiącej struny. Moje zdenerwowanie było, że tak się wyrażę, programowe. Naprawdę tkwiłem w grubym okładzie z waty. Myśli pełzły leniwie, cisza kabiny jakby przychodziła z zewnątrz, z przestrzeni. Odpoczywałem.

A więc jutro. Czyli muszę się śpieszyć. Oczywiście bez paniki. Nie ma mowy o komplikacjach. Zdążę, choćbym miał to zrobić pięć minut przed startem. Co nie znaczy, że dziś na przykład czekają mnie ważniejsze sprawy do załatwienia.

Leżałem jeszcze bez ruchu dziesięć, może dwanaście minut, po czym wstałem, obciągnąłem kombinezon i wyszedłem na korytarz.

Jak się spodziewałem, w hollu nie było nikogo. Spoza zamkniętych drzwi kabin nie dobiegał najcichszy głos. Troska, aby jak najszybciej nakarmić kosmos informacjami o wspaniałościach ludzkiej cywilizacji, pochłaniała ich bez reszty. Znowu musiałem się uśmiechnąć. Cokolwiek można o mnie powiedzieć, należałem do tej cywilizacji. Fakt godny zastanowienia, zważywszy, co za chwilę zrobię. Pomyślałem, że bez najkrótszej bodaj wzmianki o mnie, moim życiu, myślach i wspomnieniach, te informacje nigdy nie będą prawdziwe. A takich jak ja znalazłoby się więcej. Lekko licząc, kilka miliardów. Jeśli nie brać pod uwagę dzieci i wariatów. Chociaż ich myśli byłyby może dla badających ziemską cywilizację ciekawsze od wszystkiego innego.

Minąłem dyspozytornię i nie rozglądając się, ruszyłem w stronę drzwi prowadzących do gabinetu diagnostycznego. Były otwarte. Wewnątrz panował półmrok. Zmatowiałe ekrany zlewały się z szarością nieoświetlonych pulpitów i ścian. Skądś, jakby z wielkiej odległości, dobiegało leniwe tykanie przekaźnika. W powietrzu unosił się ostry zapach jakiejś substancji chemicznej zawierającej chlor.

Stałem pośrodku pomieszczenia i zastanowiłem się. Znałem rozkład stacji.

Wiedziałem, że z gabinetem sąsiadują pracownie farmaceutyczne i magazyny. Trudno o lepszy wybór, kiedy chce się przechować coś, co w żadnym razie nie może ulec zniszczeniu. Magazyny chemiczne z kolei przylegały do głównej nitki ciągu krioenergetycznego. Oznaczało to nie tylko chłodzenie w dowolnych granicach, lecz przede wszystkim specjalną konstrukcją grodzi i ścian. Wymarzony schowek.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszyłem ku niskim drzwiom w bocznej ścianie gabinetu. I one nie stawiały oporu. Odszukałem wyłącznik. Zapłonęło łagodne, żółtawe światło odsłaniając perspektywę korytarza czy raczej półokrągłego tunelu. Jedna jego ściana była zupełnie gładka, w drugiej widniał szereg kabłąkowatych wypustek, osłaniających wejście do magazynów. Podłogę korytarza wyłożono tym samym tworzywem co w kabinach, idąc nie słyszałem własnych kroków. Cała stacja była wytłumiona i głucha jakby uciekło z niej powietrze.

Nie musiałem przystawać, żeby trafić. Wszystkie drzwi opatrzone napisami, których litery zapalały się, kiedy na nie patrzyłem. Trzymano tu niemal wyłącznie związki organiczne.

Przy wejściu do pokoju rezerwowej aparatury ktoś dopisał: "Wzorce rehabilitacyjne załogi". Zatrzymałem się. Ładnie to nazwali. Inaczej niż autorzy reklamówek, ale ładnie. Sama etykieta budzi zaufanie.

Dotknąłem zamka. Drzwi ustąpiły natychmiast. Zbliżyłem się i obejrzałem listwę od góry do dołu, szukając jakiegoś dodatkowego zabezpieczenia. Nie było go. Wzruszyłem ramionami i nacisnąłem mocniej. Usłyszałem cichy szmer, jakby przesypywanego grubego piasku, po czym pomieszczenie "wzorców" stanęło przede mną otworem. Rozejrzałem się odruchowo i wszedłem do środka.

Oto antyteza trupiarni. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby wyposażyć to wnętrze, pełne zawieszonych między życiem a śmiercią informacji, w znormalizowane pojemniki. Czy chociażby zwykłe plastikowe regały. Po rezerwowej aparaturze nie pozostało śladu. Od sufitu do podłogi piętrzyły się blaszane kasety opatrzone małymi etykietami. Skupiłem uwagę na tych ostatnich i nagle poczułem ucisk w żołądku. Zaczerpnąłem głęboko powietrza. Nie myliłem się. Miała ta wieczność swoje wstydliwie pomijane sprawy, które naprawdę wychodziły człowiekowi bokiem. Mogłem zrozumieć wstręt niektórych dawnych kultur do trupów, ale to tutaj było bez porównania gorsze. Nie zawsze wystarczy rozumieć, żeby opanować mdłości.

Przemogłem się i postąpiłem dwa kroki w stronę najbliższego rzędu skrzynek.

To, czego szukałem, powinno znajdować się zaraz z brzegu. Najnowsza zdobycz. Czy raczej dostawa.

Z korytarza dobiegł jakiś dźwięk. Znieruchomiałem. Głos powtórzył się. Usłyszałem jakby przyciszone wołanie i kroki. Ucichły.

Odwrociłem się powoli i podszedłem na palcach do drzwi. Przywarłem policzkiem do framugi i posłuchałem chwilę. Nic. Potrząsnąłem ze złością głową, po czym pod wpływem nagłego impulsu wyszedłem na środek korytarza. W tej samej chwili w otwartych drzwiach gabinetu diagnostycznego ukazała się jakaś postać. Szerokie spodnie. Głębokie wcięcie w pasie. Głowa karykaturalnie powiększona o zarys włosów. Cień nie miał z tym nic wspólnego. Wiedziałem, że są po prostu czarne.

Oczywiście, ona. Jakby nie dość już było "przypadkowych" spotkań. I tego, co ode mnie usłyszała.

Bez pośpiechu zamknąłem magazyn i ruszyłem w stronę wyjścia. Cofnęła się, żeby mnie przepuścić, ale niezbyt daleko. Kiedy przekroczyłem próg, w gabinecie jaśniały wszystkie lampy. Stałem tak, że mogłem dosięgnąć ją jednym ruchem ręki.

- Zostajesz? - rzuciłem od niechcienia. - W takim razie pozwól, że przejdę.

Nie odpowiedziała. Trwała bez ruchu, jakby szukając w pamięci, po co tu przyszła.

- Masz kłopoty? - spytałem uprzejmym tonem. - A może szukałaś mnie, żeby mi powtórzyć, co ci powiedzieli? Nie byli zachwyceni, prawda? Bądź spokojna. To nie twoja wina. Gdyby przysłali Szeherezadę, ściąłbym ją pierwszej nocy. Sam im to powiem, przy okazji.

Przekrzywiła lekko głowę i zamrugła oczyma.

Teraz będzie sprytna - pomyślałem.

- Przeszedłeś badania? - spytała. - Dopiero teraz? - rozejrzała się, udając, że kogoś szuka. - Już poszli?

- Domyślili się, że przyjdiesz - burknąłem - Okazali się w miarę pojętni.

Przygryzła wargi. Z jej oczu pozostały szparki.

- Co tam robiłeś?! - rzuciła. Zabrzmiało to jak uderzenie kijem w arkusz blachy. Wyprostowałem się.

- To także cię interesuje? - powiedziałem zimno. - Chodźmy stąd - wyminąłem ją i skierowałem się w stronę drzwi. - Opowiem ci historię mojego życia. Jest ponura i łzawa. Pozwoli ci to zapomnieć o niepowodzeniach. Poczujesz się

znowu kobietą.

- Chciałabym wiedzieć, czym ty się czujesz - dobiegł mnie jej głos. Byłem już za drzwiami. Poczekalem, aż wyjdzie, po czym wróciłem i zgasilem światło.

Starannie zamknąłem za sobą drzwi i skinąłem głową z zadowoleniem.

- To się nazywa czysta robota - wyjaśniłem. Przeszedłem na środek kabiny i usiadłem wygodnie w fotelu. Jej wskazałem drugi-

- No więc jak - zacząłem z nadzieją w głosie - chcesz posłuchać?

Podeszła bliżej, ale nie usiadła. Położyła ręce na oparciu i pochyliła się. Jej włosy poleciały do przodu.

- Możesz zgrywać się dalej - odezwała się spokojnie - jeśli ci to sprawia przyjemność. Ale powinieneś mi odpowiedzieć.

Uniosłem brwi.

- Proponowałem ci coś lepszego - pokiwałem głową z ubolewaniem. - Co robiłem? Szukałem czegoś na domek dla ptaków. Uwielbiam ptaki. Zawsze taki byłem - zwierzyłem się. - To co, że ich tu nie ma. Domek powieszę u siebie w ogródku. Mieszkam w takim miejscu, gdzie czasem pada śnieg. Nic lepszego nie miałem dzisiaj do roboty. Więc pomyślałem o ptakach. To ładnie, prawda? Bieda w tym - ciągnąłem, nie patrząc w jej stronę - że niczego stosownego tu nie ma. Same plastyki, jakieś pianometale, gumowate tworzywa. Nic, co biednemu ptaszкови może ofiarować trochę ciepła. No więc postanowiłem poszukać. Myślałem o czymś w rodzaju zgrabnych blaszanych skrzyneczek. Wielkości mniej więcej o, takiej... - zakreśliłem rękami kształt pudełka odpowiedniej wielkości.

Zaśmiała się. Nie od razu. Poczekala chwilę, jakby musiała coś postanowić.

- A teraz okazuje się - wpadła w mój ton - że ta blaszana skrzyneczka to także nie to, o co chodziło. Nie mówiąc już o odrobinie ciepła. Czy nie uważasz, że należało szukać czego innego? A w każdym razie gdzie indziej? - zakończyła już bez uśmiechu.

Przyjrzałem jej się. Nic się nie zmieniła. Laleczka. Ale nie z tych, które w każdej chwili można pociągnąć za sznurek.

- Powiedzieli ci, oczywiście - burknąłem. - Musieli ci powiedzieć, z kim będziesz mieć do czynienia. Wiesz, czego możesz się po mnie spodziewać. Rób swoje, jeśli potrafisz. Ale nie licz, że ci w tym pomogę.

Jej oczy rozbłyły.

- Mniejsza o mnie - syknęła. - Mam dość swoich spraw. Akurat tyle, że

tydzień temu tu w tym pokoju - wskazała głową drzwi gabinetu diagnostycznego - zabronili mi pracować. Urlop. Jeśli ci się zdaje, że ktoś chciał mi go uatrakcyjnić i wybrał dla mnie towarzystwo, to...

- ...jesteś bałwan - podsunąłem. Umilkła. Ale tylko na chwilę.

- Ja tego nie powiedziałam - parsknęła. - I nie myślę zaprzeczać. Spróbuj poruszyć głowę, a przestaniesz udawać bohatera średniowiecznego romansu.

Nieprzystosowany! Szkoda, że nie było mnie przy tym, jak rozwaląłeś pantomat.

Błądny rycerz! Z wyzwalczem antymaterii. I urazą w sercu.

Zabrakło jej tchu. Doszedłem wreszcie, co mnie w niej drażni. Zachowywała się tak, jakby stale na nowo przypominała sobie, że na nią patrzą. Teraz dała spokój.

- Ładnie ci z tym - zauważyłem niespodziewanie dla samego siebie. -

Powinnaś mieć kogoś, kto od czasu do czasu powie ci coś przykrego. Niechby nawet prawdę...

Wyprostowała się. Chwilę patrzyła mi badawczo w oczy, po czym przez jej twarz przebiegł cień uśmiechu.

- Czy to oferta? - spytała zjadliwym tonem.

Roześmiałem się. Nagle umilkłem. Czułem się dziwnie. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszałem własny śmiech. Nie za wcześnie?

Okrzyżyła fotel, przyglądając mi się nieufnie i usiadła na wprost mnie. Dłonie położyła na kolanach.

- Co się stało? - spytała cicho. - Czy to dlatego nie chcesz żyć dłużej niż wszyscy przed nami?

Żadna laleczka. Po prostu dziewczyna, która umie patrzeć i wyciąga wnioski. Tyle że odrobinę zbyt ładna. Nie sądzę, aby wielu miało jej to naprawdę za złe.

Dłuższą chwilę w kabinie panowało milczenie. Pomyślałem o Ziemi. Nie wiedzieć czemu, stanęły mi przed oczami góry. Nie takie z betonowymi półeczkami, ale prawdziwe. Jak tylko to się skończy, zabiorę plecak i pójdę. Na dwa, może trzy tygodnie.

Jak się skończy... co właściwie?

Wstałem. Przeciągnąłem się i spojrzałem na nią.

- Idź teraz odpocząć - powiedziałem. Mój głos brzmiał obco. - Masz urlop. Należy ci się. Poczekaj - rzuciłem, widząc, że się podnosi.

Opadła z powrotem na fotel i utkwiała we mnie wzrok.

- Jeszcze chwileczkę - mruknąłem. - Chciałbym wiedzieć, co masz zamiar



robić... za dziesięć lat, sto, tysiąc... nie pytam o pracę. Rozumiesz?

Mijały sekundy. Nagle jej oczy rozszerzyły się, jakby dokonała odkrycia. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Nie wiem - powiedziała z przekonaniem. - Nie wiem - powtórzyła, jakby dźwięk tych słów sprawiał jej szczególną przyjemność. - I myślę, że o to właśnie chodzi. Czy sądzisz - w jej głosie zabrzmiała nutka przekory - że życie przestanie się zmieniać? Nie, mój drogi. Gdybym wiedziała dzisiaj, co będę chciała robić za rok, już to "dzisiaj" byłoby nie do wytrzymania. A potem? To chyba nie takie ważne, że czegoś nie wiem o dziesięciu latach czy o stu tysiącach. Jest wiele ludzi, których lubię. To i owo sprawia mi przyjemność. Chcę pracować.

"Mój drogi". Jak to zabrzmiało.

Nie mogła mówić inaczej niż młoda dziewczyna, ale, była szczera. Jej słowa trafiały tam, gdzie należało, jak palce pianisty. Tak mógł mówić Grenian. Gdyby nie był zanadto zdziwiony faktem, że ktoś pyta go, co chciałby robić.

- Idź już - rzuciłem. Uderzyła mnie niedorzeczna myśl, że jednak pomimo wszystko zrobiła swoje. To, co od niej usłyszałem, wyglądało lepiej niż wszystkie napuszone argumenty Norina i jemu podobnych. Nie mówiąc o piękniśkach z reklamówek. Odrobinę za dobrze, jak na mój gust. Poczuję się jak autor fresku, przedstawiającego kuszenie proroka. Na szczęście nie musiałem rozstrzygać, czy to kuszenie przychodziło z zewnątrz. To znaczy tylko z zewnątrz. Nie było mi to potrzebne. Spaliłem mosty.

- Jutro lecę - powiedziałem. - Pewno się już nie zobaczymy. Na wszelki wypadek życzę ci, żebyś nigdy nie wiedziała, co chcesz robić za rok. I pomyśl o kimś, kto będzie ci mówił te impertynencje. A gdyby okazał się w tym niezbyt mocny, przyślij go do mnie. Zrobię, co będę mógł. Znajdziesz mnie w Zespole Trzeciego Pasa. To znaczy przez najbliższe, powiedzmy, pięćdziesiąt lat. Nie spóźnij się - dodałem, kładąc nacisk na tym ostatnim zdaniu.

Szedłem już szybkim krokiem w kierunku drzwi. Zamykałem je właśnie, kiedy z miejsca, gdzie siedziała, dobiegł mnie przyciszony okrzyk. Coś, co zabrzmiało jak "zobaczymy" czy podobnie. Nie słuchałem. Starannie zamknąłem drzwi. Minutę później leżałem w moim fotelu i patrzyłem przez sufit w przestrzeń. Dzień dobiegał końca. Powinienem się pośpieszyć. Jeśli im powie, zaczną kombinować. Ale muszę dać jej czas, żeby zajęła się własnymi sprawami.

Postanowiłem, że odczekani kwadrans. Ani minuty dłużej.

Tkwiłem jeszcze w rozdętym skafandrze jak wyschłe ziarno w nazbyt obszernej łupinie, ale nie musiałem już walczyć z ciężarem własnego ciała. Tętno uspokajało się powoli. Jeszcze minuta, dwie i poczułem na skórze dotyk elastycznej powłoki. Wróciłem do zwykłych kształtów. Poprzez szum w uszach zaczęły przebijać głosy z zewnątrz. Powinny brzmieć swojsko. Wróciłem do domu.

Uśmiechnąłem się. Byłem rad, że nie ma lustra, w którym mógłbym obejrzeć ten uśmiech. Uniósłem głowę i przebiegłem spojrzeniem tablice. Ciemne. Ekrany pulsowały matowym światłem, ale obiektywy przestały przekazywać obrazy z zewnątrz. W słuchawkach zatrzeszczało. Skrzywiłem się i powoli, jakbym układał pionki szachów, rozłączyłem przewody. Zdjąłem kask i odetchnąłem głęboko. Kłapa wjazdu stała otworem. Kabinę wypełniało zwykłe, ziemskie powietrze. Uderzył mnie charakterystyczny zapach rozgrzanego metalu.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Obejrzałem się niechętnie i ujrzałem tuż nad sobą twarz Cullena. Nisko pochylony, patrzył na mnie z kpiącym uśmiechem. Jego wargi poruszały się. W tym momencie sprężarki chłodzenia ucichły nagle. Usłyszałem jego głos.

- Na co czekasz? - niemal dotykał wargami mojego ucha. - Wychodź, bohaterze...

Stał w dalszym ciągu zgięty w pół, podtrzymując lewą ręką biegnące pod stropami kable, jakby bał się, że spadną mu na głowę. Nie spuszczał ze mnie wzroku. W jego spojrzeniu było coś, co powinno zwrócić moją uwagę. Ale pomyślałem o tym dopiero później. Znacznie później.

Wstałem i nie spiesząc się uporządkowałem aparaturę mojego fotela. Odruchowo poprawiłem skafander i zwróciłem się w stronę wyjścia. Przepuścił mnie, wchodząc niemal w przystawkę zapisującą.

- Idź - burknąłem. - Mnie się nie śpieszy.

- Nigdy bym sobie nie wybaczył - zaśmiał się.

Zaciąłem usta. Postanowiłem, że nie będę mówił. Wytrzymam, jak długo się da.

Głową naprzód wpłynąłem do korytarza. Tu mogłem się już wyprostować. Przysłali po nas statek badawczy dalekiego zasięgu. Nie jakąś tam raketkę dla krasnoludków. Rozczulający gest.

Przed wejściem do śluzy stał facet z obsługi lądowiska. Jakby się bali, że

schodząc po drabince pośliznę się i stracę mowę. Miał na sobie nowiutki, błękitny kombinezon i czapkę z przezroczystym daszkiem. Minąłem go bez słowa, przeszedłem kiszkowatą, zbyt obszerną komorę i stanąłem w otwartym włazie. Spojrzałem w niebo. Słońce. Niemal niewidoczne, rozrzucone jakby w zabawie chmury. Ruch ciepłego powietrza na twarzy. Ziemia. Można zrozumieć tych, którym tu się podoba.

Dobiegł mnie głośny szum. Powoli opuściłem głowę. Ułamek sekundy wodziłem osłupiałym wzrokiem po płycie, zanim dotarło do mnie, na co patrzę. Cofnąłem się odruchowo, omal nie przewracając tego błękitnego z obsługi, który zdążył już wyjść i stanąć za mną na trapie. Szum narastał, przechodząc w ciągły grzmot, jakby dalekiej burzy. Zapragnąłem znaleźć się w przestrzeni. Wrócić, zatrasnąć właz i uruchomić dysze startowe. Uciec od tego widoku, jaki przedstawiała w tej chwili wielokilometrowa płyta lądowiska.

Nie mogłem sobie przypomnieć, jak brzmiał ów "meldunek" pantomatu, ale musiało w nim być coś mocnego. Dobre kilka dni chodzili z głowami zadartymi do góry. Coś z zakresu higieny psychicznej. Strach. I to właśnie teraz, kiedy zrealizowali swoje odwieczne marzenia o trwaniu.

- No, idź - usłyszałem głos Cullena.

Ruszyłem. Tłum zafalował. Przebiły pojedyncze okrzyki. Na trasie wieży poruszyły się obiektywy kamer holowizyjnych. Nagle w niebo strzelił wąski snop światła. Chwilę trwał nieruchomo, po czym puścił się w szybki taniec, kreśląc nieregularne figury. Trzydzieści sekund później nad horyzontem zapłonął ogromny napis. Nazwisko, a pod nim: PILOT WSZECHCZASÓW. Poniżej mniejszymi, rozstrzelonymi literami; Witaj.

Siąść i płakać. Lub nasiąknąć durną jak parasol Einsteina. Duma krzepnie w człowieku, kiedy jest sam i nie znosi pompy. Co się tyczy płaczu...

Omaliem nie zjechałem z kilku ostatnich szczebli. Byłby to niezły kąsek dla reporterów. W stylu "swój chłop". W ostatniej chwili udało mi się zapobiec tej pomyłce. Stojący najbliżej rozstąpili się, żeby przepuścić jakiś cudaczny, oklejony barwnymi płytami pojazd. To było przygotowane dla mnie.

Przez następne dwadzieścia minut robiłem różne rzeczy. Jechałem krzyczącym, powiewającym barwnymi szmatkami szpalerem, przystawałem, mówiłem coś, uśmiechałem się, machałem ręką. Mieli wszystko, czego się spodziewali. Kiedy cichli, wyrzucałem z siebie kilka słów, które stojący za mną

Cullen kwitował pełnymi aprobaty pomrukami. Nic dziwnego. Nie ulega wątpliwości, że spodobałem im się. Najślynniejszy toreador nie mógłby mi zarzucić, że uchybiłem któremukolwiek z kanonów gry na popularność.

Ze swej strony dbałem o jedno. Żeby na moment, na ułamek sekundy nie zatrzymać wzroku na jakiejś jednej, wyjętej z tłumu twarzy. Patrzyłem przed siebie, na wszystkich. Nie widziałem nikogo. Uciekałem myślą od tych kilkorga ludzi, którzy z całą pewnością stali tam, poza największymi skupiskami gapiów, i uśmiechali się do mnie. Udało mi się to. Udało się do samego końca.

Wieczorem ze swojego pokoju w gmachu Centrali połączyłem się z ojcem. Jego twarz ukazała się na ekranie jak portret. Czy lepiej rzeźba. Była równie nieruchoma. Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę, zanim udało mi się wydobyć słowo. Szukałem rozpaczliwie w pamięci, ale wszystko, co chciałem powiedzieć, ulotniło się bez śladu.

- To ja pierwszy - bąknąłem wreszcie.

Przymknął na moment powieki. Kiedy się podniosły, jego wzrok pozostał niezmienny. Przebijało z niego zmęczenie. I nic poza tym. Ale to nie mogła być prawda. Znałem go zbyt dobrze.

- Masz nas teraz dwóch - stwierdziłem. Jakby to naprawdę było potrzebne.

W jego oczach zapalił się przelotny błysk. Zbyt krótki, bym mógł mieć pewność.

- Chciałbym wiedzieć - podjąłem po chwili - gdzie on... to znaczy gdzie ja teraz jestem?

Trwało kilkanaście sekund, zanim odpowiedział. Jeśli to była odpowiedź.

- A gdzie ty jesteś?

Nie chciałem tego, ale uśmiechnąłem się.

- U siebie. W Zespole. Póki co, Drugim. A tamten?

- Nie wstąpisz?

- Uważasz, że powinienem? - spytałem. - Chciałbyś tego naprawdę?

Zmarszczył brwi. Nie, żeby się zastanawiał. Był wściekły. Pierwszy raz od bardzo dawna widziałem go takim.

- Nie znam dokładnego adresu - rzucił. Jego głos brzmiał chłodno. - Powiedzą ci w Singapurze. Ośrodek metalurgiczny.

A więc jednak ruda. Mogłem sobie pogratulować. Chociaż, co właściwie miał

zrobić? Po tym wszystkim. Co mógłbym zrobić ja, gdyby to się nie stało?

- Nie wiem - powiedziałem powoli. - Może wpadnę. Ale nie teraz. Mam coś do załatwienia. I nie miej do mnie żalu - dodałem pod wpływem nagłego impulsu. - Nie potrafię inaczej...

Przyjrzał mi się uważnie. Jego twarz tajała powoli. W końcu poruszył głowę, przetarł końcami palców oczy i odetchnął głęboko.

- Tak sądzisz? - mruknął. To nie było pytanie. Mówił wyłącznie do siebie. - Dobrze. Zrób, co masz do zrobienia, i wracaj. Będziemy na ciebie czekać. I jeszcze jedno - dodał spuszczać wzrok. - Uważaj...

Poczułem, że tracę oddech. Najchętniej zatkałbym uszy palcami. Ale tłukła we mnie jakaś nedorzeczna nadzieja, że nie wypowie tych kilku słów, które mogły przesądzić wszystko. Sprawić, że chociaż pozostanie jeden, jak zamierzyłem, ja sam nie będę miał w tym udziału.

Może powinien. Na pewno chciał. Czuł, że to nie koniec. Jeśli prawdą jest, że znałem go dobrze, to on znał mnie lepiej.

A jednak nie powiedział. Ponownie skinął głową, poruszył wargami, jakby usiłował je skłonić do uśmiechu i napotkał opór, po czym bez słowa przerwał połączenie.

Bezkresna zrudziała na jesieni łąka. Idealnie płaska. Powietrze jakby pełne kwiatowego pyłu, ale to tylko promienie słoneczne załamują się w prześwitujących tu i ówdzie spłachetkach wody, zmętniałej i skażonej rozkładem roślinnych szczątków. Przykry widok. Setki tysięcy hektarów oceanów i mórz na wszystkich kontynentach pokrywają hodowle metalurgicznych koncentratorów. Także przemysł chemiczny ma w tym swój udział. Jak tak dalej pójdzie, nie zostawią jednego archipelagu, na którym można by postawić żagle.

Cień maszyny, przesuwający się wolno po kożuchu roślin, lekko zmierzwionym jak zaniedbany trawnik, był ledwo widoczny. Nie śpieszyłem się. Tu nigdzie nie było daleko. Cel podróży i tak osiągnę zbyt wcześnie, kiedykolwiek by się to stało.

Mówiono mi, co tutejsze uprawy wysysają z wody morskiej, ale nie zapamiętałem tego. W każdym razie ruda jakiegoś metalu, odkładana, jak wszędzie, w rozwiniętych do absurdalnych rozmiarów główkach nasion. Koncentratory. Oto, jak można oszukać przyrodę. Coś tak na pozór odpornego na ludzką pasję przekształcania jak rośliny.

Sprawdziłem kurs. Łąd, do którego zmierzałem, leżał na wprost, w odległości nie przekraczającej stu dwudziestu kilometrów. Zabrałem mapy, ale nie musiałem w nie patrzeć. Pamiętałem stożkowaty kształt wysepki i rozległą, lekko pochyloną płaszczyznę hal produkcyjnych, rzuconych bezpośrednio na wodę. Jeszcze godzina, może półtora. Maszyna zwalniała, unosiłem się raczej, niż leciałem nad tą sztuczną łąką, która więziła wzrok jak mury i konstrukcje dawnych fabryk. Liście tych roślinek na dole nie znają wody. Pokarm czerpią wyłącznie z oceanu. Koncentratory muszą być suche, nad uprawami bardzo rzadko pojawiają się chmury. Deszcz nie pada nigdy. Przykry widok.

Zmieniłem położenie fotela i spojrzałem prosto przed siebie, gdzie poszarzały kożuch roślinności łączył się z nie mniej szarym niebem. Co nie znaczy, że myślałem o chwili, kiedy osiągnę ten punkt. Nie myślałem o niczym.

Maszyna zakotłosała. Wiatr. Niezbyt silny, ale najmniejszy nawet ruch był czymś niezwykłym w tym martwym krajobrazie, na moment bodaj pozwalając o nim zapomnieć. Wyrównałem stery i nagle ujrzałem wyłaniający się zza widnokregu błądy zarys wyspy. Dobijałem do celu.

Lądowisko leżało pośrodku rozbiegających się promieniście torów sygnalizacyjnych. Jego okrągła, pomalowana na biało platforma przypominała starożytne wyobrażenia Słońca. Z czasów, kiedy oddawano mu cześć boską.

Zatoczyłem ciasny łuk i poszedłem pionowo w dół, celując w punkt przy samej krawędzi płyty. Była bliżej, niż przypuszczałem, wzrok okazywał się tutaj zawodny. Nie patrzyłem na wskazania przyrządów. Siadłem ciężko, niemal nie manewrując. Amortyzatory dobiły głucho, silnik przerwał na moment, zaskoczył znowu, po czym zgasł z cichym miauknięciem, schodząc w najniższe rejestry gamy. Osłony kabiny zapadły bezgłośnie w głąb kadłuba. Uderzyła mnie cisza. Tu na dole powietrze było nieruchome. Nie poczułem nawet śladu powiewu, jaki powinien powstać przy lądowaniu. Rozpalona od słońca płyta lotniska promieniała zarem. Dzień będzie upalny.

Dłuższą chwilę siedziałem bez ruchu, patrząc prosto przed siebie. Jakby ten, do którego przybyłem, miał za moment wyjść z płaskiej, kremowej hali przylegającej do lądowiska i pomachać mi na przywitanie.

Nikt nie wyjdzie. W hali zastanę jeden lub dwa maty, z wszystkimi informacjami, jakich może potrzebować człowiek zjawiający się na terenach przemysłowych. Jeśli na całym obszarze upraw pracuje pięć osób, to wszystko. Tu w każdym razie nie ma nikogo.

Przerzuciłem nogi przez poręcz i zeskoczyłem na płytę. Zadudniła głucho. Trzy, cztery metry niżej leżała powierzchnia morza. Równie martwa i nieruchoma! jak w promieniu dziesiątków kilometrów pod płaszczem roślin. Powietrze z minuty na minutę stawało się bardziej gorące, suche i ciężkie. Rozejrzałem się i zrzuciłem kombinezon. Wydostałem z kabiny spodenki kąpielowe i czapkę z długim, jakby okopconym daszkiem, zmieniającym barwę w zależności od oświetlenia. Nie poczułem się lepiej, ale przynajmniej skórze pozwoliłem swobodnie odetchnąć. Skoro już do płuc wciągam tylko kłęby rozgrzanego kurzu.

Płaszczyna sztucznej wyspy otaczała półpierścieniem ląd, bardziej płaski, aniżeli wynikało z mapy. Wierzchołki porośniętych zbitą roślinnością wzgórz zaledwie wystawały spoza anten wieńczących zabudowania. Za halą wybiegał w morze szeroki pomost, czy raczej droga, wzdłuż której ciągnęły się bliźniaczo podobne do siebie ażurowe konstrukcje. Tam go znajdę. Jeśli, oczywiście, nie wezwano go akurat do Singapuru. Albo nie wybrał się na ryby.

Szedłem powoli przez płytę, mrużąc rażone słonecznym blaskiem oczy. Buty ciążyły mi nieznośnie, ale nie odważyłbym się dotknąć bosą stopą tej jedynej w swoim rodzaju patelni. Pomyślałem o pantomacie i jego pancerzu. Nie. Nigdy nie potrafię sprecyzować, co wtedy czułem. Rok temu.

Tak, to już rok. Cała ta historia stała się nierzeczywista, jakbym kiedyś bardzo dawno czytał taką książkę i zabawiał się potem dowolnym uzupełnieniem jej fabuły. Nie potrafię powiedzieć, co zdarzyło się naprawdę, a co było tworem mojej własnej wyobraźni. Tak jak wszystko, co nastąpiło później. Do pewnego momentu.

Przyspieszyłem. Hala rosła przede mną, za przezroczystą ścianą stały widoczne puste sale, korytarze, otwarte na oścież drzwi i pulsujące rytmicznie gardziele klimatyzatorów. Nieźle byłoby wejść do środka, znaleźć jakąś zaciszną niszę, rozsiaść się wygodnie i pomyśleć, co dalej. Pod warunkiem, że jest coś do wymyślenia.

Z lewej wysoka na pięć, sześć metrów ściana biegła prostym, ślepym murem niemal do przeciwległego krańca platformy. Na prawo od wejścia, znacznie bliżej, urywała się nad brzegiem morza. Już chwilę temu wypatrzyłem przyklejony do niej, zawieszony nad wodą, wąski jak kładka pomost. Skierowałem się w jego stronę. Wszedłem po kilku blaszanych schodkach i znalazłem się w cieniu. Poczułem na twarzy ruch powietrza, przez plecy przebiegł mi przyjemny dreszczyk. Przystanąłem i spojrzałem w dół. Półtora metra niżej ścielił się zbity płaszcz drobniutkich roślin, z których każda dźwigała czerwoną główkę wielkości kurzego jaja. Z bliska wyglądało to zabawnie. Pod warunkiem, że patrzyło się pionowo w dół, nie sięgając wzrokiem do krańców otaczającej wyspę przestrzeni oceanu. Wtedy te roślinki stawały się na powrót obce. Było w tym widoku coś okrutnego.

Wyprostowałem się i szybkim krokiem ruszyłem dalej. Zza załomu ściany wynurzyła się budowla, przypominająca monstrualnie wielki silos. Zbiornik gotowej rudy. Było ich więcej. Do skrajnego, leżącego najbliżej morza wbiegały płaskie tasiemki transporterów.

Poniżej piętrzyły się wsparte na stalowych zastrzałach konstrukcje destylatorów i chłodni. W równych odstępach czerniały opatrzone żółtymi tabliczkami węzły energetyczne. Ciche mlaskanie eskalatorów mieszało się z dalekim buczeniem pomp i rytmicznym stukotem dobiegającym z wnętrza agregatów. Życie metalurgicznego kolosa płynęło zwykłym trybem. Życie to nie najlepsze słowo. W zasięgu wzroku śladu żywej istoty, jeśli nie liczyć oszukanych roślin.



Przestrzeń za halą przypominała osnowę rozpiętą na staroświeckim warsztacie tkackim. Tysiące, może dziesiątki tysięcy kolorowych kabli, światłowodów i transporterów zbiegło się promieniście w miejscu, z którego brał początek pomost produkcyjny. Musiałem iść samym skrajem platformy, uważając, by nie stracić równowagi i nie znaleźć się w objęciach koncentratorów. Nawet jeśli nie można się w tym utopić, trudno o mniej sympatyczną kąpiel. Nie była to droga przeznaczona dla ludzi, zaszedłem jednak za daleko, żeby się cofać. Gdzieniedzie przesłakiwałem metrowej grubości rury, załamujące się ciasnymi łukami i znikające w przybrzeżnym gąszczu. Za którymś razem omal nie wylądowałem w wodzie. Zatrzymałem się centymetr nad krawędzią i czekałem, aż odzyskam oddech.

Brzeg sztucznego lądu był tu wcięty, w dół schodziły proste blaszane stopnie. Półtora metra niżej widniała podługowata platforma, jakby położona bezpośrednio na roślinnym płaszczu. Opisywała półkole i łączyła się z właściwym pomostem w jego najwęższym odcinku. Ta pomocnicza kładka tonęła w półmroku, płyta i zbudowane na niej konstrukcje rzucały głęboki cień. Tylko gdzieniedzie zdobiła ją wycinanka słonecznych prześwitów.

Zszedłem dwa stopnie niżej i zatrzymałem się. U końca kładki, w miejscu, gdzie cień był najgłębszy, zauważyłem jakiś ruch. Wstrzymałem oddech. Moim pierwszym odruchem było przypaść do schodów, ukryć się. Zdobyć choć minutę, żeby pomyśleć. Teraz. Jakbym dotychczas nie robił wszystkiego, żeby nie dopuścić do siebie nie myśli nawet, ale jednego przelotnego napomknienia, ku czemu zmierzam.

Potrzymało mnie tak chwilę. Dość, żeby człowiek ukryty dotąd pod wspornikiem, odwrócił głowę i spostrzegł mnie stojącego bez ruchu. Widziałem go coraz wyraźniej. Wzrok przyzwyczajal się powoli do zmienionego oświetlenia.

To był on. On? Mniejsza z tym. Mniejsza o zaimki.

Wyprostował się powoli i zrobił krok w moją stronę. Na sekundę słońce oświeciło jego twarz. Błysnęła bielą i znikła za granicą cienia. Znieruchomiał ponownie. Dzieliło nas jeszcze kilkanaście metrów kładki. Z lewej, wysoko, krawędź sztucznej wyspy. Na prawo, tuż pod nogami, biegnący ku widnokręgowi gąszcz głowiastych roślin. W głębi, poprzez mosty i kratownice konstrukcji, mającą zarysy wzgórz.

Szedł teraz, nie śpiesząc się, odmierzoną krokiem jak w czasie marszu przez góry. Zawsze tak chodziłem. I te ruchy ramion, jakby torował sobie drogę w gęstym poszyciu.

Był blisko. Coraz bliżej. Widziałem już tęczęwki jego oczu. Kości skroni mocno zarysowane, kapkę zbyt wysokie czoło, wydatny nos, któremu od dziecka miałem sporo do zarzucenia. Lekko wydęte wargi, broda ucięta równo jak nożem nieco poniżej miejsca, gdzie stawała się zbyt uczona. Twarz człowieka, który wie, czego chce. Ale byłem ostatnim, kogo mógł znieść ten jej wyraz.

Doszedł wreszcie i zatrzymał się. Postawił nogę na pierwszym stopniu, pochylił się i oparł obiema dłońmi na kolanie. Potem dopiero uniósł głowę i przyjrzał mi się. Zrobiłbym to kubek w kubek tak samo. I tak samo nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Mijały sekundy. Z sekund robiły się minuty. Każdy mimowolny świadek tej sceny zapamiętałby ją do końca życia. Powiedzmy, na długo. Do końca życia to teraz nic nie znaczy.

Gdyby się wspiał na palce, mógł chwycić mnie za nogę. Nie poruszyłem się z tego trzeciego czy czwartego stopnia poniżej powierzchni płyty. Patrzyłem na niego, jakbym przyglądał się własnemu odbiciu w nisko położonym lustrze wody. Ale to nie było odbicie. To byłem ja.

- No? - rzucił wreszcie. Głos. Nie wziąłem pod uwagę głosu. Będzie trudniej, niż mogłem przypuszczać.

Milczałem. Nie przyszedłem mówić. Trudno, żeby o tym nie wiedział.

Zdjął nogę ze stopnia, wyprostował się i niedbałym ruchem ulokował ręce w kieszeniach spodni. Miał na sobie cienki roboczy kombinezon, niegdyś biały. Jego oczy znalazły się na wysokości moich kolan. I nie patrzył wyżej.

- No? - powtórzył już innym tonem. Jakby z czegoś zrezygnował. Albo pojął, że zamysł, jaki przez chwilę rozważał, prowadzi donikąd.

Poczułem, że tracę równowagę. Zawirowało mi w oczach. Zachwiałem się i musiałem zejść stopień niżej, żeby nie polecieć do przodu. Upał - przebiegło mi przez myśl. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i nagle ogarnął mnie spokój. Moje mięśnie zwiotczały. Uprawy, pomost, konstrukcje, całe otoczenie i on sam, wszystko to zbiegło się do normalnych wymiarów.

- Tak - mruknąłem. - Tak to wygląda...

Dopiero, kiedy usłyszałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że wypowiedziałem je na głos.

Obejrzał się. Pożałował czegoś, co zostawił na górnym pomoście. Może o czymś zapomniał.

- Masz robotę? - spytałem. - Nie przeszkadzaj sobie.

Ponownie odwrócił głowę i zmierzył mnie spojrzeniem od butów do czubka głowy. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Nie wyrażała nic.

- Właśnie czekałem na zaproszenie - burknął. - Ładnie, że o tym pomyślałeś...

Też bym tak powiedział. Jota w jotę to samo.

Zszedłem dwa stopnie niżej, obejrzałem się i usiadłem. Wyprostowałem nogi lokując je blisko krawędzi, żeby zostawić przejście. Na wypadek gdyby chciał usiąść mi na kolanach. Oparłem się na łokciach i zapatrzyłem.

Tu, na dole, umilkło nawet buczenie i postukiwanie zespołów produkcyjnych. Jest ciepło i cicho. Powietrze nagrzane jak nad prawdziwą łąką, zbiegającą ku rzece. Ale czegoś brak. Coś sprawia, że w tej ciszy narasta osobliwe napięcie. Nawet groźba.

Już wiem. Owady. Nie ma owadów. Nie ma tego wszechobecnego brzęczenia skrzydeł, bez którego nie może się obejść żadna prawdziwa łąka. I które ciszę napędza spokojem.

- Masz zamiar tu zostać? - dobiegł mnie jego głos.

Czy mam zamiar? Nie mam żadnego zamiaru. Tak, jakby nie wiedział. Ta kpiąca nutka w jego tonie to złudzenie. Autosugestia.

Wzruszył ramionami, rozejrzał się leniwie, po czym usiadł kilka stopni niżej, bokiem do mnie. Nie musiało mu być zbyt wygodnie. Szerokość blaszanych płytek nie przekraczała dwudziestu centymetrów. Ale sprawiał wrażenie, jakby ta pozycja spełniała akurat to, czego od niej oczekiwał. Potrząsnął głową i przygładził włosy. Spadały mu nisko na kark. Były długie. Inaczej niż moje. To znaczy nigdy przedtem ich nie zapuszczałem. Może dlatego mógł tu chodzić bez czapki.

Upał. Musiałem podciągnąć nogi, krawędzie nagrzanego stopni parzyły w łydki jak płomień. Dziwne, że poczułem to dopiero teraz. W zbitym płaszczu roślin nie lśni bodaj kropla wody. A przecież to ocean. Prawdziwy ocean, nie żadna zatoka czy inny atol.

- A gdyby? - powiedziałem z udanym namysłem. - Gdybym, chciał zostać? Zamieniłbyś się?

Zesztywniał. Przez chwilę myślałem, że wstanie, ale wyprostował się tylko. Przymrużył oczy. Pozostały z nich wąskie szparki. Tak to wygląda. Jeszcze jedno rozczarowanie.

- To było świństwo - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Oczywiście wiesz o tym. Przyjechałeś. Myślę, że potrzebowałeś tego, żeby usłyszeć to także ode mnie. No

to słuchaj. Przez myśl mi nie przeszło, żeby cię szukać. Ale skoro już jesteś, mogę ci wyświadczyć tę grzeczność i oznajmić, że to było świństwo. Sądzę poza tym - uniósł brwi, posyłając mi z dołu krótkie spojrzenie - że to już wszystko, czym mogę ci służyć. Na twoim miejscu pomyślałbym o powrocie.

- Chcesz mnie odprowadzić? - spytałem zimno.

Milczał chwilę. Wreszcie skinął głową.

- Dobrze - burknął. Wstał, przeciągnął się i zaczerpnął powietrza. Podniosłem się również. Omiotłem wzrokiem otoczenie, zatrzymując się chwilę na widocznych w dali zarysach łądu.

- Tam mieszkasz? - spytałem.

Poszedł za moim spojrzeniem. Jego twarz stężała.

- Tam - warknął.

- Jesteś sam?

Byłem zaskoczony, jak gładko mi poszło. On też.

- A więc po to przyjechałeś - wybuchnął. - Mogłem się być domyślić. Nie krepuj się. Co chcesz wiedzieć? A może już wiesz? Tak, jest tutaj. Zaraz ją zawołam. Zrobimy jej niespodziankę.

Przed oczami stanął mi nagle obraz z mojego snu. Omal się nie uśmiechnąłem.

- Nie będziemy chyba mówić sobie po imieniu - powiedziałem, pozornie od rzeczy.

To go zastanowiło. Przyjrzał mi się inaczej niż dotychczas. Jego wzrok odrobinę złagodniał. Ale tylko odrobinę. Skórę na szczękach miał dalej jak nadmuchaną. Nie znosiłem tego u siebie.

- Nie po to przyjechałem - mówiłem, ważąc słowa. - W ogóle po nic. Nie udawaj, że nie wiesz. Te kwestie możesz wykreślić. Chyba że - zawiesiłem głos i odczekałem chwilę, po czym dokończyłem półgłosem - tym razem ty tego potrzebujesz. Jeśli tak, służę. Nie żałuj sobie.

Odwrociłem się i wyszedłszy na płytę, zacząłem iść w stronę hali. Po kilkunastu sekundach usłyszałem za sobą kroki. Oczywiście. Miał mnie odprowadzić.

Są razem. Nieźle im się przysłużyłem. Co do niej, nie mogłem mieć pewności. Może doszła do wniosku, że tak jest lepiej? Albo przyjęła to po prostu, jak za pierwszym razem, bez roztrząsania i dzielenia włosa na czworo. One to czasem potrafią. Co innego jeśli chodzi o niego. Ten może o sobie powiedzieć, że dostał szkołę. I bierze ją w dalszym ciągu. Jego oczy, kiedy spytałem, czy jest sam. A

przecież zrobiłem to bez żadnej myśli, najzupełniej niespodziewanie dla samego siebie. Nie chodziło mi o nic. Poza, być może, jednym: otarciem się o granicę pewnego kręgu w mojej pamięci. Jeśli to miała być próba, wypadła nieźle. Nie poczułem nic. I nagle zdałem sobie sprawę, że tego jednego on nie pojmie nigdy. Że przy wszystkim, co nas łączy, ta jedna jedyna sprawa legła murem między mną a nim, tworząc z nas odrębnych ludzi. Jeśli już sięgać do wielkich słów. Ale tak było naprawdę.

Są razem. Poczuję lekkie ukłucie w sercu. Fina? Wzruszyłem ramionami. Poświęciłem zbyt wiele, żeby zapomnieć, aby teraz wracać chociażby przelotnym, nieświadomym do końca wspomnieniem. Od początku sprawa była przesądzona, nawet przed obejrzeniem przygód tego fireyka z reklamówki. Nonsens.

Nonsens, tak. Ale nie dla tego, którego kroki słyszę teraz za sobą, a który myślał nie podobnie jak ja, ale tak samo. Zabawne. Minał niecały rok, a już nie rozumiem siebie samego, który opuścił część własnej świadomości. Nie własnej. Mojej. O to chodzi. Zajął się czym innym. Nie był osławionym bohaterem, "pilotem wszechczasów", ale wziął sobie ożywioną czy raczej wyhodowaną powtórnie dziewczynę, którą kochaliśmy kiedyś. To znaczy kochał. Do licha z tymi liczbami, mnogą i pojedynczą.

- Zrobili ci nowy zapis? - rzuciłem, nie oglądając się. - Jak to się nazywa? Aktualizacja, prawda?

Usłyszałem jego oddech. Zbliżył się. Szedłem coraz wolniej.

- Nie - mruknął. - Nie dzieje się tu nic, co koniecznie musiałbym zapamiętać. Bez czego przestałbym być sobą. Nie to co ty - w jego głosie zabrzmiała kpina.

- To dobrze - powiedziałem.

Przemilczał to. Nie mruknął nawet. A przecież miał prawo pomyśleć. Nawet powinien.

Ostatnie metry przylepionej do hali galeryjki. Jeszcze kilka kroków i stanąłem na zalanej słońcem płycie lotniska. Jak okiem sięgnąć bezchmurne niebo, zmatowiałe i zrudziałe. Platforma wyspy, a także czekająca kilkadziesiąt metrów dalej moja maszyna wyglądają jak pociągnięte białą, fosforyzującą farbą. Upał jakby zelżał. A może przyzwyczajałem się po prostu.

Ten skurcz w okolicy serca, kiedy powiedział, że są razem. Coś, czego dotychczas nie zaznałem. Jakby przyptyw irracjonalnego żalu. Takiego bez oglądania się za siebie.

Dziecinada. Jak przez mgłę przypominałem sobie, o czym myślałem zamknięty w gigantycznym kokonie pantomatu. Kiedy stałem przed drzwiami ośrodka dyspozycyjnego, słysząc niemal wokół siebie bieg przetwarzanych, gromadzonych i ekspediowanych w kosmos informacji. Uderzyło mnie wówczas, że argumenty, których użyłem w dialogu z Grenianem, tkwią w określonym klimacie i że to jest ten sam klimat, jaki odnalazłem tam, wewnątrz. Mogło to dowodzić ich racji. Musiało tak być, biorąc na zdrowy rozum. A jednak temu właśnie przede wszystkim, jeśli nie jedynie temu, przeczyło to bezsensowne ukłucie w sercu, które przed chwilą na moment wytrąciło mnie z równowagi. Żaden człowiek nie wchodził w grę. Tego byłem pewny. Nawet ten, którego oddech czułem już niemal na karku.

Wydłużyłem krok. Jeszcze kilkanaście metrów i znalazłem się w cieniu padającym od maszyny.

Stanąłem i odwróciłem się. Poczekalem, aż podejdzie, po czym uśmiechnąłem się.

- Pokażesz mi wyspę? - zaproponowałem, wskazując głową kabinę.

Pomyślał chwilę. Niezbyt długo. W końcu odpowiedział uśmiechem. Jego twarz stała się przy tym niemal obca. Nie znałem jej takiej. Powinienem to robić możliwie rzadko. A najlepiej wcale.

Minął mnie bez słowa, po czym opierając prawą rękę na progu, jednym wyrzutem ciała znalazł się w kabinie. Stałem bez ruchu patrząc, jak lokuje się w tylnym fotelu. Szło więcej niż gładko. Robił, co chciałem, jak dobrze wychowany uczeń. Mniejsza, czy wiedział, czy nie. Teraz to już naprawdę bez znaczenia. Skoro mam go tutaj, w kabinie, zaraz za fotelem pilota.

Zająłem swoje miejsce i zapuściłem silnik. Zaskoczył od razu. Powierzchnią płyty niosło się delikatne granie. Zwiększyłem obroty i pchnąłem stery. Maszyną targnęło raz i drugi-

- Uważaj - burknął. - To nie rakietą. Zapomniałeś już, jak latają zwykli - zawahał się - ludzie...

- Chciałeś powiedzieć "śmiertelnicy"? - uśmiechnąłem się.

Byliśmy już na wysokości trzydziestu metrów. Przełożyłem stery i wziąłem kurs na wyspę. Pod nami rozścielało się morze przykryte rudawą roślinnością. Wyspa rosła w oczach.

- Co do tego, czy to było świństwo - powiedziałem starannie akcentując słowa - pozwolę sobie zauważyć, że wtedy nie było nas jeszcze dwóch. Sam wszystko

zaplanowałaś. Dziwne, że muszę o tym mówić. A może tak daleko odszedłeś od tamtych czasów, że wydaje ci się to niemożliwe?

- Mniejsza z tym - burknął, odczekawszy kilka sekund. - Świństwo pozostaje świństwem. A czy odszedłem i jak daleko, możesz się kiedyś przekonać...

W jego głosie zabrzmiała nutka groźby. Chociaż nie. Raczej ostrzeżenia.

- Ostatnio ciągle spotykają mnie niespodzianki - powiedziałem lekkim tonem.  
- A co jedna, to zabawniejsza. Ty też masz coś dla mnie?

Zaśmiał się. Nie był to wesoły śmiech. Ani miły. Odniosłem nagle wrażenie, że ja zaśmiałbym się inaczej. Idiotyczne.

- Poczekaj cierpliwie - mruknął. - Coś chyba wymyślimy... - zaakcentował to ostatnie słowo. Jakby chciał podkreślić, że w pojedynkę nie wskóramy niczego. Przynajmniej niczego, co zasługiwało na wzmiankę.

Wyspa pociemniała. Jej wzgórza stały się zielone, widać już było korony luźno stojących drzew. W jednej z dolin zamajaczyły mi przez chwilę kolorowe dachy.

- A propos niespodzianek, rzuciłem, zwiększając obroty silnika - zrobiłem im kawał. Norinowi, Cullenowi, wszystkim. Wykradłem z magazynu na Bruno mój genofor i zapis osobowości. Jeśli się nie mylę, powinny teraz wchodzić na orbitę Neptuna. Dałem im dobre przyśpieszenie, wyrzucając z rakiety. Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy pociągnąć rzecz dalej. Ty jesteś z pierwszego zapisu, zdjętego po powrocie z Europy. Oczywiście u nas w domu jest jego powtórka, wykonana... no, po tym pożegnaniu na starym lotnisku. I nie ma w tej chwili innego słoiczka, z którego moglibyśmy się odrodzić, ty czy ja. Rozumiesz? Pomyśl chwilę. Hodowca koncentratorów i pilot wszechczasów wracają nagle do jednej postaci, sprzed roku. Stają się na powrót facetem z Zespołu, którego ściągnięto na Ziemię, żeby go poddać "operacji wieczność". Nie sądzisz, że tego nie da się już schować pod pierzynę? Że za dużo ludzi wie o tej całej hecy z pantomatem? Co ty na to?

- Nie - rzucił twardo. - Kawał nie byłby nawet głupi. Po prostu żaden. Poza tym - dodał - znowu myślisz o sobie. Tylko o sobie...

- Mylisz się - powiedziałem spokojnie. - Nie tylko. Myślę także o tobie. Jakim byłeś.

- Już nie jestem tym, o którym możesz wiedzieć wszystko - parsknął. - Jeśli wiedziałeś kiedykolwiek. Co do mnie, mam na ten temat wyrobione zdanie...

- Zmieniłeś się - ogarnęła mnie nagle zimna wściekłość. - Stałeś się lepszy -

warknąłem. - Zapominasz, że istniejesz tylko dlatego, bo chciałem, żebyś istniał. Dla kawału, rozumiesz? Jesteś dowcipem. Żarcikiem. Możesz sobie mówić, że głupim. Jeśli ma ci to w czymś pomóc. Ale niczego nie zmienisz.

- Nie ty - wycedził - nie ty, braciszku... - jego krtań była zaciśnięta, z trudem zmuszał ją do wydawania głosu. - To byliśmy my - rzucił twardo. - I nie mylisz się, że zmądrzeliśmy od tego czasu. Ale tylko w połowie...

Zaśmiałem się. Jednym szarpnięciem podciągnąłem rączkę obrotów do oporu. Ściany kabiny zadrżały. Maszyna wyrwała do przodu jak wystrzelona. Śmiałem się cały czas. Sekundę, może półtorej szedłem skośnie w górę, po czym błyskawicznie odepchnąłem stery na całą długość ramion. Silnik zawył. Zaparłem się nogami, żeby nie polecieć twarzą na przednią szybę, która znalazła się bezpośrednio przede mną. Nie trwało to wszystko więcej niż dwie sekundy, zdążył jednak pochwycić mnie obiema dłońmi za ramiona. Poczułem, że jego palce wpijają mi się w ciało i wiedziałem, że nic już nie może zrobić. W ostatniej chwili ujrzałem lecącą na mnie z potworną szybkością rudozielonkawą ścianę oceanu. Jedno uderzenie, jeden jedyny cios jak błysk jądrowego wybuchu, ból, na który czekałem, nie nastąpił, nie nastąpiło już nic. Do ostatniego ułamka sekundy w kabinie panowało milczenie. Jeśli nie liczyć mojego śmiechu.

Stałem na dnie ogromnego gazowego leja, wirującego leniwie i pełnego światła. Jego ściany układały się z poziomych segmentów i za każdym obrotem zmieniały barwę. Poczułem nieznośny ucisk pod czaszką, jakby cały ten gigantyczny stożek wgniał mnie z nieubłaganą siłą w podłogę. Nie była to ziemia, nic stałego, zaczynałem się dusić, ale nie mogłem otworzyć ust, żeby zaczerpnąć powietrza. Byłem nagi, czułem to, chociaż nie doznawałem chłodu, nie miałem nawet kasku, który w tej atmosferze musiał być niezbędny. Zdobyłem się na nadludzki wysiłek i krzyknąłem, ale nie usłyszałem własnego głosu. Kręgi nade mną jakby przyspieszyły. Ich blask odbierał mi zdolność myślenia, ból w oczach stawał się nie do wytrzymania. Powoli, jakbym unosił stukilowy ciężar, sięgnąłem ręką do powiek. Były zamknięte. Zdumiony, otworzyłem je palcami i nagle cała ta świetlista karuzela zapadła wraz ze mną w ciemność. Pozostał jeszcze jakiś nikły, czerwony odbłask gdzieś bardzo daleko, ale tym się nie przejmowałem. Poszukałem wokół siebie. Moje palce namacały elastyczną powłokę, uchwyty, poręcze. Fotel. Siedziałem w fotelu. To stanowczo więcej, niż mogłem marzyć.



Ból w czaszce ustępował powoli. Zamknąłem oczy i odczekałem chwilę. Wiedziałem, że coś muszę zrobić. Dociec, o co tutaj chodzi i czy mogę jakoś zapobiec, jeśli sprawa będzie się przedłużać. Zaciśnąłem pięści i próbowałem zebrać myśli. Nic z tego. Zadanie przekraczało moje siły. Przesiedziałem jeszcze kilkanaście sekund, równie dobrze mogły to być minuty, po czym spróbowałem wstać. Poszło nadspodziewanie łatwo. I nagle przypomniałem sobie. Jestem na Bruno, w gabinecie diagnostycznym. Przyglądam się technikom. Jest ich dwóch, nie tak jak za pierwszym razem w Centrali.

Tak, ale to tutaj nie jest gabinetem diagnostycznym ani żadnym innym. Czyli, że tamci skończyli. W takim razie powinienem... nie, nie pamiętam. Niczego nie powinienem. Jeśli, to tkwić w fotelu i czekać, aż zdejmą mi ten idiotyczny zapis.

Poczułem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Zapis. To słowo poruszyło mnie bardziej, niż powinno. Nie ma się co łudzić. Jeśli nie jestem w gabinecie diagnostycznym, to może znaczyć tylko jedno. Nie udało się.

Pamiętałem już wszystko. Niemal wszystko. Rozwaliłem pantomat, wróciłem i od kilku dni myślałem, co dalej. Rozmawiałem z Norinem i Grenianem. Postanowiłem, że złożę wizytę w skarbcu genoforów.

Na tym film się urywa. Jeśli jestem tutaj, w miejscu niepodobnym do niczego, to znaczy, że nie zdążyłem z tą wizytą. Albo że się nie udało. Mniejsza z tym. Nie udało się - to właściwe określenie. Tak czy inaczej.

Oprzytomniałem. Wyprostowałem się i przejechałem palcami obu rąk po twarzy. Była w porządku. Spojrzałem w stronę, gdzie po zniknięciu tego wirującego leja pozostał świetlisty ślad. Był tam nadal. Przekształcił się w duże, płonące pomarańczowo litery: "Wyjście".

Sztywno wyprostowany ruszyłem przed siebie. Drzwi ustąpiły przy lekkim dotyku. Wszedłem do jasno oświetlonego pomieszczenia, przypominającego wnętrze szafy. Moje oczy odwykły od blasku, kiedy mogłem je otworzyć, ujrzałem, że na ścianie wisi zwykłe, prostokątne lustro, a obok niego, na stalowym haczyku, roboczy skafander. Zdjąłem go stamtąd i przymierzyłem. W sam raz. Oczywiście. Pomyśleli o wszystkim. Mają to poukładane i opracowane w drobiazgach.

Nie spojrzałem nawet do lustra. Włożyłem kombinezon, wygładziłem go starannie i otworzyłem drzwi. Tak, to Bruno. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek byłem w tym pokoju, ale rysunek iluminatorów, wykładzina ścian i charakterystyczne załamania konstrukcji nie pozostawiały wątpliwości.

No, a przede wszystkim oni. Grenian, Norin, Mitti, jeszcze dwóch innych. I ci sami dwaj technicy, którzy mnie maglowali w sąsiednim gabinecie. Kiedy to było? Wczoraj? Tydzień temu? Mniejsza z tym.

Umilkli na mój widok. Przerwałem im. Właśnie skończyli pracę. Ich ręce leżały jeszcze na pulpitych pod rozjaśnionymi ekranami. Przyglądali się, jak przychodziłem na świat. Transmisja z sali porodowej. Pouczające.

Zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi, widniejących w przeciwległej ścianie i przystanąłem. Przyjrzałem im się, przenosząc powoli wzrok z jednego na drugiego.

- No i macie mnie - wychrypiałem. Chwilę musiałem walczyć o zacerpnięcie tchu, tłumiąc ataki kaszlu. Z mojego gardła wyparowała wilgoć jak z rozpalonego rondla. Rozglądałem się, szukając kranu. Wtedy jeden z techników wstał, podszedł do zasobnika pod ścianą, napełnił kubek i podał mi go. To nie była woda. Jakiś lekko musujący płyn, kwaśnawy i bez smaku. Wypiłem i poczułem się lepiej. O tyle, że mogłem postać jeszcze chwilę i poczekać, co będą mieli do powiedzenia. Nie mówili nic. Utkwiłem wzrok w Norinie. Pomyliłem się. Uciekł z oczami, przełknął ślinę, przy czym jego grdyka wykonała dwa szybkie podskoki, ale milczał nadal. Proszę. Nawet on.

Oddałem technikowi kubek i rozejrzałem się. Nie, nie byłem tu nigdy. Może dawniej, jako stażysta, ale wtedy z całą pewnością ta kabina wyglądała inaczej. "Pomieszczenia rehabilitacyjne" nikomu się jeszcze nie śniły.

Teraz była to pracownia. Prawie całe półkoliste wnętrze wypełniała aparatura. Stąd śledzili proces "oddziaływania na białka". Tu przynosili swoje słoiczki, kiedy oryginałom zdarzyła się nieodwracalna przykrość. A więc tak to wygląda.

Przez chwilę wodziłem spojrzeniem od jednego pulpitu do drugiego. Były takie jak wszędzie. Jeszcze jeden blok informatyczny, może odrobinę bardziej rozbudowany. Przeznaczenia niektórych przystawek nie próbowałem nawet odgadnąć. Nie było mi to do niczego potrzebne, a poza tym wolałem nie wiedzieć. Przynajmniej w tej chwili.

Ciekawe, czy wszystkie obiekty pozaziemskie wyposażyli w podobne zestawy. Raczej nie. Stacja na Bruno stanowiła centralę dla pewnego obszaru Drugiego Pasa. Tak czy owak nie myliłem się wtedy. Mogli zrobić to tutaj. Odmówili wyłącznie ze względu na okoliczności. Bo sam tego chciałem. W związku z Fina.

Przeciwległe drzwi otworzyły się nagle na całą szerokość. Obecni drgnęli i pośpiesznie zwrócili głowy w tamtą stronę. Norin wstał, niezgrabnie odsuwając fotel.

Z półmroku korytarza wyłoniła się sylwetka mężczyzny w roboczym kombinezonie.

Takim samym jak mój. Był mojego wzrostu i mojej budowy ciała. Twarz jak moja. Źle powiedziałem. Moja po prostu.

Przebiegło mi przez myśl, że to trzeci. Że coś poknociłem, nie uwzględniłem jakiegoś czynnika, o czymś zapomniałem. Dałbym teraz nie wiem co, żeby wiedzieć, co się zdarzyło, od kiedy wyszedłem z gabinetu diagnostycznego. Ale tego właśnie nie dojdę nigdy. Po prostu nie było mnie wtedy. A raczej to teraz nie istniał już tamten ja, który spędził ten okres wśród żywych. Wariactwo.

Spostrzegł mnie, przeszedł jeszcze dwa kroki i stanął. Jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

- Nie udało się, Dan - powiedział przeciągając sylaby.

Gdzie ja to słyszałem? Nigdzie. Sam to pomyślałem, kilka minut temu. Ale przypomniałem sobie co innego. Ustaliliśmy z nim, że nie będziemy mówić sobie po imieniu. Kiedy to było? Przez moment zaświtała mi idiotyczna nadzieja, że odzyskałem wiedzę o czasie, kiedy nie istniałem. Bzdury. To był sen. Nic więcej. I to grubo wcześniej, zanim trafiłem do pewnego gabinetu, tu na tej stacji.

- Nie udało się - mruknąłem. - Oto właściwe słowo. Jeśli jednak masz na myśli coś, o czym nie wiem, bądź łaskaw poczekać - dodałem. - W końcu możesz się mylić.

- Nie tym razem - burknął. Uśmiech znikł z jego twarzy. Tak było lepiej. - To ty się pomyliłeś - ciągnął ponuro. - Zabrałeś nie ten słoiczek, co należało. Wykiwali cię. Jest tutaj dziewczyna... ale o tym wszystkim rzeczywiście nie możesz wiedzieć - zaśmiał się krótko. - No, nic. Opowiedzą ci. Dowiesz się ciekawych rzeczy. Ja mam to już za sobą. W ogóle zabrali się do mnie wcześniej. Ziemia, rozumiesz. Ty byłeś dalej. No więc za chwilę będziesz wiedział. A jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci na myśl powtórzyć tę zabawę, to... - urwał. Nie było to powiedziane ot, tak sobie. Za dobrze znałem ten głos.

Odwrócił się do mnie tyłem. Lewą nogę wysunął pół kroku do przodu, ręce położył na biodrach i pochylił się, jakby miał zamiar skoczyć. Chwilę patrzył na nich, po czym nagle wyprostował się, posłał mi kosę spojrzenie i ruszył ku wciąż jeszcze otwartym drzwiom. Nie dochodząc do nich przystanął, obejrzał się ponownie i zachichotał cichym, urwanym śmiechem.

- No to nas macie - powiedział. - Mnie i jego. Co zresztą wychodzi na jedno. Zrobiliście swoje. Pomyślcie, co dalej. I nie radziłbym zwlekać z tym zbytnio. On... to

jest my - poprawił się - nie umiemy czekać. Przychodzą nam wtedy pomysły. Poza tym czekają na mnie. Nie chciałbym być niegrzeczny.

Nie śmiał się już. Zrobił ruch głową w stronę Greniana, jakby chciał podkreślić, że to, co powiedział, było skierowane do niego i tylko do niego, po czym wyszedł, spokojnie zamykając za sobą drzwi. Pomyślałem, że nieźle to zrobił. Nie potrafiłbym lepiej.

Palce miałem miękkie, z okrągłymi, różowitkimi opuszkami. Skóra na dłoniach była mi obca, przypominała skorupkę świeżo zniesionego jajka. Sięgnąłem lewą ręką ku szczytowi czoła i poszukałem włosów, których tam już nie było. Nie było ich nadal.

Potrząsnąłem głową i uniosłem powieki. Powinienem wstać i zająć się czymś konkretnym. Na przykład porozmawiać z Cullenem. A w każdym razie przestać się obmacywać jak Baba Jaga na przeglądzie tuczników.

Myśląc to uniosłem stopę i przyjrzałem jej się. Oczywiście gładka, jakbym w życiu nie przeszedł boso dziesięciu kroków. Idiotyzm. Od razu podsunęli mi lustro, żebym sobie wszystko obejrzał i pozbył się kompleksów. Jeśli wtedy nie skorzystałem z ich uprzejmości, tym bardziej teraz nie powinno mnie obchodzić, czy jestem dokładnie taki jak przedtem, czy trochę inny. Ostatecznie mogli mi na przykład, skrócić odrobinę brodę. Nie wziąłbym im tego za złe. Bzdury.

Cóż kiedy to ciało czy może tylko skóra nie dawały mi spokoju. I to w chwili, kiedy wiedziałem już wszystko. To znaczy tyle, ile ich zdaniem powinienem wiedzieć. Zresztą po kilku pierwszych słowach Norina mogłem sobie dośpiewać całą resztę. Chociaż, szczerze mówiąc, nie interesowało mnie, co robiłem nie będąc sobą. Już nie. Pierwsze kilka godzin próbowałem z tym walczyć. Potem dałem spokój. Czegokolwiek się doszukam, nie zmieni faktu, że sam, nie wiedząc kiedy i dlaczego, uznałem ten okres za niebyły.

Nie wskrzeszę własnego zainteresowania. Nie będę nawet próbował. Teraz i nigdy. Tym mniej zrozumiałe stawało się to permanentne zaskoczenie własną skórą i jej niemowlęcą, powiedziałbym, świeżością. Nie sądziłem nigdy, że poczucie doskonałej czystości może niepokoić nie mniej niż na przykład oparzenie drugiego stopnia.

Opuściłem stopę, pomyślałem chwilę, po czym nagle, jakbym wreszcie znalazł rozwiązanie trapiącego mnie od miesięcy problemu, zerwałem się na równe nogi. Mogę być dzieckiem czy innym człękoksztalnym tworem prosto z puszki. Ale nie muszę być dzieckiem pozbawionym godności. Na to, jakby nie było, czuję się za stary.

Z korytarza dobiegł jakiś szmer. Ktoś podszedł cicho, jakby na palcach i przystanął tuż za drzwiami. Może myślał, że będę mówił przez sen?

Uśmiechnąłem się. Tak jak stałem, bosy, podskoczyłem ku drzwiom i otwarłem je na całą szerokość. Tuż na wprost mojej ukazała się twarz okolona przesadnie czarnymi włosami. Uciekła natychmiast, uderzywszy mnie spłoszonymi oczyma, ale niezbyt daleko. Przemieszczenie się twarzy w przestrzeni ma ścisły związek z mięśniami nóg, te zaś najwyraźniej odmówiły dziewczynie posłuszeństwa.

Pochyliłem się do przodu, chwyciłem ją za łokieć i wciągnąłem do kabiny.

- Ależ proszę - zawołałem. - Czuj się jak u siebie... mamusiu!

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się. Stała pośrodku, trzymając się lewą dłonią za prawe ramię. Poruszyła kilkakrotnie wargami, ale nie dobiegł mnie najcichszy szept. Powoli jej policzki zabarwiły się na różowo.

Wróciłem na fotel, wskazując jej miejsce obok siebie.

- Siadaj - powiedziałem. - Nie jestem przygotowany na pełnienie honorów domu - zatoczyłem ręką łuk, wskazując wewnątrz kabinki, gdzie oprócz fotela znajdował się jedynie wąski stolik i płaska szafka w ścianie - ale nic sobie z tego nie rób. Czuj się bezpieczna. Nie skrzywdzę cię. Nie mogę. Jestem za mały. Jestem bardzo mały... - poskarżyłem się.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby nie rozumiejąc, co mówię, po czym nagle puściła swoje ramię, wyprostowała się i potrząsnęła głową jak po zażyciu lekarstwa.

- Idiota! parsknęła. Przytaknąłem z powagą.

- Tak - powiedziałem płaczącym tonem. - Taki wylazłem ze skrzynki. Ale to nie moja wina. To ty podsunęłaś mi nie ten słoiczek, co należało. Teraz musisz być dla mnie dobra...

- Gdybym wiedziała... - urwała. Zaśmiałem się.

- Nie pisnęłabyś im słowa - podchwyciłem. - Sama byś mi pomogła.

Dolałabyś do mojego genoforu syropu, żebym był słodszy. A w żadnym razie nie skradałabyś się na palcach pod moje drzwi, żeby posłuchać, czy nie płaczę przez sen. Albo nie wołam "mamo". Mam rację?

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Niezbyt zdecydowanie. Nie poruszyłem się. Nie zrobiłem nic, żeby ją zatrzymać. Jej dłoń zawisła w pół drogi do zamka. Potrzymała ją tak chwilę, po czym osłabła. Odwróciła się powoli i spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Powiedziałeś - zaczęła z widocznym wysiłkiem - że Norin... to znaczy - zawahała się - że ja., no, sam wiesz. To naprawdę ja powiedziałam, że byłeś w magazynach, więc teraz nabrałeś pewności... krótko mówiąc, uważasz, że mnie

napuścili...

- Chodź, siadaj - ponowiłem zaproszenie, posuwając się odrobinę w fotelu. Podeszła, ociągając się, jakby ktoś ją popychał od tyłu i przycupnęła na skraju poduszki, uważając, by nie zbliżyć się zbyt do moich kolan.

- Sam już nie wiem, co sędzę, a czego nie - powiedziałem wzruszając ramionami. - Nic nie wiem. Może zawsze tak bywa... po tym. A może coś im się pomyliło? Mniejsza z tym - poczułem, że ogarnia mnie rozdrażnienie. - Nie mówmy, co było.

Zabrzmiało to kapkę bardziej serio, niż powinno. Poruszyła się niecierpliwie i spojrzała na mnie. Jeszcze trochę, a zaczniesz być miła. Dojdzie do wniosku, że nic innego jej nie pozostało.

- Długo tu macie zamiar siedzieć? - spytałem, zmieniając ton. - Chyba musisz czekać na Norina?

W jej spojrzeniu odbiła się jakby ulga. Poprawiła włosy i usiadła swobodniej.

- Wracam pojutrze - powiedziała szybko. - Wszyscy wracamy. Te ekipy z Transplutona, wiesz, lądują za kilka dni. Wszystko w porządku. Grenian powiedział, że teraz możemy tylko czekać, co z tego wyniknie. Ale pewnie nic...

Skinąłem głową.

- Nic - zgodziłem się. - Pantomat strzelał na wiwat. Ktoś to usłyszał i narobił bigosu. Kiedyś wojny wybuchały z bardziej błahych przyczyn - stwierdziłem filozoficznie. - Gdyby jednak... - zawiesiłem głos.

Ożywiła się. Spojrzała na mnie z nagłym zaciekawieniem.

Uśmiechnąłem się.

- Spokojnie, dziewczyno - pochyliłem się i położyłem dłoń na koniuszkach jej sztywno wyprostowanych palców. - Na razie jesteśmy sami - powiedziałem. - Bez względu na to, czy mamy nadzieję. I jak to rozumiemy - dodałem znacząco. - Staramy się przedstawić z jak najlepszej strony - ciągnąłem patrząc jej prosto w oczy - na wszelki wypadek. Ale wciąż jeszcze jesteśmy sami...

Jej policzki pociemniały. Rzuciła przelotne spojrzenie na swoją dłoń, ciągle tkwiącą pod moją. Oddychała odrobinę szybciej. - Szkoda... - szepnęła.

Pochyliłem się niżej, objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Chciałem pocałować ją w usta, ale odwróciła głowę, trafiłem wargami na odsłonięte ramię. Jej skóra pachniała, była matowa, chłodna i sucha. Zwykła, uczciwa skóra. Nie taka świeżo odwinęta z pieluszek.

Nie odezwała się. Jej ruchy były szybkie, ale miękkie, jakby chciała złagodzić to, co jej zdaniem musiało nastąpić. Wstała, strzepnęła bluzkę i ruszyła do wyjścia. Przyglądałem się, jak otwiera drzwi, przystaje na moment, po czym nie patrząc w moją stronę wychodzi na korytarz.

Kiedy odgłos jej kroków oddalił się, wstałem także. Uniosłem ramiona i wparłem dłonie w sufit. Pocisnąłem mocniej. Jeszcze. Parłem z całej siły, jakbym chciał wyrwać z poszycia stacji dwumetrowej grubości płyt betomitu. Tak bywa, kiedy człowiek po bardzo długiej i męczącej drodze przez górskie piargi, zrzuci solidnie wypchany plecak. Zaśmiałem się na głos. Poczułem się lekki. Mogłem zacząć śpiewać.

Usłyszałem kroki. Ktoś nadchodził korytarzem. I przez myśl mu nie przeszło udawać, że go tam nie ma. Czy nasłuchiwać pod drzwiami. Wszedł i zatrzymał się w progu, mrużąc oczy porażone światłem. A może to mój widok tak na niego podziałał. Wciąż jeszcze stałem w rozkroku, podpierając ramionami niski sufit, jakbym się przygotowywał do ćwiczenia w kołowrocie.

- Cześć, braciszku - powiedziałem beztroskim tonem. Działo się ze mną coś dziwnego. Ogarnął mnie nastrój jak za chłopięcych czasów, przed gwiazdką, kiedy w domu zbierała się cała rodzina, zadowolone z siebie kobiety i zaaferowani mężczyźni. Chłonałem ten niespodziewanie wskrzeszony świat całym sobą, wszystkimi zmysłami. Jakbym ujrzał się w otoczeniu ludzi, milionów, więcej niż milionów, na biegnącej skosem przez przestrzeń nieskończonej płaszczyźnie i jakby ich obecność była czymś nie tylko oczywistym, lecz zgoła niezbędnym, aby ta przestrzeń w ogóle mogła istnieć. Pomyślałem o Cyrze. Jej obecność stała się także czymś normalnym i oczywistym, co więcej, ona właśnie skupiała w sobie nici, wiążące mnie z nagle dostrzeżoną zbiorowością. Nie przystosowany. Kto to powiedział? I co ma do tego przystosowanie?

Nieważne. Ja na przykład znajduję w sobie uczucia i argumenty, które z całą pewnością przychodzą z zewnątrz. Czyli, jestem otwarty. A to z kolei oznacza, że wreszcie dosięgła mnie tylekroć zapowiadana przez Norina i innych niespodzianka. Prawdziwa. Żadne tam hocki-klocki z aparaturą rehabilitacyjną czy "pilotem wszechczasów". Załóżmy, że mi pomogli. Że w czasie, kiedy wyłaziłem ze słoiczka, podkreśli jakąś śrubkę w aparaturze stymulującej. W końcu mogli to zrobić niechcący. Cóż prostszego niż błąd w przenoszeniu "zapisu osobowości". Działają nie tysiące, ale miliardy czynników. Ale to nie był błąd. Tego oczywiście nie dowiem się,



nigdy. Nie pisną słówkiem. Proszę bardzo. W gruncie rzeczy liczy się tylko, co jeszcze zrobię.

Zaśmiałem się. Stał jak wmurowany i przyglądał mi się. Raz czy dwa nieznacznie poruszył głową, jakby z niedowierzaniem. W jego wzroku malowało się zaniepokojenie, ale twarz miał surową, poważną. Nie przyszedł się bawić.

- Grenian chce z nami mówić - powiedział wreszcie rzeczowym tonem. - Prosił, żebym po ciebie wstąpił.

Opuściłem ramiona i poprawiłem kombinezon. Następnie usiadłem i nie śpiesząc się, zacząłem wkładać buty. Świąteczny nastrój opuścił mnie jak nożem uciął. Uderzyła mnie wypełniająca stację cisza.

Skończyłem z butami, wstałem i ruszyłem ku drzwiom. Przypuścił mnie na odległość kroku, po czym zastąpił mi drogę.

- Poczekaj - mruknął. - Teraz to już nie ma znaczenia, ale chciałbym wiedzieć, co cię wtedy ugryzło? Przedtem udałeś, że giniesz, żeby odciąć się od ludzi, a potem, kiedy przyzwyczaili się już do podrzutka, sam dałeś nura w morze. Przy czym oni tu - wykonał głową gest w stronę korytarza - uważają, że klepki miałeś na ogół w porządku. Więc co to było? Zabawa w dzielenie ludzi? Chciałeś udowodnić, co ktoś taki jak ty może zrobić z ich "wiecznością"? Czy poskakałeś po prostu, żeby kogoś podenerwować? W końcu tylko się wygłupiłeś.

Zrobiłem zagadkową minę.

- Może - mruknąłem, unosząc brwi. - A może nie. Coś jednak osiągnąłem. Stoisz przede mną i chciałbyś usłyszeć, co naprawdę myślę. Ty. Właśnie ty. Nie sądzisz, że to pouczające? Nie tylko dla nas obu, jeśli się chwilę zastanowić. Skąd niby mam wiedzieć, o co wtedy poszło. Tamtego, który, jak mówisz, dał nura, zresztą w towarzystwie, już nie ma. Nikt się nigdy nie dowie, o czym ten człowiek myślał, co czuł, kiedy jego maszyna pikowała w morze. I zanim do tego doszło. A jeśli chodzi o domysły, masz takie same szansę jak ja. Dokładnie. Ciągle jeszcze nie możesz tego zrozumieć. Albo nie chcesz.

Odszedłem o krok i zmierzyłem go wzrokiem. Uśmiechnął się. W pewnym sensie była to odpowiedź. Szczerze mówiąc, nie wyglądał na kogoś, kto nie chce zrozumieć.

Odczekałem chwilę i powiedziałem z namysłem:

- Może ten facet chciał skończyć z kimś, kto zbyt daleko odbiegł od ciebie właśnie... jako, na przykład, "pilot wszechczasów"? Mówiono mi o tej pompie na

lotnisku. Nie dziwiłbym się, gdyby tak było. A może naprawdę postanowił zmusić ludzi do ponownego przemyślenia tej awantury z wiecznością, w jaką wdali się, jego zdaniem, odrobinę zbyt pochopnie? Nie wiem, powtarzam. I powiem ci - zniżyłem głos - nic mnie to nie obchodzi. Oto najprawdziwsza prawda. Nie mam nic wspólnego z tym facetem. I nie chcę mieć. Interesuje mnie tylko, co będzie dalej. Chodźmy już - wyprostowałem się i popchnąłem go lekko w kierunku drzwi. - Czekaają na nas.

Chwilę patrzył mi prosto w oczy, po czym bez słowa, bez jednego gestu ruszył przodem. Przez całą drogę korytarzem zachowaliśmy milczenie. Od gabinetu Greniana dzieliło nas jeszcze kilkanaście kroków, kiedy zatrzymał się raptownie, odwrócił i uderzył mnie wzrokiem.

- To bardzo wygodnie - rzucił z sarkazmem - tak nic nie pamiętać. A jeśli spytam, czy o to właśnie chodziło? Na twoim miejscu poczuwałbym się do czegoś względem faceta, którym byłem. Przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, czego chciał naprawdę...

- Zawstydzasz mnie - warknąłem. - Nic tylko troszczysz się o innych. Powinieneś zostawić te kwiatki i zostać pielęgniarką. Może - zasyczałem - chciałem po prostu zająć twoje miejsce?

- Przy Finie... - rzucił błyskawicznie. W jego oczach zabłyśły żółte refleksy. Zaniemówiłem. Moje rozdrażnienie ulotniło się w mgnieniu oka. Że też od razu nie przyszło mi to na myśl. Naraz zrobiło mi się go żal. Wątpię, by przyjął to z zadowoleniem. Tym gorzej. Odeszliśmy od siebie dalej, niż mogłem przypuszczać.

- Nie - powiedziałem spokojnie. - Przy sobie samym. A o Finie - usta wbrew mojej woli wykrzywiły mi się w grymasie - wolałbym więcej nie słyszeć. Ty teraz nic nie wiesz - podkreśliłem to "teraz". - Nie pamiętasz. Ze mną jest trochę inaczej. Tamto to byłem ja, rozumiesz?

Przyglądał mi się kilka sekund spod półprzymkniętych powiek, po czym spuścił wzrok. Jego twarz złagodniała. Nie był zły. Sprawiał raczej wrażenie zatroskanego.

- Ta dziewczyna... - zaczął półgłosem, jakby do siebie - rozmawiałem z nią. Ma na imię Cyra...

- Dobrze - syknąłem. - Powiedziałaś swoje. Mnie i tej dziewczynie. Teraz pora, żebyś pomyślał, co powiesz tam - wskazałem zamknięte drzwi. - I daj już spokój dziewczynom. Zmieniłeś się - stwierdziłem. - Przedtem wystarczała ci jedna. A

wracając do tej historii na wyspie, powiedz tylko - złapałem go pełną garścią za klapę rozchylonego kołnierzyka - że tego nie chciałeś. No proszę, powiedz. Że nie chciałeś przedtem ani wtedy, ani przez ułamek sekundy. No, powiedz tylko...

Sam się zdziwiłem, ile tłumionej wściekłości zabrzmiało w moim głosie. Przyszła bez uprzedzenia. Jakbym cofnął się w czasie nie o te kilka tygodni, ale o rok. I równie nagle minęła.

Nie odpowiedział. Nie spojrzął nawet. Odwrócił się, powoli przeszedł kilka kroków i oparł palce na zamku. Nacisnął lekko, jakby dla zabawy. Drzwi drgnęły i zaczęły się cofać. Kiedy przekraczał próg, przez moment ujrzałem jego profil. Uśmiechnął się. I nie zależało mu specjalnie, żebym to zauważył.

- Ani ja, ani nikt inny - mówił Grenian, nie patrząc na żadnego z nas. - Z tym, co postanowicie, pójdziecie do Zespołu. Sami. Może zaproponują wam coś innego, nie wiem. Sądzę, że tylko w ostateczności... - jego oczy zwięzły się w uśmiechu, który objął jednak jedynie górną połowę twarzy. - Możecie pracować, jak dotychczas. Umówcie się, powiedzmy, że jeden z was będzie zawsze poza Ziemią. Przyjmiecie jakąś rotację. Nie wiem. Macie dość czasu. Odlatujemy pojutrze. Potem kilka miesięcy w Instytucie. Tylko... - zawahał się, przemknął po nas spłoszonym spojrzeniem i zaciął wargi.

- Może pan być spokojny - mruknął mężczyzna stojący obok mnie. Odruchowo zerknąłem w jego stronę. Mogłem powiedzieć to samo. Ale Grenianowi nie było to potrzebne. Nie dokończył jedynie dlatego, że słowa w naszym wypadku przestały mieć znaczenie.

Kilka miesięcy w Instytucie... Tak, to stwarza pewne możliwości. Inna rzecz, czy z nich skorzystam. Moja sytuacja zmieniła się o tyle, że samym sobą nie stanowiłem już argumentu. Obojętnie, czy chciałem tego, czy nie.

Komisja ekspertów odrzuciła przygotowany w kilku wariantach projekt kodeksu, który miał wejść w życie w związku z nową sytuacją społeczną. Proponowanych tekstów nie poddano nawet pod głosowanie. Sprawa była bardziej skomplikowana, niż wydawało się entuzjastom, tworzącym prototypy reklamowych piękniśków. Grenian zakomunikował nam o tym zaraz na początku rozmowy. Przez moment szukałem w sobie uczucia satysfakcji. Daremnie. Nie wiedziałem nawet, co myśleć o propozycji, z jaką wystąpił zaraz w następnych słowach. Chodziło o nas obu. Mieliśmy uczestniczyć w pracach nowo powołanych grup roboczych. Inaczej

mówiąc, spodziewali się, że my dwaj, właśnie my, odegramy rolę katalizatorów w procesie kształtowania doskonalszej wersji kodeksu. Albo udawali, że się spodziewają. W każdym razie trudno było nawet nazwać to propozycją.

Zakomunikował nam po prostu decyzję kierownictwa Zespołu. Po tej historii w rejonie Transplutona stałem się dostatecznie popularny, żeby moje poglądy nabrały znaczenia. Nieważne nawet, że to przestałem być ja. Nieprędko ludzie nauczą się rozpatrywać argumenty bez względu na osobę argumentującego. Mniejsza z tym.

Kabina, w której rozmawialiśmy, była słabo oświetlona. Twarz profesora kryła się w mroku. Od czasu do czasu podnosił głowę i wtedy w ciemności błyskały białka jego oczu. Z całej postaci przebijało zmęczenie. Ostatnie tygodnie pracował bodaj bez przerwy. W pewnym momencie przyszło mi na myśl, że sam walnie się do tego przyczyniłem. Myśl nie należała do przyjemnych. Co mogłem powiedzieć? Nawet, gdyby spodziewał się, że coś powiem. Ale nie czekał na słowa. Podobnie jak my. Toteż nie padło ich już wiele.

- Pójdziesz tam? - rzucił od niechcienia, kiedy wracaliśmy korytarzem, kierując się do naszych kabin.

- A ty?

Zwolnił. Zrobiłem to samo. Szliśmy tuż obok siebie, ramię w ramię, jak piloci dwuosobowej maszyny w drodze na pole startowe.

- Naprawdę myślisz, że mogę zrobić coś innego? - mruknął.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. W każdym razie tak do niczego nie dojdziemy...

- Proszę - zaśmiał się krótko. - Nagle chcesz dokądś dojść. Niech będzie. Tak, posłucham, co wymyślą. Masz inne propozycje?

Propozycje? Tych mi nie brakowało. Dawniej. Wszystko, co teraz przychodzi mi na myśl, staje się natychmiast płaskie, pozorne, nie do przyjęcia. Czy tak będzie zawsze? A może trzeba tylko czasu? Ile? Rok, wieczność?

- Bzdury zachnąłem się. Staął i przyjrzał mi się.

- Znowu coś kombinujesz - wycodził. - Uważaj. Drugi raz nie weźmiesz mnie na żadne sztuczki...

- Odczep się - rzuciłem szorstko. - Coś pomyślałem. Ostatnio mówię do siebie. Zdziecinnienie. Nie traktuj tego serio. Przejdzie mi.

Przyglądał mi się jeszcze chwilę wzrokiem, który przy najlepszej woli nie

mógł uchodzić za życzliwy. Następnie uniósł głowę i wskazał brodą przed siebie. Ruszyliśmy dalej. Po chwili zatrzymaliśmy się przed drzwiami mojej kabiny. Jego znajdowała się na tym samym poziomie, przy końcu korytarza.

- Przekonali cię? - spytał podejrzliwie. - Czy może sam?...

- Ani oni, ani sam - powiedziałem dobitnie. - A już najmniej ty. Nic z tego, co przedtem miałem do powiedzenia, nie straciło na aktualności. Przekonali mnie, że byłem durniem? To znaczy nas przekonali? Nie, mój drogi. Nazbyt cię cenię, żebym mógł dopuścić tego rodzaju insynuacje...

- Więc co zrobisz? - przerwał.

- To samo - mruknąłem. - Nie dano nam aż tyle do wyboru, żeby się w tym zgubić.

- Nie - przyznał. Uśmiechnął się.

- Ale niczego nie obiecuję - zastrzegłem się. - Sam nic nie wiem. Poza tym, że spotkamy się w Instytucie. Nawet, jeśli mogę się bez nich obejść. Równie dobrze, jak oni beze mnie. Jeszcze coś?

Pokiwał przecząco głową. Wyprostował się i już zamierzał ruszyć korytarzem przed siebie, kiedy w drzwiach sąsiedniej kabiny ukazała się Cyra. Zrobiła z rozpędu dwa kroki w naszą stronę i wrosła w podłogę jak ów brat z bajki, co to' raz się niepotrzebnie odwrócił.

Chwilę patrzyłem jej w oczy, po czym przeniosłem spojrzenie na twarz stojącego obok mnie człowieka, o którym oprócz innych rzeczy wiedziałem także, że z nią rozmawiał.

Ale jego oczy pozostały takie, jak były. Spokojnie czekał. Jakby doskonale wiedział, co nastąpi, i z góry czuł się tym znudzony.

W tym jednak rzecz, że nic nie nastąpiło. Dziewczyna wodziła po nas osłupiałym wzrokiem. Prócz zaskoczenia przebijało z niego jeszcze pytanie i widać było, że brak odpowiedzi z sekundy na sekundę staje się dla niej trudniejszy do zniesienia. Nie, żeby oczekiwała od nas pomocy. Ale nie pogardziłaby nią. gdyby do czegoś doszło.

Nie pisałem słówka. Podobnie on. Ale ja, w odróżnieniu od niego, miałem powody. Żałowałem przez moment, że w ściany korytarza nie wbudowano luster. Dwóch takich jak my i dziewczyna, która... no, znała już trochę jednego z nas. O to chodzi, że jednego.

Scena przeciągała się. W pewnej chwili zapragnąłem przerwać milczenie,

podejść bliżej, uśmiechnąć się i powiedzieć kilka słów, na przykład o ptakach. Ale coś mi nie pozwoliło. Musiałem czekać, aż sama się z tym upora. Jej twarz przybrała barwę mleka. Teraz zaczęła ciemnieć, bardzo powoli, jakby ktoś topił lód, polewając go zimną wodą. Przebiegła spojrzeniem po naszych twarzach od mojej do jego i z powrotem. Poruszyła wargami i nagle określiła się w miejscu, znikając nam z pola widzenia. Stuknęły drzwi. Po raz któryś zaskoczyła mnie wypełniająca stację cisza. Chwilę nasłuchiwałem. Z kabin, nie wyłączając najbliższej, nie dobiegł najbliższy szmer.

Mężczyzna obok mnie przekrzywił nieznacznie głowę i utkwiał wzrok w moich butach. Jego brwi powędrowały do góry. Jeszcze chwila, a zacznie mówić.

- Pożegnaliśmy się - przypomniałem chłodno. - Do zobaczenia.

Nie zareagował. Kiedy zamykałem za sobą drzwi mojej kabiny, stał jeszcze z nieodgadnionym wyrazem twarzy, szukając czegoś w perspektywie korytarza. Jakby przepowiadał sobie w myśli tę scenę sprzed kilkunastu sekund w obawie, że jego pamięć pominie jakiś drobiazg. Co do mnie, było to zbyt cenne.

Od wody i kamiennych płyt nabrzeża bił chłód, ale słońce stało już wysoko, błękit nieba pojaśniał i zmętniał, dzień przeobrażał się w upał. Letni, sierpniowy dzień, pełen przytłumionych dźwięków, cierpkiego smaku płynów, zapachu słońca na skórze i we włosach.

Była sobota. Od pomostu co kilka minut odbijały łodzie. Stawiały fantazyjne, kolorowe żagle i znikwały z pola widzenia, wpływając w trzcinowe meandry wielkiego rozlewiska. Głosy załóg cichły, mieszały się z krzykiem ptaków, polatujących w pobliżu lądu.

Wstałem, wziąłem śpiwór i wrzuciłem go do forpiku. Sprzątnąłem łódź, żeby nikt nie miał za złe obcemu, któremu posłużyła za sypialnię, ogoliłem się, po czym wylazłem na pomost i ruszyłem w stronę nabrzeża. Mój porter czekał zaraz przy podjeździe na główną drogę, tam gdzie go wczoraj zostawiłem. Podeszedłem do pierwszego z brzegu automatu, zjadłem, co miał mi do zaoferowania, wypilem kubek kawy i wróciłem za kierownicę. Miałem przed sobą pełny dzień jazdy. A raczej dwa. Umówiłem się z ojcem, że będzie czekał na tym starym lotnisku, gdzie wtedy. Nie wiem, skąd mi to przyszło, ale nie był nawet zdziwiony, spytał tylko, czy uważam to za rozsądne. Odpowiedziałem, że w takim samym stopniu jak wszystko, co mógłbym zrobić.

To dopiero jutro. Pierwszy raz od powrotu z Bruno byłem w tym mieście. Zabawię tu dłużej niż ostatnio. Ale przedtem mam coś do załatwienia. Dość daleko stąd, jeśli wziąć jeszcze pod uwagę dojazd do promu i przeprawę. Niemniej postanowiłem odbyć tę drogę tak samo jak wtedy. Wczoraj? Tydzień temu?

Rok to szmat czasu. Zwłaszcza dla kogoś, kto wszedł dopiero na próg wieczności. Poza tym czy to na pewno ja jeździłem tam wtedy?

Uśmiechnąłem się i nacisnąłem gaz. Maszyna wyrwała jak wystrzelona. Jeszcze w zabudowaniach przeleciałem na najszybszy pas. Jechałem prosto w słońce. Przed przednią szybą, która przybrała niemal wiśniową barwę, beton szosy zmieszany z pianoaluminium błyszczał jak srebrne szkło.

Przy zjeździe z tachostrady omal nie potrąciłem stojącego pojazdu, wokół którego kręciło się parę osób. Wtedy byłem tu w innej porze roku. Nie pomyślałem o tym, ruszając w drogę. Doliny stały się na powrót spacerowymi deptakami. Tylko gdzieś tam, w najwyższych partiach bieleły jeszcze palce lodowców, jakby Północ sama w obronnym geście kładła dłonie na szczytach. Tam zapuszczało się niewielu. W kręgu tej bieli znalazłbym ciszę i pierwotną godność gór. Ale ja muszę pozostać po tej stronie. Tu, a nie tam znaleźć odpowiedź na pytanie, którego dawniej nie umiałem postawić. Bądź przyjmowałem jej brak za potwierdzenie własnych obaw, wielokrotnie wypowiedzianych, a częściej jeszcze powracających w nagłych przypiływach zniecierpliwienia i poczucia bezsilności. Aż tak nie mogłem się zmienić. Nadal tkwi we mnie wszystko, co odbierało mojemu czasowi cechy konstrukcji, a czyniło zeń luźny zlepek przemieszczających się minut i godzin. Taka współczesność jako tworzywo przyszłości jest w istocie bezużyteczna. Ale czy to znaczy, że nic już nie zależy ode mnie? Od żadnego z tych, którym ślepy traf kazał przyjść na świat na przełomie epoki godzin i wieczności?

Nonsens. Naprawdę to pytanie miało brzmieć zupełnie inaczej. Jak? O tym właśnie powinienem się przekonać. Tu, w górach, za kilka minut. Tylko dlatego wspinałem się tą samą drogą co przed rokiem, podobnie jak wtedy wyciskając pełną moc z silnika, jakby kilka sekund spóźnienia miały mnie kosztować wszystko.

Od pewnego czasu jechałem w półmroku, cień gęstniał, fotokomórka uruchomiła reflektory, ich światło wyostrzyło rzeźbę granitowych bloków spiętrzonych nad zakolami szosy. Zwolniłem, wyskakując na ostatnią prostą i nagle w twarz uderzyła mnie kula czerwonego ognia. Na dole był już wieczór, klockowate

domki straciły barwy, zbocza stały się czarnowiśniowe, woda fiordu błyszczała ponuro ciemnym fioletem. Niebo na wschodzie poszarzało, ale na wprost mnie palił się pochwycony w ucieczce dzień. Reflektory zgasty w ułamku sekundy, czołowa szyba pojazdu ponownie zaszła przydymioną żółcią. Góry zawróciły mnie z drogi, przywiodły z powrotem tam, gdzie byłem kilkadziesiąt minut temu.

Na tarasie stał jeden jedyny pojazd, wielki komfortowy porter z wnętrzem przypominającym staroświecką sypialnię. Jego różowy lakier lśnił teraz krwistą czerwienią.

Przed balustradą, na wprost pawiloniku widniały trzy sylwetki. Dwie kobiety i mężczyzna. Ten ostatni odwrócił się, kiedy wjechałem na taras i obrzucił mój wóz niechętnym spojrzeniem. Zaraz potem ponownie zwrócił twarz w stronę słońca i coś powiedział. Kobiety nie poruszyły się. Widziałem tylko kontury ich sylwetek, stały jak urzeczone, podobne do reklamowych manekinów biur podróży. Poza tą trójką, na platformie nie było żywego ducha.

Zaparkowałem w pobliżu różowego portera i ruszyłem w stronę pawiloniku, jakby specjalnie pomalowanego na ten sam kolor. Idąc, wodziłem wzrokiem po płatach mchu przylepionych do niezbyt wysokiej skalnej ściany, przewieszanej nad dachem budynku. U jej podnóża panował mrok, kiedy przekroczyłem granicę cienia, ogarnął mnie chłód. Utkwiłem wzrok w drzwiczkach w bocznej ścianie pawilonu, wpuszczonej w granitową caliznę szczytu. Uśmiechnąłem się. Nie przestałem się uśmiechać, nawet kiedy dłoń natrafiła na opór. Dłuższą chwilę trzymałem uchwyt zamka, zanim dotarło do mnie, co to oznacza. Stałem jeszcze minutę lub dwie, czując, że z moją twarzą dzieje się coś niedobrego. Z sekundy na sekundę stawała się jakby bardziej obca. Przeniknął mnie ziąb, postępujący od palców, ciągle jeszcze zaciśniętych na nieruchomym uchwycie.

W końcu cofnąłem się o krok, potem drugi. Moja ręka zawisła w powietrzu. Przyjrzałem jej się przez moment, jakby to tylko ona zawiódła mnie w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebowałem. Jeszcze nie pomyślałem, co zrobię. Spojrzałem w stronę, gdzie przed chwilą widniały trzy nieruchome sylwetki, z twarzami zwróconymi w słońce. Nie było ich już. I słońca także. Na skalnej platformie, wyciętej w szczycie górującym nad trzema czarnymi już zakolami fiordu, leżał mrok. Usłyszałem za sobą przyciszone głosy, a po chwili narastający świergot silnika. Nie odwróciłem się. Dźwięk zaczął się oddalać, zrazu powoli, następnie umilkł nagle, kiedy wielki różowy porter spłynął za skalną grzędę. Zostałem sam.



Nie wiem, czy stałem tak jeszcze dziesięć minut, czy godzinę, jak ktoś, komu uciekł sprzed nosa ostatni statek i przed kim nagle otworzył się ogromny, płaski krajobraz, pozbawiony jednego, umownego choćby punktu zaczepienia dla wzroku i myśli. Zawróciłem na pięcie i wolnym krokiem wróciłem do portera. Poszperałem pod siedzeniem, wydobyłem ciepłą kurtkę i narzuciłem na ramiona. Następnie ruszyłem przed siebie. Po kilku krokach zagroziła mi drogę mroczna ściana, którą spływała strużka wody, spadając pojedynczymi kroplami do zarośniętego rowka. Odruchowo przebiegłem wzrokiem zygzakowaty filarek wychodzący kilka metrów wyżej na ścięty płasko garb, zakrywający szczyt. Jak zahipnotyzowany zbliżyłem się do skały i przejechałem po niej palcami. Włożyłem porządnie kurtkę, zapiąłem ją pod szyję i wyszukałem pierwszy uchwyt. Szedłem szybko, pewnie, niemal na ślepo. Trzy metry nad poziomem tarasu filarek skręcał ostro ku przewieszanej płycie. Od tego miejsca prosto w górę biegła płytka rysa. Nie potrzebowałem pięciu minut, żeby znaleźć się na niewielkiej ambonce, z której na szczyt prowadziła jakby specjalnie wykuta w skale ścieżka. Usiadłem w małym zagłębieniu, czymś w rodzaju miski skalnej, po czym położyłem się na wznak, podkładając ramiona pod głowę. Niebo nie było już szare, przybrało kształt starego baldachimu, przez który przebiły pierwsze gwiazdy. Patrzyłem w ich mrugające płomyczki i nagle przysła mi na myśl moja baza na Europie. Świat wielkich planet. Putt... nie, nie chciało mi się bawić w obliczanie, co teraz robi. Obowiązujący na pokładzie rytm dnia i nocy był umowny, jak każdy podział czasu w przestrzeni. Ale to nieważne. Jest tam, wśród tych poświęcających punkcików. Ciekawe, czy wspomina jeszcze niekiedy, że to ja, a nie on powinienem tkwić w zaokrąglonych ścianach ciasnej kabiny i ślęczeć przy ekranach, nasłuchując głosów próżni. Wrócę tam, nie dziś, to jutro. Albo za rok. To moja sprawa, te kontrasty między jarzeniem gwiazd a wieczną nocą przestrzeni, życiem i nicością, żarem jądrowych wybuchów i materią ściętą w temperaturze absolutnego zera. Próbowałem przywołać w pamięci twarz Putta, to, co mówił, kiedy po mnie przyleciał, jego zaskoczenie i niepokój. Na próżno. Zbyt byłem pochłonięty tym, co miałem do zrobienia tutaj. Nawet, jeśli nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Przymknąłem oczy i wtedy nagle ukazała mi się inna twarz, okolona czarnymi włosami, jakby przyciemniona, a jednocześnie oświetlona słońcem i reagująca na dotyk jego promieni. Patrzyła prosto w światło szeroko otwartymi oczami, które pomimo to zachowały barwę rozjaśnionego błękitu z lekką, niedostrzegalną niemal domieszką brązu. Ta twarz narzuciła mi się sama, nie potrzebowałem szukać w

pamięci jej kształtu, wyrazu, domyślać się zmian, jakie w niej zajdą w innym oświetleniu, w ruchu lub podczas snu. Ale przecież nie ją miałem przed oczami, przychodząc tutaj, na ten skalny cypel, ścięty do połowy widokową platformą.

Spojrzałem w górę, w gwiazdy i podniosłem się. Rozbolał mnie kark, mięśnie miałem zeszywniałe, zadawałem im gwałt, jakby przy każdym ruchu pękały we mnie kruche, szklane włókna. Obszedłem szczyt dookoła i czepiając się głazów wróciłem na taras.

Różowy pawilonik stał się ciemnoszary. Okalająca platformę balustrada była niewidoczna. Gwiazdy występowały z minuty na minutę ostrzej, jakby ktoś powoli zwiększał dopływ ożywiającej je energii. W powietrzu powstawał jakiś ruch. Raz i drugi uczułem na twarzy uderzenie słabego wiatru. Był ciepły. Pociągnąłem nosem, ale prócz zapachu zwilgotniałych skał nie poczułem nic.

Idąc w stronę portera, zdejmowałem kurtkę. Usiadłem obok miejsca kierowcy, zamknąłem okno i położyłem oparcie. Narzuciłem na siebie kurtkę i długo leżałem na wznak, mając przed oczami podobne do dekoracji teatralnej ziemskie niebo, zanim zamknąłem powieki. Ale i wtedy nie zasnąłem od razu.

Zbudziłem się zdrętwiały z zimna i pełen wewnętrznego drżenia jak po długotrwałym wysiłku. Szyby były zapocone, na kurtce osiadła wilgoć, w rytmie oddechu pojawiały się przed moimi oczami i nikły białe obłoczki pary.

Dzień tylko co się zaczął, jeśli światło słoneczne oznacza dzień, nawet kiedy w człowieku, jego nerwach i zmysłach noc nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Góry, platforma, różowy pawilonik, wszystko ociekało wodą. Pachniało świeżo wymytą kamienną posadzką, jakie spotyka się w zabytkowych podwórkach. Jedna z odnóg fiordu błyszczała jak rtęć, pozostałe zasnuwała przybrudzona, mleczna mgiełka. Słońce dotarło do połowy stoków i wydawało się, że położone powyżej granicy cienia domki rozłożyły pastelowe skrzydła jak dziwne, ukształtowane z geometrycznych figur owady.

Wylazłem z portera, podniosłem oparcie, strzepnąłem kurtkę i podszedłem do drzwiczek w bocznej ścianie pawilonu. Zatrzymałem się metr przed nimi i nie dotykając zamka posłuchałem chwilę. Cisza. Stałem tak jakiś czas nie myśląc o niczym, po czym wróciłem do pojazdu, ogoliłem się i pobiegałem w kółko dla rozgrzewki. Następnie podszedłem do barierki na krawędzi tarasu, przelazłem przez nią i szorując po skale rozczapierzonymi palcami zjechałem na ową półeczkę, którą

wypatrzyłem za ostatnim razem. Usiadłem, spuściłem nogi w przepaść i zamyśliłem się. W pewnym momencie z doliny dobiegły stłumione, jakby nierzeczywiste głosy. Wtedy dopiero podniosłem głowę i rozejrzałem się. Słońce dotarło już do najniżej położonych domów. Woda w fiordach pod warstwą granatu ukazywała głęboką zieleń, z rzadka rozrzucone wąskie płycizny nabrały barwy nieba. Powietrze ogrzewało się szybko, nie czułem już chłodu, skała wysychała i przy dotknięciu sprawiała wrażenie świeżo splukanej wrzątkiem.

Pod wpływem nagłego impulsu odrzuciłem głowę do tyłu i spojrzałem prosto w górę, jakbym spodziewał się wyczarować tym ruchem uśmiechniętą, pomarszczoną twarz starego przewodnika. Nie było jej tam. Krawędź skały i zaraz nad nią ledwie widoczny czarny pasek balustrady. Patrzyłem chwilę tak jak wtedy, prostopadle w górę, aż potężne łupnięcie w karku przywołało mnie do porządku. Wstałem i trąc plecami o skałę, przybrałem pozycję pionową. Następnie odwróciłem się i powoli, z wysiłkiem wspiąłem z powrotem na platformę. Wtedy przyszło mi to bez trudu. Ale wtedy nie byłem sam.

Przekroczyłem poręcz i postąpiłem kilka kroków w stronę portera. Mój oddech uspokajał się powoli. Minęło jednak dobrych kilkadziesiąt sekund, zanim dotarło do mnie, że w otoczeniu zaszła jakaś zmiana. Stałem jak wryty. Powoli, jakby spełniało się to, czego oczekiwałem od lat, zaczął we mnie wstępować spokój. Nie poddawałem mu się łatwo. Jeszcze nie. Jakbym chciał celowo przedłużyć tę chwilę, nacieszyć się własną niepewnością.

Drzwi różowego pawiloniku stały otworem. Z wnętrza dobiegały odgłosy czyjejś krzątaniny. Stuk odkładanego drewnianego przedmiotu, jakby taboretu czy kawałka deski. Brzęk naczyń. Huk wylatującego pod ciśnieniem gazu oczyszczającego i szum wody. Chwila ciszy i ponownie brzęk szkła.

Bezwiednie skinąłem głową. Nogi niosły mnie same, niesłychanie powoli. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że moja twarz rozciąga się w uśmiechu. I to stało się poza mną. Szedłem wzdłuż ściany budynku cichym, skradającym się krokiem. Dotarłem w końcu do drzwi i ostrożnie, centymetr po centymetrze wysunąłem głowę spoza framugi. Patrzyłem długo, zanim zrozumiałem. Moje wargi poruszyły się. Dobiegł mnie jakiś głos. Nie należał do mnie. Ale poza mną była tu tylko ta ubrana w prostą sukienkę kobieta, której usta z pewnością pozostały zamknięte. Starła właśnie powierzchnię kontuaru i zabierała się do naczyń, kiedy jej uwagę przykuł cień mojej głowy. Zwróciła twarz w stronę drzwi i zastygła w bezruchu. Dobłą chwilę staliśmy

tak, mierząc się wzrokiem, przy czym zarówno ja, jak i ona chcieliśmy bardzo, żeby to, na co patrzymy, nie istniało naprawdę. Nic z tego. Była równie realna jak jej rozrzucone po całym mikroskopijnym wnętrzu gospodarskie przybory.

W końcu odwróciła głowę i zajęła się swoją sukienką. Strzepnęła ją, podciągnęła rękawy i poprawiła pasek. Następnie przyglądała włosy i ponownie spojrzała w moją stronę. Uśmiechnęła się. Dawała mi do zrozumienia, że skoro już jestem, ona potrafi przyjąć to z godnością.

- Zrobić panu coś do picia? - spytała. Głos miała wysoki. Mówiła cicho, nie tak cicho jednak, żebym nie zapragnął znaleźć się od razu jak najdalej stąd. Nie było w niej nic, co uzasadniało taką reakcję. Przyczyna tkwiła we mnie. Pamięć innego głosu. Mężczyzny. I jego śmiechu.

Poruszyłem przecząco głową.

- Starszy mężczyzna... - zacząłem. Urwałem, nabrałem powietrza w płuca i odczekałem chwilę. - Starszy mężczyzna - powtórzyłem. - Z brodą. Nosił taką wysoką, okrągłą czapkę. Czy to pani coś mówi?

Nie odpowiedziała. Jakiś czas przyglądała mi się bez słowa, po czym nagle potrząsnęła przecząco głową. Jej dłoń wykonała ruch w stronę leżącej na kontuarze szczotki. Przestałem być gościem. Nie miała dla mnie zbyt wiele czasu.

- Pracował tutaj - nalegałem. - Przedtem chodził po górach...

Ponownie poruszyła głową. Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do włosów. Nie wypadłem najlepiej.

- Nie wiem - powiedziała tonem, w którym zadrgała nutka zniecierpliwienia. - Jestem tu od czerwca. Wszystko płynie przewodami z dołu - jej wzrok powędrował w stronę baterii kurków za kontuarem. - Ale trzeba podać i posprzątać. Nie było nikogo, pawilon stał zamknięty. Dlatego musiałam przyjść...

Westchnęła głośno, jakby z ulgą, po czym odwróciła się i zajęła swoimi kubkami.

To kończyło sprawę. Z całej jej postaci przebijało, że powiedziała więcej, niż musiała. I że teraz powinienem już pójść.

Zrobiłem to. Nie od razu. Zbyt często myślałem w ostatnim czasie o tym różowym pawiloniku, żeby tak po prostu odwrócić się i odejść. Potrzebowałem tych kilkudziesięciu sekund na oswojenie się z myślą, że to już wszystko.

W końcu kiwnąłem kobiecie głową i wycofałem się za próg. Nie obdarzyła mnie jednym spojrzeniem. Dla niej byłem już nieobecny, jak tamten stary człowiek, o

którym nawet nie słyszała. Ponownie zabrzmiał mi w uszach jego śmiech, kiedy powiedziałem, że nie może umrzeć. Jak do tego doszło? O czym myślałem, zanim wpadłem na pomysł, by pytać o moje własne sprawy tego niepotrzebnego nikomu przewodnika, pochodzącego, jak sam powiedział, znikąd, z gór.

Nie wiem. W gruncie rzeczy to bez znaczenia Teraz. Wobec tej krzątającej się we wnętrzu różowego budyneczku kobiety. I nie tylko z jej powodu.

Odwrociłem się i wolnym krokiem podszedłem do balustrady. W tym miejscu stał wtedy i patrzył w dół, na skalną półkę. Nie obchodziły go okoliczne szczyty, spomiędzy których prześwitywały lodowe czapy, domki podobne do kolorowych klocków, zrzuconych z gór, sosny uczone głązów sterczących z ciemnoszafirowego fiordu, słońce i wiatr. Nie obchodziło go, czy odnajdzie to wszystko jutro, za tydzień czy rok. Liczył się tylko człowiek, który tkwił kilka metrów niżej, na pochyłej półeczce i wyglądał, jakby za chwilę miał dać nura w przepaść. Nie pomyślał nawet, czy dla tego kogoś istniała już droga powrotu na to płaskie miejsce pod szczytem, czy też nie zdążył jeszcze zaznać dobrodziejstwa "wieczności". Wyglądało, że w ogóle o niej nie słyszał. Przynajmniej jak długo się nie roześmiał.

Oparłem się łokciami o poręcz i powiodłem wzrokiem po dolinie. W pewnej chwili uśmiechnąłem się. Łatwo wytyczyć punkt w przestrzeni, z którego wzrok objąłby cały glob ziemski. Promienie światła nie muszą biec po liniach prostych. Czy przyjdzie czas, kiedy w podobny sposób człowiek spojrzy na galaktykę? Teoretycznie nie można tego wykluczyć. A wszechświat?

Uśmiechnąłem się szerzej. Nie. Raczej nie. Ale przecież nie w tym rzecz. Chodzi o punkt, z którego potrafilibyśmy ogarnąć nie przestrzeń, lecz czas, jak tę dolinę, pełną światła i cienia, barw, powietrza niosącego zapach roślin, kamieni i morza. Zabawa, tak. No, to bawmy się dalej. Niektórym zdarzało się odnaleźć takie miejsca. Przynajmniej tak twierdzili. Ale tak było, dopóki człowiek pozostawał w czasie jak obraz w ramach. Przy największym bogactwie perspektywy, wytyczały ją nieprzekraczalne granice przestrzeni. A teraz?

Nie, teraz nie znajdzie się punktu, z którego można spojrzeć na własny czas i zbadać, czy choćby ogarnąć jego szansę. Taki sam próg, jak pomiędzy galaktyką a kosmosem. Tym niemniej człowiek sięga w ten kosmos. Przygotowuje trasy i statki. Prędzej czy później wytyczymy drogi przez wszechświat, jak teraz w kręgu własnego słońca. Może kiedyś to samo stanie się z czasem?

Odetchnąłem głęboko. Dzień osiągnął pełnię. Blask dalekich lodowych

palców przygasł nieco, woda w fiordach zmieniła odcień, pojaśniała. Powinienem jechać. Dość dawno z nikim się nie umawiałem. Zdążyłem odwyknąć.

Oderwałem się od balustrady i zawróciłem w stronę portera. Idąc, machinalnie obciągnąłem kurtkę. O tej porze dnia ruch na tachostradzie nie będzie zbyt duży. Nie sądzę, abym kazał długo na siebie czekać.